

Iza Chruślińska



Była raz

KULTURA...

ROZMOWY Z ZOFIĄ HERTZ

Była raz
KULTURA...

ROZMOWY Z ZOFIĄ HERTZ

Pragnę podziękować Zofii Hertz i Henrykowi Giedroyciowi za życzliwość okazaną mi podczas pracy nad tą książką oraz Elżbiecie Sawickiej za pomoc przy opracowaniu redakcyjnym pierwszego wydania.

Pozostanie w mej pamięci serdeczna pomoc Ledy Giedroyc i Jerzego Giedroycia – których nie ma wśród nas.

Wydawcy wyrażają wdzięczność Panu Piotrowi Wójcikowi (Agencja Gazeta) za bezpłatne udostępnienie fotografii.

Iza Chruślińska

Była raz KULTURA...

ROZMOWY Z ZOFIĄ HERTZ

Ze wstępem

Czesława Miłosza

Redakcja: Irena Pielak

*Fotografie na I i IV stronie okładki
oraz kolorowa fotografia na wkladce zdjęciowej: Piotr Wójcik*

*Projekt okładki
i stron tytułowych: Marta i Zdzisław Kwiatkowscy*

Skład: „Bez Erraty” Zbigniew Dyszczyk

Druk i oprawa: petit S. C., Lublin

Wydanie drugie poprawione i rozszerzone

ISBN 83-227-2020-3

*Wydawnictwo Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej
20-031 Lublin, pl. Marii Curie-Skłodowskiej 5
tel. (0-prefiks-81) 537-53-04
<http://press.umcs.lublin.pl>
Dział Handlowy: tel./faks (0-prefiks-81) 537-53-02*



*Pani Zofii Hertz
z wyrazami najwyższego uznania
i szacunku w 92. rocznicę urodzin*

*Spółeczność akademicka
Uniwersytetu Marii Curie-Skłodowskiej*

27 lutego 2003 roku

Spis rzeczy

Słowo wstępne / 9

Rozmowy z Zofią Hertz / 13

Listy Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia / 103

Słowo wstępne

Zdumiewająca Zosia Hertz, główna, po Jerzym Giedroyciu, powstać paryskiej „Kultury”, zdecydowała się coś powiedzieć o swoim życiu, które od dziesiątków lat stanowi część dziejów tej niezwyklej, historycznej już instytucji. Jej opowieść w tych rozmowach jest taka, jak ona sama: trzeźwa, dokładna, trzymająca się faktów, wstrzemięźliwa w ujawnianiu uczuć, ledwo tu i ówdzie pozwalająca sobie na przyprawę suchego humoru. Nic na przykład nie dowiadujemy się, co ona i jej mąż Zygmunt czuli, kiedy wywieziono ich ze Lwowa w lasy Maryjskiej Republiki i zrobiono z nich drwali, ani jak zmagала się z wielką siekierą, którą ledwo mogła udźwignąć. Ani o wszystkich późniejszych sytuacjach, kiedy całkowicie zrozumiałe byłoby oddawać się rozpacz, na co jednak nie pozwalała jej silna wola, ta jej cecha, którą może najbardziej podziwiam.

Działalność wydawnicza Jerzego Giedroycia od 1947 roku, kiedy założył on w Rzymie „Kulturę”, byłaby niemożliwa, gdyby nie pomoc osoby mocno przekonanej, że codzienna harówka w imię wytkniętego celu ma sens. Jakikolwiek był udział Józefa Czapskiego i Zygmunta Hertza, „Kultura” i Instytut Literacki pozostają przede wszystkim dziełem dwojga ludzi, Redaktora i Zosi Hertz.

Ale wytknięty cel? Powróćmy na chwilę do roku 1947. Europa, zrujnowana i ponizona, w swojej wschodniej części była zajęta przez wojska Stalina, w zachodniej natomiast z jej nieczystego sumienia korzystali komuniści, siebie ogłaszając Partią Oporu i zapowiadając, że do nich należy zwycięstwo w skali planetarnej, mocą nieodwracalnych wyroków historii. Nawet w najbliższym otoczeniu „Kultury” Jerzy Stempowski oceniał sceptycznie szansę utrzymania się niekomunistycznej Europy. Zarazem wśród emigracji polskiej i polskiej armii we Włoszech prawie powszechne było oczekiwanie wybuchu trzeciej wojny światowej. Świadczyło ono o zupełnej nieznanomości prawdziwych sprężyn polityki angielskiej i amerykańskiej, choć psychologicznie taka wiara nie była trudna do wytłumaczenia u ludzi wstrząśniętych ugodą w Jałcie.

Niezwykłość istnienia „Kultury” należy mierzyć oporem, który od początku musiała przezwyciężać. Pismo i dom wydawniczy wyłoniły się w Rzymie z wojska, zespół nosił mundury. Jednak, jak podaje Zofia Hertz, generał Anders nie uważał, że warto zajmować

się wydawnictwami, skoro wybuch wojny musi być kwestią tygodni. Giedroyc sądził przeciwnie, przygotowując się do działania na daleką metę. Przeniesienie się z Włoch do Paryża, nie do Londynu, oznaczało zgodę na stopniowo zaznaczające się różnice poglądów czy nawet mentalności pomiędzy „Kulturą” a środowiskiem emigracyjnym londyńskim, choć bezpośredni powód decyzji był praktyczny: „bliżej kraju”.

Ale pismo obliczone na, bądź co bądź, elity polityczne i literackie, natrafiło w Paryżu na zacieklą wrogość francuskich kół intelektualnych, na wół jawnie kontrolowanych przez komunistów i niekiedy wręcz opłacanych z funduszy wschodniego imperium, co przyjmowano jako część tradycji, od czasów carskich. „Kultura” była przez parę dziesiątków lat całkowicie izolowana i Francuzów, którzy utrzymywali z nią kontakt, dałoby się policzyć na palcach jednej ręki. Przyznam się, że byłem zdziwiony stopniem tego przymusowego wyobcowania. Kiedy w 1951 roku zaczął działać w Paryżu amerykański *Congres pour la Liberie de la Culture*, spotkał się z podobnie wrogim przyjęciem i jego pismo „*Preuves*” miało duże trudności ze znalezieniem współpracowników. Zdawałoby się, że planowo rozpowszechniane wieści o „Kulturze” jako agenturze amerykańskiej znajdą potwierdzenie w jej współpracy z Kongresem. Giedroyc nie lubił od nikogo zależeć. Do łańcucha swoich dobrze redagowanych pism – w języku francuskim („*Preuves*”), angielskim („*The Encounter*”), włoskim („*Tempo presente*”), niemieckim („*Der Monat*”), hiszpańskim („*Quadernos*”) – Kongres był gotów dodać polską „Kulturę”, co było rzadkim wyróżnieniem i automatycznie usuwałoby wszelkie finansowe kłopoty. Oznaczałoby to jednak utratę swobody działania i po namyśle Giedroyc odrzucił ofertę. A później i Kongres, i jego pisma przestały istnieć, natomiast „Kultura” przetrwała. Jej stosunki z inną amerykańską instytucją, Wolną Europą, również – jak stwierdza Zosia Hertz – nie były kordialne. Ten opór, ta szorstka dbałość o całkowitą niezależność własnej polityki bardzo mi w „Kulturze” imponowały.

„Kultura”, trzeba to po prostu stwierdzić, należy do zjawisk niezrozumiałych. Taka rzecz nie ma prawa istnieć, niby w świecie zwierzęcym żyrafa. Nic więc dziwnego, że półki wypełnione jej rocznikami i wydanymi przez nią książkami wzywały i wzywają do poszukiwań logicznego wytłumaczenia. Nieźle uśmiełem się nie-

dawno, czytając wypowiedź pewnego starszego pana z Londynu, o wysokich honorariach rzekomo płaconych przez „Kulturę” jej autorem (że niby ich „kupowała”) i o potężnych jej wpływach wśród jurorów międzynarodowych nagród, aż po Akademię Szwedzką.

Powiedzieć, że „Kultura” jest niezrozumiała, to to samo, co powiedzieć, że niezrozumiałe są osobowości Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz w ich poświęceniu się jednej idei. Ponieważ nastąpił upadek kolonialnych imperiów, brytyjskiego i francuskiego, ten sam los musiał spotkać imperium sowieckie: Giedroyc o tym nie wątpił i dlatego chciał przygotować poprawne stosunki sąsiedzkie z krajami, które odzyskują niepodległość, z Litwą, Białorusią i Ukrainą. Żeby ocenić jego dar przewidywania, trzeba pamiętać, jak bardzo ten obraz odbiegał od poglądów większości emigracji, która nie godziła się na nowe wschodnie granice. Razem z bliskim mu współpracownikiem, Juliuszem Mieroszewskim, był wyjątkiem przez swoją dalekowzroczność, która sprawiała, że Instytut Literacki wydawał też książki w języku ukraińskim i dużo miejsca poświęcał sprawom litewskim.

Nie myślę podszywać się pod przepowiednie, które się sprawdziły, choć mogły się nie sprawdzić albo sprawdzić bardzo nieprędko. W samym zespole „Kultury” Zygmunt Hertz żartował, że rosyjski niedźwiedź siedzi za drzewem z dobrze naładowaną dubeltówką i czeka na nierozważnych myśliwych. I muszę przyznać, że byłem skłonny raczej stowarzyszać się z jego sceptycznym humorem, niż wierzyć w rychłą przegraną potwornego superpaństwa. Jednak Giedroyc miał obok siebie osobę, która nigdy, ani jednym słowem, nie dała poznać po sobie, że wątpi i że tyle wysiłków i tyle codziennej pracy może służyć tylko, raz jeszcze, podtrzymywaniu emigracyjnych złudzeń. Jeżeli Zosia Hertz miała chwile wątpienia, to potrafiła ich nie okazywać, i chyba tak samo „na posiołku” w lasach Maryjskiej Republiki nigdy nie pozwalała sobie krzyknąć, że nigdy stamtąd się nie wydostaną. Zasługuje na podziw za to, że nie zbaczając ani na cal z raz wybranej ścieżki, szła jakby ciągnięta przez nieznaną nam siłę, aż utożsała się całkowicie z „Kulturą” jako swoim dziełem.

Czesław Miłosz

Rozmowy z Zofią Hertz

Nazywano ich zagubionymi romantykami, marzycielami. Byli dla wielu osób ośrodkiem polskości, choć niektórzy zarzucali im niezrozumienie polskich realiów. Budowano im pomniki, pisano laurki, ale także szydły paszkwile. Fenomen paryskiej „Kultury” zadziwiał i intrygował jednych, drażnił i niepokoił innych.

Jak to było możliwe, że „Kultura” powstała i przetrwała – już prawie 50 lat, jacy byli i są ci, którzy ją tworzyli i ci, którzy należeli do jej kręgu. Na te i wiele innych pytań chciałabym znaleźć odpowiedź w rozmowach z Zofią Hertz.

Nazwisko Zofii Hertz związane jest z powstaniem i działalnością „Kultury”, jej znajomość i współpraca z Jerzym Giedroyciem trwa już ponad pół wieku i chociaż jej postać pojawia się we wspomnieniach kilku osób wywodzących się z kręgu „Kultury”, pozostaje wciąż osobą mało znaną. Tekstów autorstwa Zofii Hertz darmo by szukać na łamach „Kultury”, jeśli nie liczyć kilkunastu tłumaczeń z francuskiego i włoskiego. A przecież Jerzy Giedroyc, zazwyczaj tak powściągliwy w ocenach, powiedział o niej „bez Zosi nie dałbym sobie rady”.

Wacław Zbyszewski, który dobrze znał wąskie grono ludzi tworzących „Kulturę”, we wspomnieniach¹ pisał o niej tak:

„W «Kulturze» Zosia Hertz decyduje o przyjęciu do loży, względnie jeszcze częściej o wydaleniu z grona fideles. To ona jest strażnikiem i westalką «Kultury». A także ona decyduje o ludzkich stosunkach w *l'affitté* owskim gnieździe. Bez niej nigdy by się ten zespół czy grono nie utrzymały. Ona zlikwidowała jednych, ona przyhołubiła drugich. [...] Ale nade wszystko, Zosia Hertz ma jakąś piekielną witalność, jakąś niespożytą energię. Może by Giedroyc mógł cudem jakimś znaleźć równie idealną korektorkę, maszynistkę, sekretarkę, administratorkę i kucharkę oraz panią domu w jednej osobie. Byłby to cud. Ale takiego dynamo, takiego ładunku inicjatywy na pewno by znaleźć nie mógł, bo sądzę, że w całej Polsce go nie ma”.

¹ „Kultura” nr 10/1959; przedruk w: O „Kulturze”. Wspomnienia i opinie, Puls 1987 oraz w: W. Z. Zbyszewski, *Zagubieni romantycy i inni*, Instytut Literacki 1992.

Czy Wacław Zbyszewski we wspomnieniach *Zagubieni romantycy* trafnie określił pani rolę w „Kulturze”?

Jest w tym, co mówi Zbyszewski, wiele prawdy. W jakimś sensie łączyłam tych wszystkich ludzi, którzy byli z „Kulturą” związani. Każdy z nich był zupełnie inną osobowością. Nie należeli do ławnych we współzyciu. Byłam więc chyba kimś w rodzaju łącznika, jednocześnie często łagodzącą konflikty. Oprócz tego rzeczywiście zajmowałam się całą masą rzeczy.

Zazwyczaj rozpoczyna pani opowiadać swój życiorys od 1943 roku, czyli od początku współpracy z Jerzym Giedroyciem, jeszcze w II Korpusie Armii Polskiej. Jak przebiegały pani wcześniejsze losy, pani dzieciństwo, młodość?

Miałam trudne dzieciństwo. [*śmiech*] Moi rodzice, Helena z Orzechowskich i Ludwik Neuding, pobrali się w 1907 roku w Warszawie, po trwającym kilka lat narzeczeństwie, gdyż rodzina mamy nie chciała zgodzić się na ślub. Nawet siostry ojca przekonywały mamę, aby się z nim nie wiązała. Ojciec nie był złym człowiekiem, miał jednak uzasadnioną opinię lekkoducha i nie nadawał się ani na męża, ani na ojca rodziny. Ale mama uparła się i postawiła na swoim. Niedługo po ślubie rodzice wyjechali do Wilna, urodził się mój brat, który zmarł na krup, jeszcze zanim ja się urodziłam. Rodzice wrócili do Warszawy. Ale ich małżeństwo nie układało się już najlepiej.

Rozeszli się, kiedy miałam cztery lata. Mama, po rozstaniu z ojcem, zamieszkała z moją babcią w Warszawie. Było jej bardzo ciężko. Jak większość kobiet wywodzących się z klasy średniej, ukończyła dobrą pensję dla dziewcząt, umiała grać na fortepianie i rozmawiać po francusku, ale nie miała żadnego zawodu. Mimo to udało się jej znaleźć pracę w biurze, za niewielką opłatą. Od ojca przychodziła dość mizerna pomoc finansowa. Prawdopodobnie pomagała mamie, w niewielkim zakresie, rodzina ojca, która utrzymywała z nią kontakty.

Miałam osiem lat, kiedy matka umarła na zapalenie płuc. Mój ojciec mieszkał wtedy w Piotrkowie, pracował tam jako urzędnik. Po

śmierci matki nie wziął mnie jednak do siebie. Początkowo zaopiekowała się mną bezdzietna ciotka, krewna ze strony matki, która mieszkała w Łodzi.

U ciotki zostałam dwa, trzy lata, a później mieszkałam na tak zwanej stancji. Już wtedy w Łodzi. Bardzo wcześnie musiałam się usamodzielnąć.

Dorabiałam korepetycjami, których nie znosiłam i do których nie miałam żadnego talentu. Byłam dobrą uczennicą i to był dla mnie jedyny sposób na łatanie dziur finansowych.

Po maturze chciałam zapisać się na medycynę, ale studia na tym kierunku były długie i drogie, poza tym program był przeładowany, nie mogłabym pracować, a musiałam. Zapisałam się wobec tego na prawo na Uniwersytecie Warszawskim i udzielając korepetycji przeszedłam przez pierwszy rok. Jednak zarobione pieniądze ledwo wystarczały mi na życie, pracowałam również w Kole Prawników. To była praca społeczna, a nie zarobkowa, dzięki niej nauczyłam się pisać na maszynie, co mi później bardzo pomogło. Po tym pierwszym roku na Uniwersytecie nie wiedziałam, co robić dalej. Wpadłam w „czarną rozpacz”.

W czasie wakacji wyjechałam do ojca, który mieszkał już wówczas w Łodzi. Nie wiedziałam, że te wakacje odmienią całkowicie moje życie.

Któręś dnia idąc ulicą wpadłam na mojego dyrektora z gimnazjum. Bardzo się ucieszył na mój widok, zaczął wypytywać, co porabiam. Kiedy usłyszał, że mam kłopoty finansowe, obiecał mi pomoc. I rzeczywiście, w niedługim czasie skontaktował mnie z rejentem Karnawalskim, który miał w Łodzi swoją kancelarię, a ten przyjął mnie od razu do pracy. Przeniosłam się do Łodzi, a do Warszawy dojeżdżałam tylko na egzaminy, aż do ukończenia studiów.

Na czym polegała ta praca?

Zaczynałam od prac biurowych, przepisywałam teksty aktów. Ale ponieważ byłam ciekawa z natury, zainteresowałam się również innymi działami pracy w kancelarii. To bardzo spodobało się rejentowi, który zaczął wprowadzać mnie stopniowo w tajniki pracy notarialnej. Po jakimś czasie okazało się, że nieźle daję sobie radę. Jako jedyna w kancelarii opanowałam szalenie trudną do zapamiętania „Ustawę stemplową” opracowaną przez Achillesa Rozekranza. Kiedy w latach trzydziestych wprowadzono obowiązek zdawania egzaminu na stanowisko notariusza, rejent namówił mnie do zgłoszenia się na ten egzamin.

Egzamin zdałam nadspodziewanie dobrze. Okazało się, że byłam pierwszą kobietą, której się to udało. Zasłużyłam nawet na artykuł i zdjęcie w łódzkiej prasie. A mój rejent był w „siódmym niebie” i z upodobaniem chwalił się mną wszędzie, gdzie tylko mógł.

W jaki sposób poznała pani swojego męża, Zygmunta Hertza?

Zygmunta poznałam na początku 1938 roku, na balu urządzonym przez kogoś z moich dalszych znajomych. Ale słyszałam o nim wcześniej od mojej przyjaciółki, Niny Kierskiej, która pracowała w Izbie Przemysłowo-Handlowej. Prezesem Izby był ojciec Zygmunta, Mieczysław Hertz.

Zbieg okoliczności sprawił, że ani ja, ani Zygmunt nie mieliśmy ochoty iść na ten bal, gdyż zapowiadał się dość nudnie. Mnie namówiła koleżanka, a Zygmunt przyszedł z nudów. Byłam w gronie znajomych i Zygmunt przysiadł się do nas. Tak się poznaliśmy, a po tym balu zaczęliśmy się spotykać.

Czym zajmował się wówczas Zygmunt?

Studiował ekonomię w Anglii, najpierw w Londynie, później w Manchesterze (1929–1933). Po powrocie do kraju jego ojciec, który był przedstawicielem firmy Solvay w Polsce, zatrudnił go u siebie w biurze. Ojciec Zygmunta był wielkim oryginałem, toteż stwierdził, że zanim Zygmunt przystąpi do pracy w firmie, musi „poznać życie”. W praktyce oznaczało to, że posyłał go do różnych prac fizycznych, między innymi Zygmunt pracował przez kilka miesięcy w porcie w Gdyni z dokerami, przy wyładunku. A pamiętać trzeba, że pochodził z zamożnej rodziny i był raczej przez życie rozpieszczany. Z tym że Zygmunt, który miał zawsze dar bratania się z ludźmi, wcale na to „poznawanie życia” nie narzekał. Po takiej rocznej „praktyce” zaczął pracować z ojcem, nie lubił jednak pracy biurowej, zajmował się więc głównie kontaktami handlowymi.

Co się pani spodobało w Zigmuncie?

Miał duże poczucie humoru. Ale tak naprawdę, zaczęłam się z nim spotykać z przekory. Denerwował mnie jego snobizm i postanowiłam go z tego wyleczyć. Zresztą udało mi się to, później nikt nigdy nie powiedział o Zigmuncie, że był snobem! [*śmiech*]

Wcale jednak nie zamierzałam wyjść za mąż. Lubiłam swoją pracę, niezależność. Zygmunt też zresztą nie spieszył się do małżeństwa. Niewątpliwie pod wpływem ojca, który bardzo przeżył rozwód z matką Zygmunta. Odeszła do innego mężczyzny zostawiając dzieci mężowi, Zygmunt miał jeszcze siostrę, Anielę. Matka ich umarła zresztą dość szybko, Zygmunt miał chyba dwanaście lat. Ojciec Zygmunta przestał wierzyć w sens małżeństwa i w takim duchu wychował syna.

W końcu jednak tak się ułożyło, że postanowiliśmy się pobrać. Ślub, bardzo skromny, odbył się w lutym 1939 roku.

Małżeństwo niewiele zmieniło w naszym sposobie życia. Oboje pracowaliśmy. Zamieszkaliśmy u Zygmunta przy alei Kościuszki, niedaleko domu jego ojca. Wiosną 1940 roku mieliśmy przeprowadzić się do nowego, naszego własnego mieszkania...

Jak spędziliście ostatnie przedwojenne lato 1939 roku?

Ponieważ nie wyjechaliśmy w podróż poślubną, chcieliśmy latem 1939 wyjechać na wakacje do Francji i Północnej Afryki. Mieliśmy już gotowy cały plan podróży. Ale ojciec Zygmunta bał się, że wybuchnie wojna i jeśli będziemy za granicą, pozostaniemy rozłączeni. Poprosił nas wobec tego o przełożenie wyjazdu na następny rok i spędzenie wakacji w Polsce. W zamian za to obiecał, że jeśli wojna nie wybuchnie – twierdził, że albo wybuchnie do 1 września, albo uda się jej zapobiec – zafunduje nam podróż na wystawę światową do Nowego Jorku. Wykupił nam nawet bilety na statek na 24 września!

Wyjechaliśmy więc nad morze, do Juraty i Jastarni. Bawiliśmy się świetnie, mieliśmy wspaniałą pogodę, było dużo znajomych. Jedynym ciemnym punktem na tym „bezchmurnym” niebie były powracające w rozmowach wzmianki o wojnie. 24 sierpnia uznaliśmy, że trzeba wracać do Łodzi, gdyż robi się zbyt niespokojnie. Tego dnia, na plaży, dowiedzieliśmy się, tak jak i inni, z dziennika nadawanego przez radiostację na plaży, o powszechnej mobilizacji i tego też dnia po powrocie do hotelu znaleźliśmy depeszę od ojca o powołaniu Zygmunta do wojska.

Dotarliśmy do Łodzi z trudnościami, 24 sierpnia, późno w nocy. Ojciec już na nas czekał. Zygmunt miał czas tylko na spakowanie się, po czym odwieźliśmy go na dworzec. Odjechał do Warszawy, do I Pułku Przeciwlotniczego, był podporucznikiem rezerwy. Dostałam jeszcze od niego list datowany przed 1 września, w którym pisał: „Nic się nie martw, wojny nie będzie!”.

Jak ułożyły się pani losy w początkach wojny?

Zostałam w Łodzi, przeniosłam się do ojca Zygmunta, który nie czuł się najlepiej. Do 3 września jeszcze pracowałam, później rejent z rodziną wyjechał, kancelaria przestała funkcjonować. Dużo ludzi uciekało z Łodzi, otworzono również więzienia i wypuszczono wszystkich więźniów, ale nie było żadnych burd, przeciwnie – panowało ogromne zdyscyplinowanie. My z teściem zdecydowaliśmy, że zostajemy. Kilka dni później Niemcy weszli do Łodzi.

O ile dobrze pamiętam, 8 listopada Niemcy wezwali do Rady Miejskiej 1500 znaczniejszych osób z Łodzi. Twierdzili, że chcą się wspólnie zastanowić, jak zorganizować życie mieszkańców miasta. Postanowili bowiem, że 11 listopada (specjalnie wybrali tę datę) nastąpi oficjalne włączenie miasta Łodzi do Rzeszy. Obawiali się więc zamieszek ze strony polskiej. Wszyscy ci, którzy dostali takie wezwanie, zgłosili się na „zebranie” wyznaczonego dnia, również i mój teść. Minęło kilka dobrych godzin, zbliżała się godzina policyjna, a on nie wracał. Zaniepokojona, wysłałam pokojówkę, Niemkę, ale baptystkę, żeby dowiedziała się, co się stało. Wróciła z niczym, powiedziano jej, że zebranie trwa nadal. Następnego dnia rano dowiedziałam się, że wszyscy zostali zatrzymani, wywiezieni do Radogoszcza i osadzeni w opuszczonej fabryce.

Skontaktowałam się z adwokatem, pytając, jak można by teścia stamtąd wydostać; poszedł przecież bez pieniędzy, bez zmiany bielizny. Niestety, mimo wielu interwencji nic nie udało się zrobić. Potem dowiedziałam się, że byli trzymani w strasznych warunkach (większość z nich była w podeszłym wieku), dopiero po jakimś czasie pozwolono nam na przestanie jedzenia i bielizny. Wspólnie z siostrą Zygmunta, Anielą, która przyjechała z Warszawy, wystaraliśmy się o przepustki i pojechaliśmy do Radogoszcza, żeby zobaczyć się z teściem. Ale na miejscu okazało się, że część zatrzymanych, w tym i teścia, przewieziono do Krakowa. Po jakimś czasie zwolniono go w grupie 16 najstarszych. Przyjechał do córki w bardzo złym stanie fizycznym i psychicznym. Do Łodzi już nie wrócił, zamieszkał u Anieli w Warszawie.

Czy miała pani w tym czasie kontakt z Zygmuntem?

Jeszcze przed zwolnieniem teścia dostałam przez zieloną granicę wiadomość od Zygmunta, że przedostał się do swojego stryja, do Stanisławowa, i że tam na mnie czeka. Ja odpowiedziałam wówczas, że nie mogę się ruszyć, bo nie wiadomo, co się dzieje z jego oj-

cem, ale jak tylko będę mogła, spróbuję się dostać do Stanisławowa. Oczywiście on tej wiadomości nie otrzymał. Ale kiedy teś wrócił i zaopiekowała się nim Aniela, zdecydowaliśmy, że mogą jechać do Zygmunta.

Nawiązałam kontakt z kimś, kto przeprowadzał przez zieloną granicę, choć właściwie nikt już wtedy nie odważał się na taką wyprawę – był koniec grudnia 1939 roku. Uzgodniliśmy warunki i postanowiliśmy wyruszyć 2 stycznia. Po wielu uciążliwych przygodach udało nam się dotrzeć do Lwowa. Podróż trwała tydzień.

We Lwowie pierwszą noc spędziłam u znajomych Zygmunta, którzy na mój widok postukali się w głowę, twierdząc, że on już dawno przedostał się na Zachód. Muszę przyznać, że załamalam się i w pierwszej chwili nie wiedziałam, co robić. Ale nie miałam wyboru, ruszyłam do Stanisławowa, tam przynajmniej był stryj Zygmunta.

W Stanisławowie czekała mnie miła niespodzianka – zastałam Zygmunta w domu. Okazało się, że rzeczywiście próbował z kolegą przedostać się przez granicę, ale zatrzymali ich Sowietzi i aresztowali. Mieli jednak ogromne szczęście, więzienie okazało się przepętione i wypuszczono ich do domu!

Co się działo z Zygmuntem od waszego sierpniowego rozstania do spotkania w Stanisławowie?

Trzeciego dnia wojny Zygmunt wraz z dwoma innymi kolegami został wysłany przez swojego dowódcę do Brześcia nad Bugiem. Miał rozkaz zorganizowania do Warszawy transportu dział przeciwlotniczych, które znajdowały się w twierdzy. Ale kiedy Zygmunt dotarł w końcu do Brześcia, rozkaz okazał się nieaktualny. O powrocie do Warszawy nie było mowy, Brześć był okrążony, komendant kazał rozebrać działa na drobne części i zatopić w Bugu, aby nie dostały się w ręce Niemców. Zwolnił również żołnierzy do domu, gdyż nie było się czym bić. Zygmunutowi doradził zrobić to samo.

Zygmunt wraz z podchorążym, Maksem, który przyszedł z nim z Warszawy, postanowili przedostać się na Zachód przez granicę z Rumunią. W drodze jednak złapali ich Rosjanie, dołączyli do dużej, około dwutysięcznej grupy oficerów polskich.

Początkowo grupę tę pędzono pieszo. Zygmunt wraz z Maksem postanowili, że jak to tylko będzie możliwe, spróbują uciec. Taka okazja nadarzyła się w Czortkowie, gdzie zapędzono Polaków na

dworzec. Można było się domyśleć, że wywiozą ich w głąb Rosji. Na dworcu zrobiło się potworne zamieszanie, Zygmunt z Maksem wykorzystali je i uciekli. Wpadli do któregoś z domów sąsiadujących z dworcem (byli oczywiście w mundurach). Tam natknęli się na stróżkę, a ona ukryła ich na strychu. Po jakimś czasie zdobyła dla nich ubrania, trochę jedzenia. Później okazało się, że oficerowie z transportu, z którego Zygmunt uciekł, trafili do Katynia.

Na strychu przesiedzieli trzy dni. Kiedy transporty odeszły, oni przebrani w cywilne ubrania przedostali się do Stanisławowa.

Udało się wam połączyć w styczniu 1940 roku, nie był to sprzyjający okres na podjęcie decyzji o przejściu na Zachód. Co postanowiliście robić dalej?

Rosjanie wydali rozporządzenie, że kto nie ma sowieckiego paszportu lub pozwolenia na pobyt, nie może mieszkać w mieście wojewódzkim, tylko w obrębie 100 kilometrów od tych miast. W tej sytuacji zaczęliśmy zastanawiać się, co robić dalej. Mowy nie było o tym, abyśmy wyjechali na jakąś ukraińską wieś. Postanowiliśmy więc jechać do Lwowa, a stamtąd przedostać się z powrotem do Polski. Zdarzył się wtedy przypadek, który przyspieszył nasz wyjazd. Po 17 września ludność zamieszkała na terenach włączonych do Sowietów otrzymała automatycznie obywatelstwo sowieckie. A inni, tacy jak my, tak zwani „bieżeńcy”, musieli o nie prosić. Oczywiście myśmy tego zrobić nie chcieli.

Zaczęliśmy przygotowywać się do opuszczenia Stanisławowa. Okazało się, że trzeba było pójść na posterunek i zawiadomić odpowiednie władze o wyjeździe. Kiedy Zygmunt tam się zgłosił, kazano mu podpisać jakiś dokument. Nie znał rosyjskiego, ale w którymś momencie zorientował się, że jest to prośba o przyznanie paszportu sowieckiego. Niewiele myśląc podarł ten papier, złapał nasze dokumenty i uciekł. Tego samego wieczoru wyjechalśmy ze Stanisławowa.

Jak wyglądała wówczas, w czerwcu 1940, sytuacja we Lwowie?

Przyjechalśmy w najgorszym momencie. Rosjanie wydali rozporządzenie, żeby przygotować kilkudniowe racje żywności, nie opuszczać mieszkań przez trzy dni, gdyż odbędą się ćwiczenia przeciwlotnicze. W rzeczywistości w ciągu tych trzech dni rozpoczęto ogromne wywózki, głównie Polaków. Wybierali całe domy.

Myśmy z Zygmuntem nie znaleźli wspólnego pokoju, ja spałam u swoich znajomych, dwóch pań, które uciekły z Warszawy i były zameldowane we Lwowie, więc NKWD miało ich ślad. Zygmunt natomiast nocował u innych znajomych. Pierwszej nocy, notabene, w czasie której w mieście panował ogromny ruch samochodowy mimo zakazu sowieckich władz, Rosjanie przyszedli do mieszkania, w którym zatrzymał się Zygmunt, ale go nie zabrali, gdyż nie znaleźli jego nazwiska na liście. Ja tej nocy nie spałam do drugiej, czekając na NKWD, ale nie pojawili się. Następnej nocy zostaliśmy razem obawiając się aresztowania. Rzeczywiście nie omyliliśmy się. Na szczęście nie rozdzielono nas. Enkawudyści zgodzili się nawet poczekać do rana, abyśmy mogli pożyczyć od znajomych trochę pieniędzy.

Oczywiście nie wiedzieliśmy, co się z nami stanie. Zawieziono nas na dworzec, załadowano do wagonów i odjechaliśmy w nieznanym kierunku.

Podróż trwała prawie tydzień, dostawaliśmy do jedzenia solone śledzie, a upał był nie do zniesienia. Następnie płynęliśmy barzami, tu już rozdzielano ludzi, przewieziono nas Wołgą do posiołka o dzwicznej nazwie Cyngłok – jak się później dowiedzieliśmy, znaleźliśmy się w Maryjskiej Republice Autonomicznej. Tu spędziliśmy szesnaście, najdłuższych w naszym życiu, miesięcy.

Jaka była wasza pierwsza reakcja, gdyście się tam znaleźli?

Kiedy pociąg zatrzymał się i kazano nam wysiadać, nikt nie chciał się ruszyć. Zobaczyliśmy dookoła lasy, baliśmy się, że nas rozstrzelają. W końcu jednak udało się Rosjanom wyrzucić nas z wagonów, pognano nas przez las do dość dużej polany, na której znajdowało się kilkanaście drewnianych baraków. Rozdzielono nas, tak aby na każdy barak przypało po kilkanaście osób. W sumie było nas około 450 osób. W naszym baraku, który składał się z jednej izby, mieszkało w sumie 10 osób, w tym były również rodziny z dziećmi.

Jak wyglądało wasze życie w tym posiołku?

Baraki były zbudowane z surowych desek, były w nich tysiące leśnych pluskw, sami musieliśmy „ocieplić” ściany końskim łajnem. Najprostsze wyposażenie oraz prycze do spania każdy musiał sobie zrobić sam z desek. Jeśli ktoś miał koc czy kołdrę, kładł ją na

pryczy i tak spał. Jeśli nie miał, spał na gołych deskach. Niektórzy przywieźli pościel i sprzęty domowe, sami Rosjanie zabierając ich z domów, radzili, aby tak zrobić. Myśmy początkowo spali pod moim futrem. Po jakimś czasie w naszym sklepiku pojawił się barchan, z którego poszyliśmy coś na kształt sienników. Napchaliśmy je wysuszoną trawą i tak spaliśmy.

Zostaliśmy podzieleni na brygady męskie i żeńskie. Kobiety miały pierwszy tydzień na „oswojenie” się z pracą. A było się z czym oswajać, [*śmiech*] gdyż każda z nas dostała siekierę, zresztą tępą, której nie mogłyśmy udźwignąć, a co dopiero podnieść ją do góry i rąbać drzewo. Do dziś nie rozumiem, jak myśmy dały sobie z tym radę! Jak widać, człowiek do wszystkiego się przyzwyczaja.

Wstawaliśmy do pracy o piątej rano i pracowaliśmy do zmroku. Na jedzenie musiałyśmy zapracować. Początkowo dostawałyśmy półtora bochenka chleba dziennie, trwało to jednak krótko, potem ograniczono nam porcje do dwóch kromek. Chleb był gliniasty i bez smaku, więc aby go poprawić, piekłyśmy na ogniu. Było tak zimno, że wokół terenu pracy paliły się ogniska, aby można było się trochę ogrzać. Jeśli któraś z nas miała czosnek, smarowałyśmy nim chleb, po czym mówiłyśmy, że smakuje jak kiełbasa czosnkowa. Zazwyczaj też opowiadałyśmy sobie wtedy, jakie rarytasy miałyśmy kiedyś zjadać.

Poza tym mogliśmy się żywić w garkuchni, w której jedzenie było jednak „niejadalne”.

Byliśmy w stanie wyżywić się sprzedając okolicznej ludności różne części garderoby zabranej jeszcze ze Lwowa. Dzięki takiej wyjątkowo „udanej” sprzedaży zjedliśmy, jeden jedyny raz w ciągu tych szesnastu miesięcy, mięso.

Wyżyliśmy cudem. Pamiętam, niedługo po przyjeździe Zygmunt powiedział mi, że na pewno tam umrzemy, że nie przeżyjemy. Odpowiedziałam mu wtedy, że nie ma mowy, abyśmy zginęli, że musimy przeżyć. W przeciwnym wypadku powinniśmy natychmiast powiesić się na najbliższym kołku, bo po co się tak straszliwie męczyć przed śmiercią!

Wspomniała pani o miejscowej ludności. Kto to był? Czy posiołek był pilnowany przez Rosjan?

Oprócz nas, Polaków, było w posiołku czworo Rosjan: leśniczy, piekarz z żoną i jeden enkawudysta. Więcej ich być nie musiało, nie obawiali się, że ktoś ucieknie, nie było dokąd. Wokół lasy, trzy czwarte roku w lodzie i śniegu po szyję, w zasięgu kilkudziesięciu kilometrów pustka.

Po jakimś też czasie dowiedzieliśmy się, że niedaleko posiołka mieści się kołchoz. Któregoś dnia w niedzielę wybraliśmy się tam. Okazało się, że jest on zamieszkały wyłącznie przez kobiety, dzieci i starców. Wszystkich mężczyzn wywieziono; prawdopodobnie do obozów. Bieda była tam straszna, ludzie ci mieszkali w identycznych warunkach jak my. Ale byli gościnni, pamiętam, że poczęstowali nas tym, co sami jedli. Była to wodzianka, w której pływały liście kapusty.

Jak reagowali na wiadomość, że jesteście Polakami?

Zazdrościli nam. Te kobiety z kołchozu mówiły do nas: „Wy to jesteście szczęśliwi, o was ktoś się jeszcze po wojnie upomni, ale o nas – nikt!”.

Czy mogliście dostawać paczki od bliskich lub pisać listy do rodziny w kraju?

Raz na jakiś czas mogliśmy wysłać list, ale nie było też żadnej pewności, że dojdzie on do nadawcy. Myśmy wysłali kartkę do ciotki do Stanisławowa i list do siostry Zygmunta do Warszawy, w którym opisałam szczegółowo, w jakich warunkach żyjemy, byłam więc pewna, że nie dojdzie. Po jakimś czasie, ku naszemu zdziwieniu, dostaliśmy w odpowiedzi dwie paczki. A w nich trochę jedzenia od ciotki i na szczęście kilka ciepłych rzeczy z Polski. Ale też kilka przedmiotów, które nas wprawiły w prawdziwe zdumienie, np. dziecinny baskijski berecik albo spodnie do fraka. Siostra Zygmunt, która sama żyła w ciężkich warunkach w Warszawie, przysłała nam to, co jej wpadło w ręce. Większość tych rzeczy sprzedaliśmy sklepikarzowi w zamian za jedzenie.

W jaki sposób dotarła do was wiadomość o tworzeniu polskiego wojska?

Po podpisaniu umowy Sikorski-Majski² przyjechał do naszego posiołka pułkownik NKWD, zwołał ogólne zebranie, w czasie którego zawiadomił nas, że jesteśmy „amnestionowani” i że staliśmy się sojusznikami. Jednocześnie namawiał nas do pozostania na miejscu, gdyż jest wojna, a nasza praca jest potrzebna. Ale naturalnie nikt z nas nie zamierzał go słuchać!

² Umowa Sikorski-Majski podpisana 30.07.1941 r.

Niedługo potem dowiedzieliśmy się – ale w jaki sposób, nie pamiętam, nie było tam przecież żadnych gazet ani radia – o tym, że do Moskwy przyjechała Polska Misja Wojskowa z Londynu. Natychmiast po tym, jak wiadomość ta do nas dotarła, złożyliśmy się wszyscy na wysłanie depeszy, z opłaconą odpowiedzią, do Polskiej Misji Wojskowej w Moskwie. Z tą depeszą wysłaliśmy jednego z mężczyzn na pocztę oddaloną o 40 kilometrów, aby ją tam nadał i nie wracał bez odpowiedzi. Baliśmy się, że w przeciwnym wypadku nie dostaniemy jej. Odpowiedź przyszła i nasz posłaniec przywiózł ją do posiołka. W odpowiedzi był rozkaz, aby wszyscy mężczyźni sprawni do noszenia broni opuścili posiołek i kierowali się do Buzułuku. A kobiety i dzieci, żeby zostały na miejscu, a przysłały tylko dokumenty, by można było odesłać im dowody osobiste. Ale oczywiście nie mieliśmy zamiaru rozstawać się ani ze sobą, ani z papierami, wysyłać je gdziekolwiek – były one dla nas zbyt cenne.

Część ludzi postanowiła zostać i czekać, a reszta chciała jak najszybciej wyjechać, w tym i my z Zygmuntem. Nie wahaliśmy się ani sekundy, dla nas sprawa była jasna. Jeśli sytuacja by się odmiała, tacy jak my, tak zwany „socjalno-opasnyj element”, czyli pasożyty, byli skazani na roboty i pobyt w posiołku dożywotnio.

Zabraliśmy ze sobą odpowiedź z Misji, przepisana na kawałku znalezionej tapety (nie było papieru), jako glejt. Nie mieliśmy bowiem żadnego innego dokumentu uprawniającego do podróżowania po Rosji. Zabraliśmy małe plecaki i wyruszyliśmy w drogę. Był początek września 1941 roku.

Proszę opowiedzieć, jak dotarliście do Buzułuku, do polskiego wojska?

Podróż była potwornie długa i męcząca. Nasz posiołek znajdował się między Kazaniem a Kozmodemiańskim, w rejonie Wołgi. Wszędzie były tłumy ludzi, Rosjanie uciekali masowo, wielu z przestrzeloną lewą ręką – znak, że sami się postrzelili.

Nam udało się dotrzeć nad Wołgę, gdzie z tłumem ludzi dostaliśmy się na statek, który miał nas dowieźć do Kujbyszewa. Największym problemem było jedzenie, umieraliśmy z głodu. Ja co prawda zabrałam trochę kaszy i smalcu, chowanych na czarną godzinę ze stanisławowskiej paczki. Ale nie było gdzie ugotować kaszy. Zastanawialiśmy się, co zrobić, kiedy zbliżyło się do nas, słysząc polską mowę, trzech młodych mężczyzn, ale wyglądających jak starcy, Polaków, jak się okazało. Jechali, podobnie jak my, do wojska. Sły-

sząc, że mamy coś do jedzenia, powiedzieli nam, że do statku do-
czepiona jest barża, a na niej znajduje się jakiś staruszek, który
z pewnością zgodzi się, aby ugotować na jego prymusie kaszę, pod
warunkiem, że się z nim podzielimy. Tak też zrobiliśmy. Udało im
się przerzucić mnie na tę barżę, gdzie ugotowałam kaszę, po czym
zostałam trochę staruszkowi i z wielkim trudem przedostałam
się z powrotem na statek. Podzieliliśmy się wszyscy kaszą, trochę
przysnęliśmy. Rano wyrzeliśmy za burtę, okazało się, że barżę
ktoś odczepił. Wolałam nie myśleć, co by się stało, gdyby ją odcze-
piono, kiedy ja tam gotowałam tę nieszczęsną kaszę! Ale tak właś-
nie ludzie się w Rosji gubili, i tak się odnajdywali.

Jak wyglądał ostatni etap waszej podróży do Buzułuku?

Gdy statek przypłynął do przystani znajdującej się kilka kilome-
trów od Kujbyszewa, wsiadło kilku wysokich urzędników NKWD
w mundurach i oznajmiło nam, że w Kujbyszewie jest już za dużo
ludzi i nie ma mowy o przyjęciu nowych. Musimy płynąć dalej.
Nosy nam się wydłużyły, ale jeden z mężczyzn „od kaszy” wpadł
na pomysł, żeby po zapadnięciu zmroku spróbować wyskoczyć na
brzeg i ukryć się do momentu odpłynięcia statku. Tak też zrobiliś-
my. Kiedy statek odpłynął, enkawudyści odjechali, poszliśmy do
miasta. Szliśmy po ciemku, ale noc była księżycowa. Po jakimś cza-
sie zobaczyliśmy zabiedzonego chłopca prowadzącego niewielki
wóz zaprzężony w osiołka. Chłop szedł i rozmawiał z osłem. Zapy-
taliśmy go, czy zgodzi się, abyśmy położyli na wozie rzeczy i czy ja
mogłabym usiąść. Zgodził się w zamian za machorkę. Ukręcił pa-
pierosa, zaciągnął się, po czym dał pociągnąć osła! Co prawda, dym
mu uszami nie wychodził, ale widzieliśmy, jak się zaciągał. [*śmiech*]

W końcu jednak udało nam się dotrzeć do dworca w Kujbysze-
wie, dosłownie obleganego przez tłumy ludzi. Tych mężczyzn,
którzy byli z nami, wpuszczono bez przeszkód, gdyż mieli odpo-
wiednie papiery. Myśmy pokazali tę odpowiedź z Polskiej Misji
Wojskowej, a Zygmunt dorzucił, że ja jestem z zawodu pielęgniar-
ką i że chcemy się bić z Niemcami. Ale mimo to enkawudyści nie
mogli się zdecydować, co z nami robić. Zdenerwowało to Zygmun-
ta, który powiedział podniesionym głosem: „Jak to, jest wojna, je-
steśmy sojusznikami, a wy nam do wojska nie dajecie iść! My mo-
żemy zapłacić za bilet, jeśli trzeba!” Na co tamci odpowiedzieli:
„Płacić za bilety do wojska i jeszcze dla pielęgniarki, nigdy w ży-
ciu!” – wzięli od Zygmunta tę tapetę z przepisaną odpowiedzią

z Misji, przystawili na niej pieczętę i kazali nam jechać. Tak dotarliśmy do Buzułuku.

Co zastaliście w Buzułuku. Jak przebiegała rekrutacja do wojska?

Buzułuk był małym miastem, mieścił się tam sztab powstającej Armii Polskiej. Znajdował się on w budynku dawnej resursy obywatelskiej. Był to dość duży gmach, ogrzewany i skanalizowany. W nim mieściło się też biuro przyjmujące ochotników.

Już na dworcu zobaczyliśmy żołnierzy z polskimi opaskami i to oni informowali przyjeżdżających, gdzie się kierować dalej. W biurze rekrutacyjnym spisano nasze dane, wypytano Zygmunta, czy był w wojsku, w jakiej jednostce służył, a gdy okazało się, że w artylerii, dano mu bilet i skierowanie do tworzącej się jednostki artylerii przeciwlotniczej stacjonującej we Wrewskoje, 20–30 kilometrów od Buzułuku. Mnie zapytano, gdzie pracowałam przed wojną, czy umiem pisać na maszynie. Sprawdzano też dokładnie datę urodzenia – nikt nie wierzył, że jestem pełnoletnia. Bardzo nas to rozśmieszyło. W końcu dostałam przydział do tak zwanego Biura Personalnego. Był 21 września 1941 roku.

Nie otrzymaliśmy oczywiście żadnych mundurów, gdyż ich po prostu nie było, ani nawet książeczek wojskowych. Warunki były ciężkie, często ludzie nie mieli przecież butów, wielu dotarło do wojska w stanie największego wycieńczenia. Nie było też broni, Rosjanie bali się ją dać polskiemu wojsku, no, ale było morale! Mundury – przyszły z Anglii – dostaliśmy dopiero w listopadzie, i to też nie wszyscy.

Co pani robiła w Biurze Personalnym?

Byłam tam tylko raz. W podróży do wojska nabawiłam się bronchitu, dostałam bardzo wysokiej temperatury i musiałam leżeć. Po tygodniu, kiedy zaczęłam już dochodzić do siebie, przyjechał ze swojej jednostki Zygmunt. W sztabie usłyszał, że szukają dziesięciu kobiet do pracy w Ambasadzie Polskiej w Moskwie. Namówił mnie, żebym się zgłosiła. Posłuchałam jego rady.

Ponieważ podróż miała trwać dobę, na tyle też czasu dostałyśmy prowiant i pojechałyśmy. Ale dotarliśmy do Moskwy dopiero po sześciu dniach, potwornie wygłodzone, gdyż prowiant szybko się skończył. W Ambasadzie o naszym przyjeździe nikt nie wiedział, a był to moment, kiedy Niemcy podchodzili pod Moskwę.

Ambasada, do której dopiero co przyjechał nowy ambasador, profesor Kot, szykowałą się do ewakuacji. Przyjęto nas z nieukrywaną niechęcią, nie dano nawet nic do jedzenia.

Wśród ludzi, którzy tam się znajdowali, panowała trudna do wyobrażenia atmosfera zawiści, a przecież większość z nich dopiero co powróciła z obozów lub zesłania... Prof. Kot był przyjacielem stryja Zygmunta jeszcze ze studiów. Zygmunt namawiał mnie nawet, żebym się z nim skontaktowała. Ale ja po tym, co tam zobaczyłam, nie miałam ochoty.

Nasza podróż okazała się zupełnie bezużyteczna. Po kilku dniach dowiedziałyśmy się, że podstawiono pociąg dla ludzi z Ambasady, oczekiwany zresztą od wielu dni. Miał jechać do Buzułuku. Z trudem udało nam się dostać do tego pociągu.

W Buzułuku przyjęto nas z niebywałą radością, gdyż wszyscy, w tym i Zygmunt, myśleli, że zginęłyśmy. Miały wtedy miejsce bardzo silne bombardowania pociągów.

Ale po powrocie do Buzułuku już pani nie wróciła do Biura Personalnego...

Rzeczywiście nie, z czego zresztą byłam zadowolona. Przydzielono mnie bowiem do Biura Kultury, Prasy i Propagandy, w którym pozostałam prawie do końca wojny. Jego szefem był wtedy Walerian Charkiewicz, ale wkrótce zmienił go przysłany z Londynu, Stanisław Strumph-Wojtkiewicz³.

Czy miała pani okazję poznać gen. Andersa?

Bardzo szybko, gdyż aż do wyjazdu z Buzułuku przygotowywałam wspólnie z trzema moimi kolegami: Zdzisławem Bauem, czyli jak mówiliśmy Zdzibauem, Zbyszkciem Racięskim i Eugeniuszem Lubomirskim codzienny komunikat, opracowany na podstawie nocnego nasłuchu radiowego. Te komunikaty były jedynym źródłem informacji, czymś w rodzaju dziennika. Każdego ranka, bardzo wcześnie, zносиłam taki komunikat Andersowi na biurko, a on częstował mnie papierosem, który wtedy był na wagę złota! Potem, już po ewakuacji z Rosji, miałam również częsty kontakt z Andersem.

³ Stanisław Strumph-Wojtkiewicz (1898–1986), pisarz, publicysta; w latach 1941–1944 w Armii Polskiej na Zachodzie.



Zofia Hertz, Łódź, lata trzydzieste



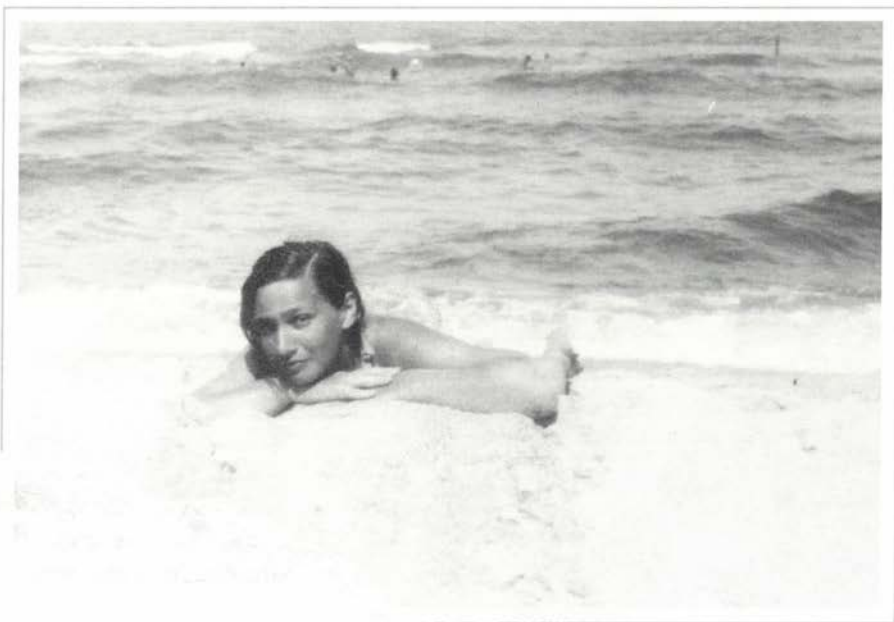
Zofia Hertz i Stanisław Wyżnikiewicz, balkon biura przy placu Wolności 2,
Łódź, 1932 rok



Zofia Hertz, wakacje w Jastarni w 1935 r.



Zofia Hertz (ostatnia z prawej) ze znajomymi, wakacje w Jastarni



—
Zofia Hertz w Jastarni w 1935 lub 1936 roku



Zofia Hertz (druga z prawej), Zakopane, 1935 rok



Zofia Hertz, Zakopane, luty 1936 roku

W Buzułuku wydarzyła się też bardzo nieprzyjemna historia związana z Andersem. Mój szef, Strumph-Wojtkiewicz, nie znosił Andersa, był człowiekiem Sikorskiego. Do moich obowiązków należało między innymi pisanie listów Strumph. Kiedyś wezwał mnie do swojego gabinetu i zaczął dyktować listy. W którymś momencie zorientowałam się, że dyktuje donos na Andersa zaadresowany do Sikorskiego. Przerwałam pisanie i powiedziałam mu, że jestem co prawda sekretarką, ale nie chcę i nie mogę pisać takich rzeczy. I rzeczywiście, potem już nigdy nie dawał mi ich do pisania. Wkrótce zresztą, wiosną 1942 roku, przenieśliśmy się z Buzułuku do Jangijulu.

Czym zajmowała się pani w Jangijulu?

Pracowałam sporo dla kancelarii Andersa i szefostwa sprawiedliwości, zajmowałam się rozdziałem korespondencji, organizowaniem naszego Biura. Jeszcze w Buzułuku, w grudniu 1941 roku powstał „Orzeł Biały”, pismo Armii Polskiej na Wschodzie (a potem II Korpusu), w tym rosyjskim okresie byłam dość ściśle związana z redakcją pisma. Trzeba było wszystko tworzyć od początku, w bardzo trudnych warunkach. Nasze Biuro mieściło się w niewielkim pokoju na Czapaiewskiej. A pismo dostało w bardzo krótkim czasie cenzora sowieckiego – kapitana NKWD Wołodę Sokołowskiego. Nigdy nie było wiadomo, co zostanie skonfiskowane!

W Jangijulu Józef Czapski zastąpił Strumph-Wojtkiewicza na stanowisku szefa Biura. Tu bowiem nastąpiła tak zwana pierwsza ewakuacja, w czasie której Anders pozbył się wszystkich tych, którzy mu nie odpowiadali (w tym i Strumph), oraz tych, którzy nie mieli przydziału. Istniały wtedy trzy pełne dywizje: 5, 6, 7 oraz dwie, które były w powijakach: 9 i 10. Te dwie ewakuował Anders w pierwszej kolejności, a Strumph-Wojtkiewicza mianował szefem tak zwanego załączka 10 dywizji.

Mnie zresztą też nie ominęły pewne nieprzyjemności, a cała historia była tragikomiczna. Otóż w czasie tej ewakuacji wydano również rozporządzenie, że sztab mają opuścić wszystkie kobiety, zostawało nas tylko kilka: pielęgniarki, kilka najlepszych szyfrantek i ja.

W przeddzień ewakuacji zrobiliśmy pożegnalne przyjęcie dla wyjeżdżających. Były, jak wtedy mówiliśmy, słabe zakąski i dużo mocnego alkoholu. [śmiech] Wszyscy się świetnie bawili. Był między innymi Strumph-Wojtkiewicz, na którego wszyscy mówili

„Pończocha”, oraz jedna z naszych koleżanek, w której kochał się Strumph, a którą nazywaliśmy „Pralinka”, gdyż była taka właśnie jak cukierek. Ponieważ mój mąż był w swoim pułku i nie wiedział, że ja zostaję, przysłał mi tego wieczoru pożegnalny list. A ja zaraz po tym przyjęciu odpisałam mu, że nie wyjeżdżam, ale jednocześnie dołączyłam opis przyjęcia. List był napisany na wesoło. A jeden z jego fragmentów brzmiał mniej więcej tak: „Pralinka ślicznie śpiewała, Pończocha się wzruszyła, a Antek [jeden z naszych kolegów] urznął się jak świnia”, a na koniec dołączyłam pozdrowienia w formie – „ściskam cię, stary koniu!”.

Zygmunt dostał ten list, a ja szybko o nim zapomniałam.

W tym czasie naszym szefem został Czapski i to on właśnie, kiedy minęło od wysłania tego listu sporo czasu, wezwał mnie do siebie z bardzo poważną i zatroskaną miną. Gdy weszłam do jego gabinetu, zawiadomił mnie, że dostał polecenie wyrzucenia mnie z wojska. Kiedy to usłyszałam, z wrażenia usiadłam. Byłam w wojsku już dość długo, wszystkich znałam, pracowałam przecież dla kancelarii Andersa, więc musiano darzyć mnie zaufaniem. A tu taka sprawa!

Zapytałam więc Czapskiego, co się takiego stało, a on na to, że zdradziłam tajemnicę wojskową. O jakie tajemnice chodziło, Czapski nie wiedział, polecenie przekazał mu pułkownik Bąkiewicz⁴, szef II Oddziału.

Ja na to powiedziałam: „Zdaje pan sobie sprawę, że wyrzucenie kogoś z wojska w tych warunkach to praktycznie skazanie go na śmierć. Ja, oczywiście, nie mam możliwości nie zastosować się do tego rozkazu, ale jak każdy żołnierz mam przedtem prawo zażądać przedstawienia mnie do raportu do generała Andersa”.

Mówiąc to byłam jednak bardzo zdenerwowana i w którymś momencie oparłam się o biurko Czapskiego. Wśród papierów leżał list, a w nim całe zdania podkreślone kolorowymi kredkami. Charakter pisma w liście wydał mi się podobny do mojego. Coś mnie tknęło i zapytałam Czapskiego, czy te tajemnice, które zdradzałam, są zawarte w tym liście. Na co on odpowiedział, że tak. A był to ten właśnie list napisany przeze mnie do Zygmunta po tamtym pożegnalnym przyjęciu!

Opowiedziałam więc Czapskiemu, w jakich okolicznościach go napisałam i co on zawierał oraz że przesałam go pocztą polową. Zapytałam również, czy wyobraża sobie, że jestem taką idiotką, żeby zdradzać tajemnice wojskowe tak, aby każdy mógł je przeczy-

⁴ Płk Wincenty Bąkiewicz (1897–1974).

tać! Na zakończenie dorzuciłam, że tym bardziej żądam widzenia się z Andersem.

Czapski próbował mnie uspokoić i obiecał, że najpierw sam porozmawia z pułkownikiem Bąkiewiczem i jeśli to nie poskutkuje, pójdzie do Andersa. I po tym rzeczywiście rozkaz wycofano i sprawa ucichła. Po pewnym czasie dowiedziałam się jednak, że powodem całej tej historii był Zygmunt.

Czy jego również oskarżono o szpiegostwo?

Okazało się, że interesował się nim Drugi Oddział, na skutek donosów pewnego porucznika, który mieszkał z nim w tym samym namiocie. Porucznik był z Dwójki, został przysłany do tego samego oddziału specjalnie, aby śledzić Zygmunta. Cała historia zaczęła się kilka miesięcy wcześniej. Któregoś dnia, gdy Zygmunt pełnił dyżur, podszedł do niego jakiś wachmistrz czy sierżant i zaczął narzekać, że oficerowie to dopiero mają dobrze, gdyż dostają dużo pieniędzy, a oni, szeregowi, byle grosze. Na co Zygmunt wykrzyknął: „Panie, o jakich pieniądzach pan mówi. Kto z nas wstąpił do wojska dla pieniędzy. Przecież jesteśmy tu, aby się bić!”. Po czym wymyślał tego człowieka. A tamten złożył swojemu dowódcy meldunek, że porucznik Hertz krytykuje oficerskie pensje.

Od tego czasu zaczęto mu się przyglądać. Zbieg okoliczności sprawił, że kilka tygodni później Zygmunt zrobił awanturę szefowi stołówki, w której stołowali się jego żołnierze. Ten bowiem zamiast normalnych racji żywności dawał żołnierzom do jedzenia jakieś robaczywe świństwo, a przydziały sprzedawał gdzieś nielegalnie. To również wykorzystano przeciwko Zygmuntowi. Stwierdzono, że jest na pewno komunistą i trzeba mu się lepiej przyjrzeć. Po czym trafiono na mój list. To potwierdziło ich podejrzenia! [śmiech]

W jaki sposób dowiedzieliście się o tej historii?

Kiedy armia opuszczała Rosję, wyrzucano i palono stosy niepotrzebnych papierów. Pułkownik Angerman, szef Zygmunta, pokazał mu wtedy cały plik donosów na niego, po czym je spalił. Ale przy okazji zapytał Zygmunta, czy teraz rozumie, dlaczego przez cały ten czas od Buzułuku nie awansował. Zygmunt miał wciąż stopień podporucznika, a wszystkich z tym stopniem awansowano

dużo wcześniej. Po tej historii bardzo szybko dostał jednak awans na porucznika. Potem już ani on, ani ja nie mieliśmy żadnych problemów. Ale takich przypadków było wtedy w wojsku sporo.

Wspomniała pani o Czapskim. Czy poznaliście się, kiedy został szefem Biura Propagandy?

Józia Czapskiego widywałam jeszcze w Buzułuku, kiedy przyjeżdżał ze swoich licznych podróży po Rosji, które odbywał szukając zaginionych oficerów polskich, aby zdawać raport Andersowi. Józio był charakterystyczną postacią. Bardzo wysoki, potwornie chudy, z rudą czupryną. Ale oczywiście wtedy znałam go dość przelotnie. Poznaliśmy się lepiej, kiedy został szefem naszego Biura, latem 1942 roku. Ale zaprzyjaźniliśmy się dopiero wtedy, kiedy pracowałam już z Giedroyciem w Iraku.

Jaką trasę przeszła pani z II Korpusem od Jangijulu do Włoch?

Z Jangijulu wyszliśmy późnym latem 1942 roku. Ewakuacja odbywała się partiami. Pierwszy etap: płynęliśmy statkami do Pahlewi. Tutaj, w czasie krótkiego postoju, udało mi się spotkać z Zygmuntem, który właśnie do Pahlewi został oddelegowany jako oficer łącznikowy do kontaktów z Anglikami. Z Pahlewi przewożono nas rozpadającymi się autokarami do Teheranu. Większa część trasy prowadziła nad głębokimi przepaściami, modliliśmy się wszyscy w duchu, aby autokar tam nie wpadł. Jechaliśmy mijając potężne skaliste góry, o wspaniałych kolorach. To jeden z najpiękniejszych widoków, jakie widziałam w życiu.

W Teheranie ulokowano nas w nieukończonej fabryce, ale mnie udało się znów spotkać z mężem i przez kilka dni mieszkaliśmy w hotelu. Później jechaliśmy dalej, przez Iran i część Iraku aż do Quisil Ribat. Tu zostaliśmy na dłużej, bo do jesieni 1943 roku. Potem była Palestyna, w której stacjonowaliśmy prawie sześć miesięcy. Ostatni etap prowadził do Egiptu, gdzie mieścił się punkt przerzutowy do Włoch. Do Campo Basso dotarliśmy w marcu 1944 roku, we Włoszech zastał mnie koniec wojny.

Czy często widywała się pani z mężem?

Widywaliśmy się na przepustkach i spędzaliśmy razem urlopy. Robiliśmy wtedy dalsze wypadki, byliśmy między innymi w Jerozolimie i nad Morzem Martwym.

W jakich okolicznościach spotkała pani Jerzego Giedroycia?

Pod koniec grudnia 1942 roku, byliśmy wtedy na pustyni w Quisil Ribat, Józio Czapski poinformował mnie, że niedługo dojdzie do naszego Biura nowy kierownik działu czasopism i wydawnictw wojskowych. Ale w tym samym czasie zostałam oddelegowana na dwa miesiące do Kairu, gdzie tworzone tygodnik ilustrowany „Parada”. Miałam tam zorganizować funkcjonowanie Biura.

Kiedy wróciłam z Kairu, na początku marca 1943 roku, koleżanki od razu zawiadomiły mnie, że ten „nowy” już pracuje, że jest bardzo przystojny, ale straszny ponurak. Chciałam się przekonać na własne oczy, jak on wygląda, natychmiast więc udałam się do „biura” Czapskiego – mieściło się ono w namiocie. Siedział tam Giedroyc i rzeczywiście robił wrażenie dość ponurego. Nie przejęłam się tym i mówię, że chciałabym widzieć majora Czapskiego, gdyż właśnie wróciłam z Kairu. Na co Giedroyc odpowiedział: „Przecież widzi pani, że go tu nie ma!”. Niestety, nie udało mu się mnie pozbyć, gdyż postanowiłam tam na Czapskiego zaczekać. Musiał mnie Jerzy nieźle w duchu przeklinać!

Zaczęłam go wypytывать, jak długo tu jest, czy mu się podoba. Odpowiadał monosylabami. W końcu jednak nie doczekałam się Czapskiego i wyszłam. Taki był mój pierwszy kontakt z Jerzym. [śmiech]

Wkrótce nasze Biuro przeniosło się do Bagdadu, gdzie zaczęliśmy pracować razem. Pracę kończyliśmy często późno w nocy. A ja mieszkalam wtedy w domu tak zwanych Pestek, czyli Pomocniczej Służby Kobiet. Bałam się sama wracać, gdyż zdarzały się napady Arabów na kobiety i prosiłam Jerzego, żeby mnie odprowadzał. Był zły, ale nie śmiał mi odmówić. Po jakimś czasie okazało się, że świetnie się rozumiemy i mamy wspólny język.

A jak doszło do tego, że Jerzy Giedroyc znalazł się w waszym Biurze?

Jerzy przyszedł do nas z Brygady Strzelców Karpackich. Jego droga do wojska była inna niż moja. Opuścił bowiem Polskę we wrześniu 1939 roku, razem z ministerstwem. Był wtedy naczelnikiem wydziału Ministerstwa Przemysłu i Handlu. Wraz z ministerstwem znalazł się w Rumunii, gdzie był przez jakiś czas sekretarzem ambasadora Rogera Raczyńskiego⁵. Z Rumunii wyjechał

⁵ Roger Raczyński (1889–1945), wiceminister rolnictwa i reform rolnych, od maja 1938 roku ambasador RP w Rumunii; w czasie wojny w Turcji, Egipcie i Grecji.

w lutym 1940 roku do Stambułu, a potem do Palestyny, gdzie wstąpił do Brygady Strzelców Karpackich. Był w Tobruku. Jesienią 1942 roku odnalazł go Czapski i postanowił ściągnąć do Propagandy. A oni z Czapskim znali się jeszcze sprzed wojny, z Warszawy, z klubu literackiego założonego przez Filosofowa⁶.

Czym zajmował się Wydział Kultury, Prasy i Propagandy?

Nasz Wydział był ogromny, składał się z wielu działów, które zajmowały się działalnością wydawniczą, prasą, teatrem, filmem, fotografią itd. To nasz Wydział organizował również programy rozrywkowe dla żołnierzy, z udziałem piosenkarzy, aktorów i tancerzy znajdujących się w II Korpusie. Wydawaliśmy gazety: „Orla Białego” (wychodził od początku istnienia Korpusu), „Paradę”, tygodnik ilustrowany założony w Kairze, oraz nieco później stworzony dziennik „APW” – Armia Polska na Wschodzie – czyli, jak myśmy wtedy mówili, „A Po Co Wychodzi”. [śmiech] Kobiety zaczęły również wydawać swoją „Ochotniczkę”, a ojciec Bocheński⁷ założył pismo „W imię Boże”.

Co konkretnie pani i Jerzy Giedroyc robiliście?

Prowadziłam sekretariat Jerzego, ale oprócz tego zajmowałam się przygotowaniem planu pracy dla Wydziału, przydzielaniem ludziom pracy, a także realizacją praktyczną pomysłów Giedroycia i Czapskiego. Potrzeba było do tego dobrego zmysłu organizacyjnego oraz rozeznania w ludziach, a ja wszystkich świetnie znałam. Omawialiśmy z Jerzym różne plany związane z funkcjonowaniem Wydziału, na przykład przygotowywaliśmy tematykę odczytów dla żołnierzy, wybieraliśmy osoby, które nadawałyby się do ich wygłaszania.

Jeszcze w Palestynie nawiązaliśmy kontakty z polskimi uchodźcami, których wojna rzuciła do Jerozolimy. Jerzy wyciągał spośród nich ludzi piszących.

⁶ Dymitr Filosofow (1872–1940), rosyjski krytyk i eseista; od 1920 roku na emigracji w Polsce; w latach 1934–1936 prowadził w Warszawie klub dyskusyjny pod nazwą „Domik w Kołomnie”.

⁷ Józef Maria Bocheński (1902), o. Innocenty, dominikanin, historyk logiki, filozof, znawca i krytyk marksizmu, profesor na Uniwersytecie we Fryburgu.

Byłam nadal związana z „Orłem Białym”. W Palestynie jeździłam raz na tydzień, kiedy wychodził „Orzeł Biały”, z Tel Awiwu, gdzie mieściło się nasze Biuro, do Jerozolimy, zawoziłam tam „Orła”. Poza tym spotykałam się z autorami, odbierałam artykuły, wypłacałam honoraria.

Szczegóły naszej pracy są bardzo trudne do opowiedzenia. Jerzy miał zawsze, co jest dla niego charakterystyczne, tysiące pomysłów. Zazwyczaj najpierw omawiał je z Józiem, który był jego *porte-parole* u Andersa, a potem ze mną. Całą stronę praktyczną każdego przedsięwzięcia pozostawiali mnie. Często co godzina „wychodziła” nowa sprawa i trzeba było dopilnować kilku, kilkunastu rzeczy jednocześnie.

Wspomniała pani o podróży do Kairu zimą 1942 roku, spotkała się pani wtedy z Władysławem Broniewskim...

W czasie tej podróży z Bagdadu do Kairu miałam rzeczywiście okazję poznać Broniewskiego bliżej. Jak już wspomniałam, zostałam oddelegowana wtedy na dwa miesiące do Kairu, żeby założyć pismo „Parada”. Okazało się, że będziemy jechać w piątkę: nasz szef por. Włodek Cichy, ja, pisarz Marian Czuchnowski, malarz Edward Matuszczak i Broniewski, który jechał do Jerozolimy, gdzie mianowano go redaktorem pisma „W drodze”. Jechaliśmy przez Damaszek, w którym mieliśmy dzień postoju. Spędziliśmy go chodząc do wieczora po mieście. Trafiliśmy wtedy na most, o którym Broniewski ułożył później wiersz *W Damaszku jak w Zawichoście stoję sobie na moście*, nawet mamy tam zrobione zdjęcie. Z Damaszku do Haify jechaliśmy przez tak zwaną czarną pustynię, która w rzeczywistości była bajecznie kolorowa, usłana anemonami. Pociąg jechał tak wolno, że Cichy wyskoczył z niego, uzbierał mi bukiet kwiatów, po czym z powrotem wskoczył do pociągu. Broniewski natomiast całą drogę deklamował wiersze, był świetnym deklamatorem. Później rozstaliśmy się, on pojechał do Jerozolimy, a my do Kairu.

Broniewski był bardzo miłym i dowcipnym człowiekiem, niestety później strasznie się rozpił. To był typowy człowiek Wschodu, nie mógł żyć nigdzie indziej jak w Polsce, może jeszcze w Rosji. Po zakończeniu wojny było pewne, że wróci do Polski. Pod koniec lat pięćdziesiątych przyjechał do Paryża i był u nas w „Kulturze”. Czuł się zażenowany swoim zachowaniem w okresie stalinowskim, próbował się usprawiedliwiać. Ale Jerzy, który nie lubi niczego

owijać w bawełnę, od razu mu powiedział: „Doskonale rozumiem, że wrócił pan do Polski, ale dlaczego pisał pan wiersze ku chwale Stalina? Tego pan robić nie musiał!” A Broniewski na to: „No tak, ale przyzna pan, że to świetne wiersze!”. Nie było co z nim dyskutować. Jednak zawsze, kiedy był w Paryżu, a przyjeżdżał dość często, dzwonił do Jerzego i pytał: „Panie Jerzy, kiedy się spotkamy, poda mi pan rękę?” a Jerzy odpowiadał: „Podam”.

Jaki był pani stopień w wojsku?

Dostałam stopień starszego sierżanta, najwyższy, jaki mogłam dostać bez skończenia podchorążówki. Ja nawet chciałam ją skończyć, ale koledzy mi nie pozwolili twierdząc, że przecież i tak nie będę do nikogo strzelała, a w Wydziale jestem potrzebna. Stopień nie był mi tam do niczego potrzebny. W takiej zresztą sytuacji była większość pracowników naszego Biura. Prawie nikt nie służył wcześniej w wojsku, wszyscy byli tak zwanymi „soldafonami”. W podobnej sytuacji był też Jerzy, którego potem mianowano podporucznikiem czasu wojny. Toteż kiedy został kierownikiem Wydawnictw i Czasopism Wojskowych, wystąpił dla nas o stopień angielski, tak zwany *public relations officer* (PRO – stopień oficerski za pełnioną funkcję). I Anglicy nam go przyznali w grudniu 1943 roku, dostało 10–12 osób. Wzbudzało to zresztą ogromną zazdrość innych, wiązało się bowiem z pewnymi przywilejami. Stopień ten odpowiadał angielskiemu stopniowi majora, pozwalał na korzystanie z kasyn oficerskich itp., ale pensja była podporucznika.

Kiedy znaleźliście się we Włoszech?

Dotarliśmy do Campo Basso na południu Włoch w marcu 1944 roku i tam zostaliśmy do czerwca, a potem od lipca byliśmy w Rzymie.

We Włoszech miał miejsce konflikt Jerzego Giedroycia z gen. Andersem, w wyniku którego pani, Giedroyc i Czapski znaleźliście się w niełasce. Jaka była przyczyna tego konfliktu?

Jerzy był odpowiedzialny za „Orla Białego”, choć redaktorem pisma był Józef Poniatowski. Jerzy nie był z tych, którzy posłusznie realizowali rozkazy dowódców, wręcz przeciwnie – starał się

prowadzić politykę niezależną. Po bitwie pod Monte Cassino, a w rocznicę bitwy pod Tobrukiem Jerzy wydrukował w „Orle Białym” artykuł Bielatowicza *Libia a Cassino*⁸, porównujący bitwę pod Tobrukiem z bitwą pod Monte Cassino. No i nie spodobał on się Andersowi. Anders uważał bowiem, że bitwa pod Monte Cassino, którą on dowodził, nie może być porównywana z żadną inną.

W rezultacie Jerzy został wezwany do karnego raportu do gen. Wiśniewskiego⁹ i skazany na 10 dni aresztu domowego. Po pewnym czasie – na skutek interwencji płk. Bąkiewicza, szefa II Oddziału II – został odwołany ze stanowiska i wysłany na południe, do Gallipoli, gdzie miał być oficerem oświatowym w Centrum Wyszkożenia Broni Pancernej, do czego w ogóle się nie nadawał. Nie został tam jednak długo, bo wyjechał do Londynu. Wezwał go tam, na prośbę ministra Adama Pragiera¹⁰, Anders, wówczas pełniący obowiązki zastępcy naczelnego wodza. Jerzy został mianowany dyrektorem departamentu kontynentalnego w Ministerstwie Informacji.

Dostało się również Józiowi Czapskiemu. Józio przyjaźnił się bardzo z Jerzym, zwłaszcza od czasów Palestyny, i starał się przekonać Andersa do różnych pomysłów Jerzego. I trzeba przyznać, że często mu się to udawało, gdyż Anders miał do Czapskiego słabość. Józio był wtedy oficerem do zleceń przy Andersie. Czasem, gdy Anders nie akceptował pewnych pomysłów Jerzego i Józia, Józio żartując mówił: „będę się musiał podać do dymisji”. Anders nie brał tego na serio. Ale po tej historii z artykułem Jerzego przyjął którąś z dymisji Czapskiego.

Ja natomiast po całej tej sprawie pracowałam jeszcze przez kilka miesięcy w naszym Biurze, ale z rotmistrzem Kazimierzem Świącickim, następcą Józia, źle mi się układała współpraca. Zmieniła się też obsada Biura, a ci, którzy stanowili starą ekipę, byli źle widziani. Po jakimś czasie zresztą pozbyto się mnie, zostałam awansowana na kierownika drukarni polowej, co było zupełnym nonsensem, gdyż absolutnie się na tym nie znałam, a mój poprzednik był świetnym fachowcem, drukarzem z zawodu. W drukarni byłam tydzień, po czym poprosiłam o zaległy urlop. Po urlopie przeniesiono mnie do Ankony do Biura Oszczędności Żołnierzy Wojska w basenie Morza Śródziemnego. Biuro zajmowało się prowadze-

⁸ Artykuł ukazał się w nr. 16 „Orla Białego” z 11.06.1944 r.

⁹ Gen. Kazimierz Wiśniewski (1896–1964), po wojnie na emigracji w Londynie.

¹⁰ Adam Pragier (1886–1976), działacz socjalistyczny, od 1904 roku w PPS; od 1939 na emigracji, od 1944 minister informacji i dokumentacji w rządzie T. Arciszewskiego.

niem księgowości oszczędności żołnierzy. Praca ta była wyjątkowo nudna. Musiałam też oddać mój stopień *public relations officer*, związany z poprzednim przydziałem.

Byłam tam około sześciu tygodni, prowadziłam wówczas ożywioną korespondencję z Jerzym, który podjął starania, aby mnie stamtąd przeniesiono gdzie indziej. Ale miałam tak dosyć tej monotonnej pracy i czekania, że postanowiłam zapisać się do podchorążówki, której nie zrobiłam wcześniej ze względu na pracę w Propagandzie.

W końcu jednak Jerzemu udało się dość szybko, za pośrednictwem generała Wiśniewskiego, uzyskać zgodę na mój powrót do Rzymu. Pretekstem był wyjazd Jerzego i Józia do Londynu, dokąd zostali wezwani w lutym 1945 roku. Miałam ich do tej podróży przygotować. Po ich wyjeździe zostałam przeniesiona do Florencji do „Dziennika Żołnierza”. I to był mój ostatni wojenny przydział.

Czy po tym konflikcie z gen. Andersem miała pani okazję rozmawiać z nim?

W 1945 roku, zaraz po zakończeniu wojny, wydano jubileuszowy numer „Orla Białego” i z tej okazji było przyjęcie w naszej redakcji w Bolonii, na które został zaproszony Anders. Mnie poproszono o przygotowanie przyjęcia. Przygotowałam wszystko, co trzeba było, ale ponieważ byłam obrażona na Andersa za to, co się stało, nie siadałam do stołu. I Anders to dostrzegł. Zainteresował się, dlaczego tak krążę, a sama nie jem. Poczęstował mnie papierosem, prosił, żebym usiadła. Zaczął ze mną rozmawiać o moich planach na przyszłość. Ale do sprawy tamtego konfliktu już nie wracaliśmy.

Jakie to były plany?

W tym czasie Józio Czapski był już w Paryżu i chciał, żebym przyjechała z nim pracować. Ja nawet miałam ochotę, ale Zygmunt się nie zgadzał. Nie chciał, abyśmy się rozstawali. Anders też mi wtedy odradził wyjazd, spodziewał się nowej wojny. Tak zostałam we Włoszech, a niedługo potem zaczęliśmy organizować Instytut Literacki.

Co się działo w tym czasie z Zygmuntem?

Zygmunt był w 8. Pułku Artylerii Przeciwlotniczej Ciężkiej, z którym odbył całą kampanię włoską, był pod Monte Cassino. Już

po zakończeniu wojny stacjonował koło Ankony, skąd przyjeżdżał do mnie do Rzymu.

Czy wtedy, tuż po zakończeniu wojny, nie zamierzaliście wracać z Zygmuntem do Polski?

Początkowo, jeszcze w czasie naszego zesłania w Cyngłoku w Rosji, kiedy rozmawialiśmy o tym, co będziemy robić po wojnie, ja myślałam o powrocie. Wydawało mi się, że nie będę umiała i chciała żyć poza Polską. Zygmunt natomiast nie chciał wracać. Ale później, zaraz po wojnie, role się odwróciły. Zygmunt bardzo chciał wracać. Dostał nawet list od swojego przyjaciela, który go do powrotu namawiał. Ale ja postawiłam *veto*. Domyślałam się, że jako współpracowniczka Wydziału Propagandy w armii Andersa nie miałam czego szukać w Polsce rządzonej przez komunistów. Później zresztą ten sam przyjaciel Zygmunta spotkał się z nami już w Paryżu i twierdził, że nie mógł sobie darować, że namawiał nas do powrotu.

Czy pamięta pani okoliczności, w jakich po raz pierwszy pojawił się projekt założenia Instytutu Literackiego?

Niestety, nie pamiętam jakiegoś konkretnego momentu, w którym taki pomysł powstał. Jeszcze przed końcem wojny sprawę wydawania książek poruszał z Jerzym dawny minister, Juliusz Poniatowski¹¹. On wówczas nosił się z zamiarem wydawania książek, kilka nawet wydał. Pierwszą jego książkę ja przygotowałam do druku. Kiedy popadliśmy w niełaskę u Andersa, Poniatowski proponował, abym przeszła do niego, do YMKI, ale nie puścili mnie z wojska.

Jerzy jeszcze na długo przed końcem wojny twierdził, że czeka nas wszystkich emigracja i że komuniści z Polski nie wyjdą. Kiedy wojna się kończyła, był przekonany, że ta emigracja potrwa bardzo długo i na to kazał nam się nastawić. Było to wówczas przeświadczenie raczej odosobnione, gdyż większość polskich polityków i wojskowych była pewna, że wybuchnie trzecia wojna światowa i że będziemy walczyć z Rosją.

Jerzy, w związku z tym, że nastawiał się na długą emigrację, zaczął myśleć o robieniu czegoś, co w tych warunkach będzie potrzebne. Jako człowiek słowa wiązał oczywiście tę przyszłość z działalnością wydawniczą. I takie rozmowy odbywały się w naszym gronie jeszcze przed końcem wojny.

Jakie rozmowy Giedroycia i z kim poprzedziły założenie Instytutu?

Jak już wspomniałam, wiosną 1945 roku Jerzy pojechał do Londynu. Pobyt tam wykorzystał również na przygotowanie gruntu dla działalności Instytutu. Przez jakiś czas był z nim również Józio Czapski, który z Londynu wyjechał na placówkę do Paryża.

Jerzy odbył tam masę rozmów, między innymi w Ministerstwie Wyznań Religijnych i Oświecenia Publicznego. Szukał sojuszników, ale Anders, który wierzył w szybki wybuch trzeciej wojny

¹¹ Juliusz Poniatowski (1886–1975), polityk, ekonomista, agronom; trzykrotnie w II Rzeczypospolitej minister rolnictwa; od 1939 na emigracji, w 1957 powrócił do kraju.

światowej, nie widział sensu zakładania wydawnictwa. Sporo pomogły Jerzemu kontakty z Adamem Pragierem. Wielkim przyjacielem naszego przedsięwzięcia był wspomniany już przeze mnie szef sztabu II Korpusu, Kazimierz Wiśniewski. Po prawie rocznym pobycie w Londynie, skąd jeździł również do Paryża, do Józia Czapskiego, Jerzy wrócił do Rzymu.

I to po powrocie Giedroycia do Rzymu, na przełomie 1945 i 1946 roku, powstał Instytut Literacki?

Jerzy wrócił z gotowym projektem, minęło jednak jeszcze trochę czasu, zanim udało się wszystko załatwić. W dość krótkim czasie zarejestrowaliśmy we włoskim urzędzie założenie Instytutu jako Casa Editrice Lettere.

Otrzymaliście pomoc finansową od szefa sztabu, gen. Kazimierza Wiśniewskiego...

Tak, on się zainteresował naszymi planami i rzeczywiście otrzymaliśmy od Korpusu 100 złotych funtów, co stanowiło już pewien kapitał. Również dzięki interwencji generała przyznano nam pożyczkę z Funduszu Społecznego na kupno drukarni. Fundusz ten, którym dysponowała armia, pochodził z wpłat żołnierzy na wdowy, inwalidów, sieroty wojenne itp. Jerzy musiał oczywiście podpisać zobowiązanie o spłaceniu pożyczki z narosłymi procentami.

Drukarnia OGI, kupiona od Włochów, była w świetnym stanie, pracowało w niej około 40 osób.

Czy mogłybyśmy ustalić, kto w tym pierwszym okresie był związany z Instytutem?

Byłam oczywiście ja i Zygmunt, on rozpoczął pracę kilka miesięcy później, kiedy wojsko zaczęło się rozjeżdżać do Anglii w lipcu 1946 roku. Dołączyło do nas kilka innych osób, Tadeusz Siuta¹², który przed wojną był docentem lwowskiego uniwersytetu, znaliśmy się z wojska, były też dwie osoby zajmujące się rozwożeniem książek: Władek Wąchała¹³ i Józef Fryd¹⁴. Oni zostali w Rzy-

¹² Tadeusz Siuta, ur. 1913, w II Korpusie w stopniu podporucznika.

¹³ Władysław Wąchała, ur. 1905, w II Korpusie w stopniu podporucznika.

¹⁴ Józef Fryd, ur. 1905, żołnierz II Korpusu.

mie. W drukarni pracowali sami Włosi. Był wtedy z nami Gustaw Herling-Grudziński. Byli też ludzie, którzy z nami współpracowali dorywczo, na przykład przy wydawaniu pierwszego numeru „Kultury”.

W jaki sposób trafił do was Gustaw Herling-Grudziński?

Z Gustawem poznaliśmy się w II Korpusie. Jerzy ściągnął go do współpracy z „Orłem Białym”, w którym Gustaw został potem kierownikiem literackim. Jerzy tę znajomość utrzymał, tak że później Gustaw współpracował z nami, zwłaszcza przy wydawaniu pierwszego numeru „Kultury”. Potem ożenił się i wyjechał do Anglii. Stałą współpracę z „Kulturą” odnowił w 1966 roku.

Gdzie wtedy mieszkaliście?

Na początku mieszkaliśmy w hotelach przydzielanych przez wojsko, ale potem znaleźliśmy czteropokojowe mieszkanie na Via di Novella, gdzie mieściło się biuro, jadalnia, sypialnia moja i Zygmunta. W naszej jadalni stołowali się także ludzie z Intendentury. Jerzy mieszkał kilka domów dalej.

Jakie cele sobie stawialiście zakładając Instytut?

Chcieliśmy trafić przede wszystkim do emigracji, do polskiego czytelnika, ogromna liczba żołnierzy polskich znajdowała się w tym czasie na Zachodzie. Próbowaliśmy też mieć kontakty z krajem, no, ale wtedy było to bardzo trudne. Choć Jerzy uważał, że wszelkie tego typu próby należy podejmować. Było to oczywiście zadanie bardzo ambitne, żeby nie powiedzieć szalone.

Jakiego typu książki wydawaliście w tym rzymskim okresie?

Początkowo trudno było mówić o konkretnej polityce wydawniczej, ponieważ z trudem udawało nam się znajdować książki, które moglibyśmy wydawać. Dopiero pod koniec tego pierwszego roku pojawiły się pomysły wydawania określonych serii książkowych, zaprojektowaliśmy okładki dla każdej takiej serii. I z każdej takiej serii jedna książka wyszła.

W sumie w ciągu tego jednego rzymskiego roku wydaliśmy 28 pozycji. Pierwszą książką były *Legiony* Henryka Sienkiewicza, wydaliśmy również *Prometeusza* Stanisława Szpotańskiego, *Brygadę Karpacką* Jana Bielatowicza, drukowaliśmy Kadena-Bandrowskiego, Bolesława Micińskiego. Ale wśród pierwszych pozycji były również *Księgi narodu polskiego i pielgrzymstwa polskiego* Adama Mickiewicza, opatrzone wstępem Herlinga-Grudzińskiego, który uznaliśmy za właściwy program Instytutu.

Oprócz książek drukowaliście również bardzo dużo na zamówienie wojska. Co to było?

Przede wszystkim masa druków, albumów oraz tak zwanych jednodniówek, był bowiem koniec wojny i każdy oddział chciał mieć na pamiątkę swoją gazetkę z fotografiami, wspomnieniami itp. Za te zamówienia oczywiście nam płacono. Część Funduszu Społecznego była również przeznaczona na potrzeby kulturalne, w tym na wydawanie książek. Nie zapominajmy o tym, że przez ten rok żołnierze pozostawali zmobilizowani, ale wojna już się skończyła, oni zaś mieli dużo wolnego czasu, zapewniony wikt i opierunek, było więc ogromne zapotrzebowanie na książki. Toteż wojsko to zapotrzebowanie realizowało. A nasza drukarnia drukowała nie tylko nasze książki.

Jeszcze w Rzymie ukazał się pierwszy numer „Kultury”...

Pismo miało się ukazywać początkowo jako kwartalny dodatek do wydawnictwa. Pierwszy numer, redagowany przez Jerzego i Gustawa, ukazał się w czerwcu 1947 roku, jeszcze w dużym formacie, z okładką zaprojektowaną przez plastyka Stanisława Gliwę.

Wśród autorów w pierwszym numerze pisma znaleźli się Benedetto Croce, Artur Koestler, Andrzej Bobkowski, Tymon Terlecki, Józef Czapski. Ich teksty pojawiały się później wielokrotnie na łamach „Kultury”. Jaki był wtedy program pisma?

Nasze *credo* znalazło się w artykule wstępnym. Ono właściwie się później nie zmieniło. Podkreślaliśmy fakt, że kultura na emigracji jest kontynuacją kultury w kraju, że nie chcemy zrywać z kra-

jem kontaktu oraz że kultura polska jest nierozzerwalnie związana z kulturą zachodnioeuropejską.

Nastawienie naszej działalności na kraj było dla nas od początku najistotniejsze. Wzorem dla Jerzego był „Kołokoł” Hercena, który odegrał kiedyś tak wielką rolę wśród emigracji rosyjskiej.

Czy dochody z drukarni i z waszych wydawnictw były wystarczające?

Anglicy mieli taki zwyczaj, że wyrzucali „na śmietnik” wszystkie używane rzeczy, bez względu na ich stan. Gdy II Korpus wyjeżdżał z Włoch do Anglii, miał zostawić wszystko, co było zbędne, a więc materiały biurowe, sorty mundurów, samochody, namioty itd. Wszystko to szło na tak zwany *salvage*. Dzięki życzliwemu stosunkowi do nas gen. Wiśniewskiego zezwolono nam zabrać z *salvage'u* wszystko, co mogło nam się przydać, głównie maszyny do pisania, stopy papieru, wielkie ilości namiotów i masę innych rzeczy. Namioty sprzedaliśmy Włochom za spore pieniądze, które tak nam wówczas były potrzebne.

Jerzy oczywiście nie miał głowy do takich spraw, „specjalizował” się w tym Zygmunta. Druga rzecz, która przyniosła nam sporo pieniędzy, to była sprzedaż benzyny, którą dostaliśmy przy okazji likwidacji wojska polskiego we Włoszech. Na czarnym rynku jej notowania stały wówczas bardzo wysoko.

Zorganizowanie transportu benzyny na przedmieścia Rzymu do farmy należącej do klasztoru, którego przeor zgodził się na jej składowanie, oczywiście za procent w benzynie, było wielkim wyczynem Zygmunta. Przewóz benzyny ciężarówkami odbył się nocą przy łuczach, przy zachowaniu największych środków ostrożności, gdyż był to jednak „czarny rynek”, przestępstwo ścigane prawem! [*śmiech*]

Jakie były przyczyny waszej decyzji o przeprowadzce do Paryża?

Powodów było kilka. Przede wszystkim konkurencja zaczęła być zbyt silna. Myśleliśmy, że uda nam się zarobić drukowaniem książek religijnych. Kardynał Sapieha apelował wówczas, że nie ma modlitewników i że trzeba temu zaradzić. O ile pamiętam, Jerzy wybrał się nawet z Tadeuszem Siutą, który świetnie mówił po włosku, do kardynała Montiniego, późniejszego papieża Pawła VI, z zapytaniem, czy uda się na to przedsięwzięcie uzyskać trochę pie-



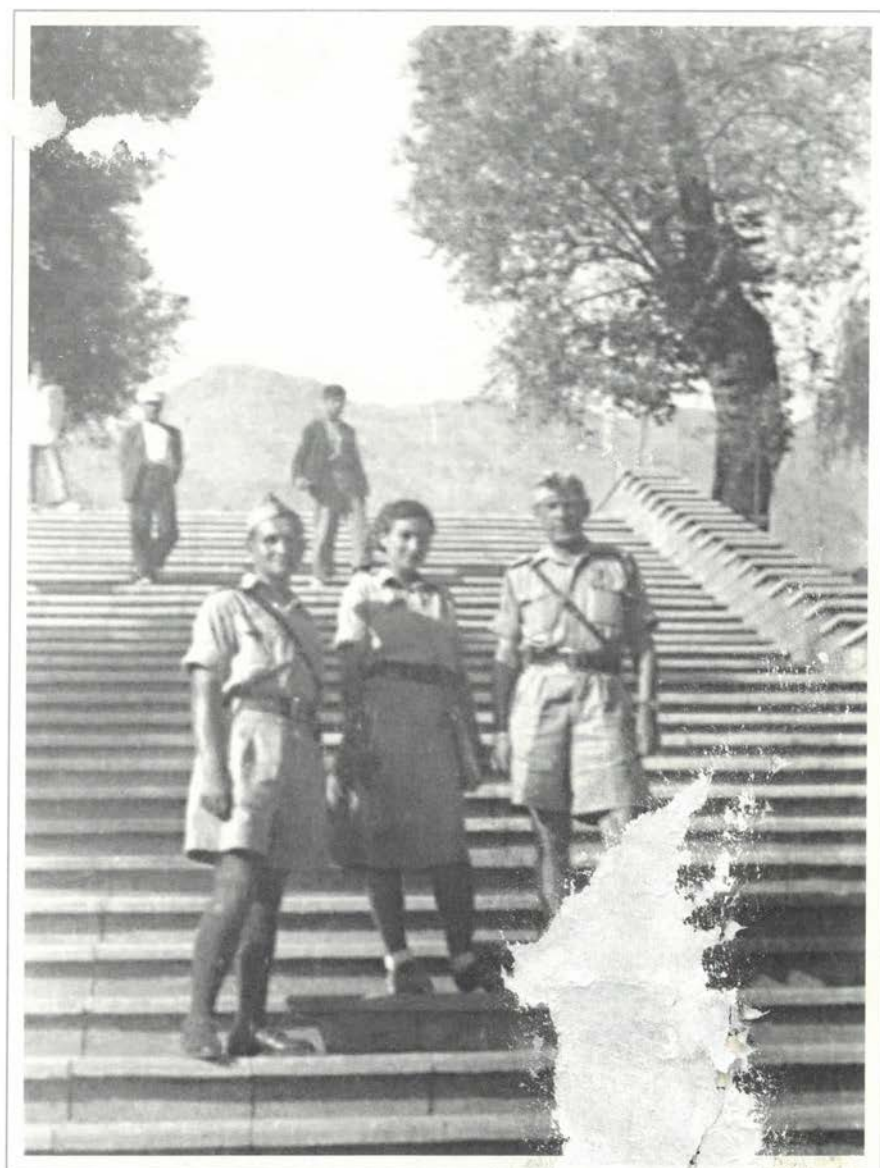
Zofia Hertz (pod drzewem) na wakacjach, lata trzydzieste



Zofia Hertz z Halszką Terlecką, 28 marca 1942 roku w Buzułuku



Shiraz, 20 września 1942 roku



Letni pałac szacha, Teheran, 20 w



Zofia Herz z Hanką Kiedacz, Kair, 3 marca 1943 roku

niędzy od Watykanu. Ale on ich tylko pobłogosławił, a pieniędzy nie dał.

Poza tym był to już rok 1947, większość żołnierzy polskich rozjechała się po świecie i rozpoczynała życie od nowa. Skończył się żołd z wojska, większość z nich znalazła się w ciężkich warunkach finansowych. Tak że zakup książek był dla nich często niemożliwy. Książki przestały się sprzedawać. Stanęliśmy przed pytaniem, co dalej.

Był jeszcze trzeci aspekt całej sprawy, Rzym był prowincją. Wszystko to, co dotyczyło Polski, działo się w Londynie i Paryżu. Do Paryża zaczęło wtedy przyjeżdżać sporo Polaków z kraju i powoli Paryż stawał się polskim centrum. A nas interesował kraj. Co więcej, w tym czasie znajdował się w Paryżu Czapski, który mógł nam na miejscu trochę pomóc. Sprzedaliśmy więc drukarnię z dobrym zyskiem, mogliśmy spłacić dług zaciągnięty w wojsku, nawet z procentami. Jako jedyni dostaliśmy absolutorium. Z resztą pieniędzy pojechalismy do Paryża: ja z Zygmuntem przyjechalismy z Rzymu, a Jerzy, nieco wcześniej niż my, z Londynu.

Jak zorganizowaliście przenosiny do Paryża?

Z całego naszego zespołu tylko my z Zygmuntem i Jerzym przenosiliśmy się do Paryża. Tadzio Siuta z żoną, Izą, czekali na wyjazd do Argentyny, Władek Wachała i Józek Fryd nie mieli zamiaru wyjeżdżać z Włoch, Gustaw z żoną wyjechali do Londynu już wcześniej. Ponieważ w okresie poprzedzającym przeprowadzkę Jerzy był w Londynie, wszystko likwidowaliśmy tylko my z Zygmuntem.

Nie zabieraliśmy żadnych mebli, z wyjątkiem ukochanego fotela klubowego Zygmunta, ale mieliśmy do przewiezienia całą bibliotekę, już wtedy zaczęliśmy zbierać książki, skrzynie papierów, maszyny do pisania oraz rzeczy osobiste Jerzego. Zapobiegliwy, jak zwykle, Zygmunt załatwił u Anglików nie tylko sliping dla nas, ale również specjalny wagon na przewóz rzeczy i książek.

Ostatnie tygodnie były dla nas tak wyczerpujące nerwowo, że kiedy pociąg ruszył, ja nic nie mówiąc wyciągnęłam z naszej podróźnej wałówki pieczonego kurczaka, po czym zjadłam go całego i natychmiast poszłam spać. Zygmunt umierał ze śmiechu!

Przyjechaliście do Paryża dokładnie 13 października 1947 roku, data ta dla was nie okazała się feralna.

Przyjechaliśmy w dniu największego w historii Francji strajku generalnego. Stało wszystko. Zamieszkaliśmy w małym hoteliku

w Quartier Latin, przy rue de Deux Ponts. Ale na krótko. Bardzo szybko okazało się, że z pieniędzy, które przywieźliśmy, nie będziemy w stanie kupić mieszkania, które mogłoby być również naszym biurem, gdyż wówczas nie wystarczyłoby pieniędzy na naszą działalność. Ceny nieruchomości były już bardzo wysokie. I wtedy z pomocą przyszedł nam Józio Czapski.

Czym wówczas zajmował się Czapski?

Józio, jak już wcześniej wspomniałam, był w Paryżu od 1945 roku, wysłany tam przez Andersa jako kierownik polskiej placówki II Korpusu i Ministerstwa Informacji. Placówka Józia miała służyć głównie do kontaktów z Francuzami. To wtedy Józio poznał między innymi generała de Gaulle'a, odnowił przedwojenną znajomość z André Malraux. Te jego kontakty przydały się później i były pomocne „Kulturze”.

Placówka Józia wydawała między innymi biuletyn informacyjny przeznaczony dla Francuzów, bardzo pożyteczny, gdyż o Polsce mało kto wtedy wiedział. Ale oprócz tego typu działalności placówka ta otrzymała dużo żywności pochodzącej z zapasów wojskowych. W Paryżu było sporo Polaków i w końcu to im ją rozdawano. Na magazyn żywności wynajęli oni dom pod Paryżem, w Maisons-Laffitte. Korzystali tylko z piwnic, a reszta domu, bardzo zniszczona, była wolna. Sam Józio mieszkał gdzieś w Paryżu w wynajętym pokoju.

Józio, widząc nasze problemy, zaproponował nam przejęcie wynajmu domu od jego placówki. To ten właśnie dom stał się naszą pierwszą siedzibą, mieszkaliśmy tam do 1954 roku. Był to dom na tak zwanym Korneju, czyli przy avenue Corneille.

Jak się tam urządziliście?

Kiedy przyjechaliśmy po raz pierwszy do domu, załamaliśmy na jego widok ręce. Był rzeczywiście potwornie zniszczony przez Niemców. Wyrwane futryny z okien i drzwi, brud, w salonie resztki ogniska, część domu była w gruzach. Zakasaliśmy rękawy i zabraliśmy się do sprzątania. Wprowadziliśmy się od razu tego pierwszego dnia, 31 października 1947 roku. Pierwszą noc spędziliśmy we trójkę, ja, Zygmunt i Jerzy, w kostiumach kąpielowych, na szorowaniu domu. Nie mieliśmy bowiem ani gdzie spać, ani gdzie postawić rzeczy. O tym, w jakim stanie dom był naprawdę, niech zaświadczy fakt, że dopiero po kilku miesiącach odkryliśmy, że jest w tym domostwie kuchnia.

W końcu jednak udało nam się doprowadzić go jako tako do porządku. Na dole, w jednym z największych pokoi urządziliśmy bibliotekę, mieliśmy już wtedy sporo książek. Drugi pokój, też na parterze, daliśmy Józiovi na jego atelier. Na dole też mieściło się biuro. Na półpiętrze mieścił się pokój Jerzego. Na drugim półpiętrze pokój Maryni Czapskiej (ona sprowadziła się do nas chyba w 1949 roku), a na ostatnim piętrze był pokój mój i Zygmunta oraz pokój gościnny. Potem takich pokoi gościnnych, w miarę porządkowania domu, zrobiło się więcej. Przecież ten dom był stale pełen ludzi, niektórzy mieszkali przez pewien czas, jak na przykład sekretarka Józia, pani Kozłowska, siostrzeniec Józia, Jerzy Łubieński, a niektórzy zatrzymywali się u nas przejazdem. Od 1952 roku zamieszkał z nami brat Jerzego, Henryk Giedroyc, który przeniósł się do nas z Londynu.

Niedługo po przyjeździe wydaliście pierwszy paryski numer „Kultury”. Jak udało się wam tak szybko go przygotować?

Po przyjeździe do Paryża postanowiliśmy wydawać na razie tylko pismo, i to miesięcznik. Jeszcze w Rzymie, przed wyjazdem, przygotowaliśmy numer 2/3 „Kultury”, w zmienionym małym formacie, w jakim ukazuje się do dzisiaj. Cały gotowy numer daliśmy do przewiezienia komuś, kto miał dopilnować druku już w Paryżu.

Niestety, osoba ta nie dopilnowała pracy i numer został wydrukowany bez korekty. Prawie płakaliśmy widząc, w jakim stanie wyszedł. Ukazał się on na przełomie 1947/48, a następny, czwarty numer wyszedł w lutym 1948 roku i od tej pory „Kultura” ukazuje się regularnie jak w zegarku, z wyjątkiem maja 1968 roku, kiedy to strajki uniemożliwiły jej wydanie.

Ten pierwszy okres istnienia „Kultury” nazywacie „okresem bohater-skim”. Dlaczego?

Musielismy zorganizować od początku funkcjonowanie domu, zawsze pełnego ludzi, i biura, a było nas wtedy troje: Jerzy, Zygmunt i ja. Pieniądzy, jak już wspomniałam, mieliśmy niewiele, przez pół roku jeszcze dostawaliśmy żołd z wojska, zostaliśmy wszyscy zdemobilizowani w kwietniu 1948 roku.

Borykaliśmy się z wieloma trudnościami. Wydawaliśmy co prawda pismo, ale musieliśmy równocześnie zdobywać autorów i prenumeratorów. Przecież wtedy prawie w ogóle ich nie było. Je-

rzy wykorzystywał swe kontakty osobiste, te sprzed wojny, ale również wojenne, aby znajdować ludzi piszących dla naszego miesięcznika. Nie byliśmy jeszcze znani.

Nasi ówcześni przyjaciele, których wielu nie mieliśmy, mówili nam stukając się w głowę: „Ile macie tych pieniędzy?”. Odpowiadaliśmy: „Na półtora roku”. Oni na to: „No, dobrze, pieniądze może znajdziecie, ale kto was będzie czytał, a przede wszystkim, skąd weźmiecie autorów?”.

Jerzy wysyłał setki listów szukając autorów, my z Zygmuntem tysiące, często ręcznie pisanych, w poszukiwaniu prenumeratorów.

Gdzie ich szukaliście?

Wysyłaliśmy listy do wszystkich naszych znajomych z wojska, którzy rozjechali się po świecie, potem do ich znajomych, jeśli mieliśmy odpowiedź. Wykorzystywaliśmy każdy adres Polaków, jaki wpadł nam w rękę.

Jaki był w tym czasie status „Kultury” we Francji?

Mieliśmy spore trudności administracyjne, z którymi z ledwością mogliśmy się wówczas uporać. Otóż w tamtych latach we Francji cudzoziemiec nie mógł kupić żadnej posiadłości, nie mógł również być właścicielem żadnego biura. Mogliśmy tylko być zatrudnieni przez firmę francuską.

Istniała już w Paryżu polska księgarnia „Libella”¹⁵, prowadzona przez Kazimierza Romanowicza. „Libella” należała wtedy do II Korpusu. Poprzez Korpus załatwiliśmy to, że „Kultura” na papierku stała się częścią „Libelli”. We Francji każda księgarnia miała automatycznie prawo do działalności wydawniczej, co nam pozwoliło na wydawanie pisma i książek. Sam Romanowicz jako Polak też musiał mieć francuskiego żyranta. Była nim pani Christiane Karasiewicz, Francuzka, która wyszła za mąż za Polaka.

Ale było to dla nas straszliwie niewygodne. Istniała przecież osobna rachunkowość, osobne konto; za wszystko, co nas dotyczyło, sami płaciliśmy. Jerzy i Zygmunt byli oficjalnie zatrudnieni przez „Libellę”.

¹⁵ Polska księgarnia w Paryżu, założona przez Kazimierza Romanowicza w 1946 roku, zamknięta w grudniu 1993.

W którymś momencie nasza działalność przerosła możliwości administracyjne „Libelli”, w 1960 roku rozpoczęliśmy wydawać rosyjskie rzeczy¹⁶. I wtedy zaczęliśmy myśleć, co zrobić, aby to uregulować, to znaczy zarejestrować Instytut Literacki, ale bez żyranta. Poszliśmy do adwokata, który w czasie rozmowy powiedział, że byłoby łatwiej, gdyby ktoś z nas miał francuskie odznaczenie.

Okazało się wtedy, że Jerzy posiada francuską Legię Honorową, którą otrzymał w latach trzydziestych za udział w opracowaniu handlowego traktatu polsko-francuskiego. To odznaczenie pozwoliło nam na zarejestrowanie Instytutu na Jerzego i na oderwanie się od „Libelli”.

Gdzie „Kultura”, a później książki Instytutu były drukowane?

Pierwszy paryski numer został wydrukowany w drukarni Richarda, tam bowiem miał kontakty ten człowiek, który zajął się przygotowaniem „Kultury” do druku w Paryżu przed naszą przeprowadzką. My natomiast zaraz po przyjeździe zaczęliśmy szukać drukarni, przede wszystkim taniej, ale takiej, która miałaby polskiego linotypistę. Udało nam się znaleźć taką drukarnię. Mieściła się w małej ciupce przy rue Ménilmontant w Paryżu, mimo że nosiła szumną nazwę „Société Nouvelle d’Imprimerie et d’Edition”. Jej właścicielem był polski Żyd, Czapnik. Zaproponował nam dobre warunki finansowe, zostaliśmy u niego do 1952 roku.

Miała wówczas miejsce tak zwana afera Bergu¹⁷ – odkryto działającą w PRL siatkę agentów założoną przez londyńskie partie niepodległościowe, finansowane przez Amerykanów. Sporo osób zostało aresztowanych, organizację rozwiązano, ale część jej uczestników postanowiła wydawać polskie pismo we Francji za pieniądze z odszkodowania, jakie dostali od Amerykanów. Wynajęli lokal na biura, zaczęli szukać drukarni. Znaleźli Czapnika i zaproponowali mu znacznie większą sumę za usługi niż myśmy płacili.

Czapnik zgodził się, a nas zawiadomił, że wstrzymuje druk „Kultury” i żebyśmy znaleźli inną drukarnię. Oczywiście to nie było proste, głównie ze względu na naszą trudną sytuację finansową.

¹⁶ W 1960 roku ukazała się pierwsza rosyjska edycja „Kultury”, dwie następne wyszły w latach 1971 i 1981.

¹⁷ Nazwa pochodzi od miasta Berg w Niemczech Zachodnich nad jeziorem Starnberg, gdzie mieścił się ośrodek szkoleniowy emisariuszy wysyłanych do Polski przez Amerykanów w porozumieniu z niektórymi ugrupowaniami politycznymi emigracji. Patrz „Zeszyty Historyczne” nr 79/1989.

Te drukarnie, do których się zwróciliśmy, zażądały ceny wyższej o 100 procent od tej, którą płaciliśmy u Czapnika. Nie bardzo wiedzieliśmy, co robić dalej.

Ktoregoś ranka zadzwonił telefon, był to właściciel drukarni Richarda, Władysław Langzam, również polski Żyd, bardzo zamożny. Zaprosił nas na rozmowę, w czasie której zaproponował druk „Kultury” w jego drukarni. Okazało się, że wydawana przez PRL i drukowana u niego „Gazeta Polska”¹⁸ została z niewiadomych mi bliżej powodów zakazana przez Francuzów i cała redakcja musiała wrócić do Polski. Langzam nie chcąc likwidować polskiego działu, a miał kilku doskonałych linotypistów i odpowiedni materiał drukarski, i wiedząc o naszych kłopotach zaproponował nam, abyśmy drukowali u niego. Za taką samą cenę, jaką płaciliśmy u Czapnika.

Dla nas był to prawie cud. Warunki były świetne, a czas druku dużo krótszy. U Langzama zostaliśmy aż do momentu zamknięcia jego drukarni, do września 1989 roku. Ale do końca mieliśmy u niego lepsze warunki niż inni.

W tym początkowym okresie działalności mieliście, jak pani wspomniała, poważne problemy finansowe. Pod koniec lat czterdziestych wydawaliście nawet tak zwane fundowane egzemplarze „Kultury”. Co to oznaczało?

Dostawaliśmy pieniądze od prywatnych osób bądź instytucji z przeznaczeniem na wydanie jednego numeru „Kultury”. W gronie tych fundatorów znaleźli się między innymi Stefan Zamoyski, Polonia Kanadyjska, Klub Młodych Polek w USA. Witold Małcużyński, wielki polski pianista, przeznaczył na wydawanie „Kultury” dochód z dwóch paryskich koncertów, wpadliśmy na pomysł, aby do broszury – programu jego koncertu dołączyć portret Małcużyńskiego wykonany przez Józia Czapkiego.

Wysłaliście wtedy Czapkiego w podróż do Stanów Zjednoczonych, jako „wielkiego jałmużnika”. Jak do tego doszło?

Józio odbył podróż do Kanady i Stanów w 1949/1950 roku. Wygłaszał tam cykl odczytów o Katyniu i oficerach polskich zaginionych w Rosji. „Kultura” sfinansowała te podróże, a Józio wyko-

¹⁸ „Gazeta Polska”, dziennik wydawany we Francji w latach 1945–1952 przez PRL. Jego redaktorem był Tomasz Piętko.

rzyszywał spotkania z ludźmi na robienie nam reklamy, zbieranie prenumerat i datków pieniężnych na wydawanie pisma.

Józio miał wrodzony dar nawiązywania przyjaźni i kontaktów z ludźmi oraz ogromny urok osobisty, którym zniewalał ludzi. Wystarczyło, że zagadał do kogoś. Co więcej, był zawsze wyjątkowo niezaradny, ale w jakiś ujmujący sposób. Tak że wiele osób stale czuło się w obowiązku mu pomagać. Te jego cechy ułatwiły mu robienie nam reklamy. Miał tam zresztą masę zabawnych przygód. I tak któregoś wieczora po odczycie podeszło do niego dwóch mężczyzn, wcisnęli mu do ręki dwieście czy trzysta dolarów. Po czym powiedzieli, że te pieniądze nie są na żadną „Kulturę” ani inny szczytny cel, ale dla niego, a najlepiej niech je przepije. [*śmiech*]

W końcu jednak te wszystkie wasze wysiłki przyniosły rezultaty...

Momentem przełomowym był dzień moich imienin 15 maja 1953 roku. Otrzymaliśmy jednego dnia 285 zamówień na prenumeraty. Oczom nie wierzyliśmy! Od tej pory zaczęło nam iść trochę lepiej.

Kto wtedy stanowił zespół „Kultury”?

Do 1951 roku byliśmy we trójkę, Jerzy, Zygmunt i ja – Józio prac biurowych ani redakcyjno-administracyjnych nie wykonywał. Robiliśmy wszystko sami: przygotowanie numeru do wydania, korekty, przygotowanie do druku i jego dopilnowanie, pisanie kilometrów listów, prowadzenie rachunkowości, administracja, pakowanie i zawożenie paczek na pocztę (najwięcej przy tym napracował się, jako najsilniejszy, Zygmunt – ile ton książek zawiózł sam na wózku na pocztę, nikt tego nie zliczy), ale również trzeba było prowadzić dom, gotować itd. W 1952 roku dojechał do nas z Londynu Dudek, czyli Henryk Giedroyc, brat Jerzego, który z wojskiem przyjechał do Anglii, po demobilizacji mieszkał w Londynie i pracował jako robotnik w fabryce; w końcu zdecydował się pracować z nami.

Dopiero w 1961 roku zdobyliśmy się na pierwszą maszynistkę na pół etatu.

W tym to okresie mimo problemów finansowych wydaliście jednak kilka pozycji książkowych...

Tak, wydaliśmy między innymi *Na nieludzkiej ziemi* Czapskiego, Wańkowicza *Klub Trzeciego Miejsca*, Kukiela *Księcia Adama*. Sys-

tematyczną działalność wydawniczą wznowiliśmy w 1953 roku *Trans-Atlantykiem* Gombrowicza.

Pierwsze lata nie były dla was tylko walką o byt, ale również okresem, w którym wyrobiliście sobie pewną pozycję, początkowo wśród emigracji, potem stopniowo też i w Polsce. Zaczęliście bulwersować waszych czytelników. Pierwszą taką historią była chyba sprawa tekstu Janty-Polczyńskiego *Wracam z Polski*, opublikowanego w numerze 12 z 1948 roku?

Nie, pierwszy taki konflikt wywołał nasz protest przeciw uchwale Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie o zakazie publikowania w kraju, podjętej w 1947 roku. My byliśmy za nieodcinaniem się od kraju i za tym, aby polscy pisarze i intelektualiści, którzy znaleźli się na emigracji, nie zrywali kontaktu z krajem i jeśli to możliwe, drukowali, pod warunkiem, że nie zgodzą się na cenzurowanie tekstów.

Niedługo potem, też w 1948 roku, wybuchł drugi skandal, ten o którym pani wspomniała, znacznie większy, tak że pogorszył nasze kontakty ze środowiskiem londyńskim. Wydrukowaliśmy wtedy pierwszy artykuł Janty z cyklu *Wracam z Polski*. Po jego ukazaniu się oskarżono nas o zdradę ideałów niepodległościowych, a Anders zakazał sprzedaży w Londynie egzemplarzy „Kultury” z tym tekstem. Naszym londyńskim dystrybutorem było wojskowe biuro kolportażu „Gryf”, Anders mógł więc takiej konfiskaty zażądać. Zgodziliśmy się wtedy na jedyny w historii „Kultury” kompromis. Zaprzestaliśmy druku Janty w „Kulturze”, ale opublikowaliśmy go w wydaniu książkowym.

Czy ten konflikt z Andersem zahamował wasze z nim kontakty?

Nie, wcale nie. Tak się nawet złożyło, że niedługo po tamtej sprawie, w styczniu 1949 roku spędziłam miesiąc w Londynie. Byłam tam pierwszy raz. Miałam do załatwienia sporo spraw Jerzego. Byłam wtedy również u Andersa, który przyjął mnie bardzo serdecznie. Długo rozmawialiśmy, byłam wtedy w towarzystwie Józia Zielickiego¹⁹, który nawiązał do sprawy Janty. Starałam się wytłu-

¹⁹ Józef Zielicki, matematyk, przed wojną znany działacz harcerski; po ciężkich przejściach w Związku Radzieckim, był w wojsku zastępcą Józefa Czapskiego, po wojnie pracował razem z nim w Paryżu. Następnie zamieszkał w Londynie i pracował jako profesor w szkolnictwie brytyjskim. Przyjaciół „Kultury”.

maczyć Andersowi nasze racje, broniłam „Kultury” mówiąc, że Anders zdawał sobie chyba sprawę z tego, że Janta nie był żadnym komunistą, napisał uczciwą książkę i nie było powodu, aby jej nie drukować. Anders bronił swego stanowiska, ale przyznał w końcu, że dobrze się stało, iż ją wydaliśmy. Rozstaliśmy się w bardzo dobrych stosunkach.

Potem często jeździliśmy do Londynu i ja, i Jerzy. Kontakty towarzyskie były do końca bardzo miłe. Otwartych konfliktów, tego typu jak z drukowaniem Janty, później nigdy już nie było.

Jak układały się wasze kontakty ze środowiskiem emigracji londyńskiej?

Nie utrzymywaliśmy żadnych kontaktów jedynie z Grydzewskim, który „Kultury” nie znosił, co nie przeszkodziło nam w przyjaźni z wieloma osobami pisującymi do „Wiadomości”. Dość oficjalne kontakty mieliśmy z „Zamkiem”, czyli sferami rządu londyńskiego. Poza tym byliśmy w bliskich stosunkach z Wacławem Zbyszewskim, który pomieszkiwał w Maisons-Laffitte w czasie paryskich podróży, Herminią Naglerową, Bronisławą Wysołuchową, moją przełożoną z czasów II Korpusu, później również z Kazimierzem Wierzyńskim, po jego przeprowadzce do Londynu. On też u nas w „Kulturze” był kilkakrotnie. Byliśmy zaprzyjaźnieni z Kazimierzem Sabbatem i jego żoną, Hanią, która spędzała często u nas wakacje.

Jerzy utrzymywał bardzo bliskie kontakty z Adamem Pragierem, znał Edwarda Raczyńskiego. Ja zetknęłam się z nim dużo później, pod koniec lat sześćdziesiątych.

Wracając do „Kultury”, od czasu skandalu, jaki wywołał druk Janty-Półczyńskiego, prawie każdy jej numer czymś bulwersował...

Przyzwyczailiśmy naszych czytelników do niespodzianek. Zaczęto o nas mówić, że jesteśmy opozycją, ale nie było wiadomo, w stosunku do kogo. Niektórzy twierdzili, że jesteśmy agentami, ale nie było wiadomo czyimi. Tyle że przez pierwsze trzy lata nasz zasięg był dość ograniczony.

Zajęliście wówczas niekonformistyczną pozycję w sprawie Wilna i Lwowa, czym naraziliście się większości waszych czytelników wywodzących się

głównie ze środowiska emigracyjnego, które nie mogło i nie chciało pogodzić się z utratą przez Polskę obu tych miast.

Dyskusję o Lwowie i Wilnie zapoczątkowaliśmy w 1953 roku listem ks. Majewskiego²⁰, w którym napisał on, że należy uznać ich przynależność do Ukrainy i Litwy. „Kultura” wezwała do przemyślenia i przeanalizowania stosunków Polaków z Ukraińcami i Litwinami oraz do wyciągnięcia konsekwencji z lekcji historii. Jerzy był zawsze zwolennikiem uregulowania naszych stosunków z sąsiadami i nie miał w tej sprawie wątpliwości. Wywołaliśmy wtedy burzę protestów. Straciliśmy około 40 prenumerat jednego dnia, ale potem wróciły do nas. Każdy numer „Kultury” stał się oczekiwany, czytelnicy byli ciekawi, co nowego wymyślimy. I to robiło nam reklamę, na którą nie mieliśmy pieniędzy!

Dyskusja o Wilnie i Lwowie to 1953 rok, ale wcześniej, bo w roku 1951, wydarzyła się „sprawa” Czesława Miłosza, która miała swój odgłos również w Polsce. Proszę o niej opowiedzieć.

Józio Czapski jeszcze w czasie swojej amerykańskiej „jałmużny” na prośbę Jerzego skontaktował się z Czesławem Miłoszem. Przekazał mu sugestię Jerzego, że ten chętnie by widział Czesława na łamach „Kultury”, jeżeli zostanie na Zachodzie. Ale Miłosz nie dał wtedy żadnej zobowiązującej odpowiedzi.

Kilka miesięcy później, w grudniu 1950 roku, kiedy był już w Paryżu przystąpił do Ambasady Polskiej i zdecydował się wybrać wolność, zadzwonił do swojej przyjaciółki Neli Micińskiej²¹ i to ona skontaktowała się z nami w jego imieniu zapytaniem, czy my go przyjmujemy. Myśmy naturalnie od razu się zgodzili. Przyjechał do nas prawie bez rzeczy osobistych, wszystko zostawił w mieszkaniu należącym do Ambasady.

Następnego dnia po przyjeździe Czesława do nas Józio pojechał z Jerzym do francuskiego MSZ. Potem zostali przyjęci przez ministra spraw wewnętrznych, który poradził, żeby, jeśli jest to możliwe, ukrywać Czesława przez jakiś czas, to znaczy żeby nie wychodził sam na ulicę, nie utrzymywał z nikim poza nami kontaktów.

²⁰ Mowa o liście ks. Józefa Z. Majewskiego z Pretorii *Ziemie Wschodnie*, opublikowanym w nr 4/1953; pierwszy poruszający tę samą problematykę, *O poprzestaniu na status quo granic Polski po r. 1945*, był wydrukowany w nr 11/1952.

²¹ Aniela Micińska (1908–1993), romanistka, tłumaczka; w czasie wojny znalazła się we Francji, gdzie mieszkała do śmierci.

Zdarzały się wtedy porwania tych, którzy prosili o azyl. MSZ skontaktowało się zresztą z miejscowym komisariatem i przez długi czas mieliśmy „obstawę”. Czesław wychodził głównie z Zygmuntem, nosił czapkę, aby nie można było rozpoznać jego twarzy, a ludziom, którzy do nas przychodzili, przedstawialiśmy go tylko wtedy, gdy było to konieczne, i pod fałszywym nazwiskiem „Kwiatkowski”.

Ponieważ Czesławowi nie wolno było wychodzić, wkrótce po jego przyjeździe stawilo się u nas, na Korneju, dwóch panów z ministerstwa. Wypytywali Czesława o jakieś drobiazgi, między innymi kogo znał w Ambasadzie Polskiej, ale on był tam nowy, niewiele mógł powiedzieć. Taka wizyta była tylko jedna i odbyła się w obecności Jerzego.

Milosz wziął wówczas udział w konferencji prasowej?

Tak, była to konferencja zorganizowana przez Kongres Wolności Kultury, z którym „Kultura” była zaprzyjaźniona od momentu jego powstania w 1950 roku. Myśmy nie byli w stanie jej zwołać, nie mieliśmy ani pieniędzy, ani potrzebnych do tego stosunków, a oni mieli. Konferencja ta odbyła się po pięciu miesiącach pobytu Czesława u nas, w maju 1951 roku. Wystąpił na niej, by wyjaśnić, dlaczego wybrał wolność. Ta konferencja miała zresztą duże znaczenie. Żona Czesława została w Stanach z najstarszym synem i w zaawansowanej ciąży z drugim dzieckiem. Po tym, jak Czesław poprosił o azyl, wyrzucono ją z ich mieszkania, tułała się po jakiś znajomych, nie mogła przyjechać do Francji. W Stanach wskutek interwencji komunistów i donosów Polaków z emigracji uznano Czesława za podwójnego agenta i odmówiono mu wizy wjazdowej.

Sytuacja finansowa Miłosza we Francji była wówczas bardzo ciężka, mieszkał u nas prawie półtora roku. W 1952 roku przeprowadził się do Paryża i przy pomocy Jeanne Hersch zaczął pracować nad francuską wersją *Zdobycia władzy*, za którą dostał potem nagrodę księgarzy europejskich „Prix Littéraire European”. To pomogło mu trochę stanąć na nogi. Żona przyjechała do niego z dziećmi dopiero w 1953 roku.

Czesław, gdy mieszkał u nas, był w okropnej formie, martwił się potwornie o żonę i, co tu dużo mówić, o swoją przyszłość. Kłócił się z nami o różne rzeczy, wychodził trzaskając drzwiami, Jerzy zostawiał nas wtedy, bo nigdy nie lubił takich sytuacji. Jedynie Zygmunt się tym nie przejmował i starał się Czesława jakoś oderwać od tych złych myśli.

W numerze 5 z 1951 roku ukazał się słynny artykuł Miłosza *Nie*, który wywołał falę ataków na niego samego, a także i na „Kulturę”...

Czesław uparł się, żeby ten artykuł wydrukować i chciał, aby ukazał się w „Kulturze”. Jerzy zwrócił mu wtedy uwagę, że ten artykuł będzie bardzo niepopularny i zapytał, czy jest pewien, że chce go wydrukować. Na co Miłosz spytał, czy Giedroyc ma zamiar go ocenzurować. Jerzy odpowiedział, że go wydrukuje, tylko chciał go uprzedzić o konsekwencjach.

Artykuł oczywiście był bardzo niepopularny, prasa emigracyjna prześcigała się w wyzwiskach skierowanych przeciwko Czesławowi. Wystąpił w jego obronie Mieroszewski, poparło go jeszcze około dwudziestu innych pisarzy emigracyjnych i to wszystko.

Odsunął się wtedy od Jerzego – Wraga²², który przyjaźnił się z nim jeszcze przed wojną. Wraga twierdził, że Miłosz jest agentem komunistów, a kiedy Giedroyc, który nigdy w to nie wierzył, zażądał dowodów, Wraga wskazał na swój nos twierdząc, że nos pracownika Dwójki nie może go mylić. Na co Jerzy stwierdził, że jemu to nie wystarczy, kontakty zostały zerwane. Później zresztą Wraga opublikował kilka wyjątkowo agresywnych artykułów skierowanych przeciwko nam.

W jakich okolicznościach „Kultura” nawiązała kontakty z Kongresem Wolności Kultury?

Józio Czapski podczas swojej podróży do Stanów poznał Jamesa Burnhama, bardzo się zaprzyjaźnili. Burnham był jednym z „ojców” Kongresu, obok Irvinga Browna, który był przedstawicielem amerykańskich związków zawodowych, i Michaela Josselona. W tym właśnie czasie powstawał Kongres i przez protekcję Burnhama Józio nawiązał kontakty z innymi jego członkami i współpracownikami.

Obaj, Józio i Jerzy, dostali zaproszenie na zjazd Kongresu do Berlina, a potem na drugi do Brukseli. Pomysłem Jerzego była inicjatywa założenia w Strasburgu Wolnego Uniwersytetu dla młodzieży z krajów Europy Wschodniej.

Z inicjatywy Kongresu powstały w całej Europie pisma: we Francji „Preuves”, w Anglii „The Encounter”, we Włoszech „Tempo presente”, w Niemczech „Der Monat”, oprócz tego w kilku innych

²² Ryszard Wraga (pseud.), Jerzy Niezbrzycki (1902–1968); przed wojną oficer kontrwywiadu WP na Wschodzie, po wojnie na emigracji.

krajach europejskich, a nawet w Australii. Oczywiście twórcy Kongresu Wolności Kultury mieli ochotę, aby „Kultura” również do niego należała, ale Jerzy nigdy się na to nie zgodził. Szła bowiem za tym zależność finansowa, a jedną z naszych zasad było utrzymanie całkowitej niezależności. Niemniej uczestniczyliśmy w różnych inicjatywach Kongresu, opublikowaliśmy w „Kulturze” jego Manifest założycielski²³.

Potem w 1952 roku dzięki staraniom Józia Czapskiego współpracownikiem Kongresu został Kot Jeleński.

Oficjalna propaganda PRL długo utrzymywała, że „Kultura” była finansowana przez Kongres...

O tej sprawie pisał dość dokładnie Kot Jeleński w swoim artykule *Kultura – Polska na wygnaniu*²⁴. Jedyną pomocą, jaką otrzymaliśmy od Kongresu, było sfinansowanie tłumaczenia książki Raymonda Arona²⁵ i bodajże książki Jeanne Hersch²⁶, która też była związana z Kongresem. Myśleliśmy na to zgodzili, gdyż sami nie mieliśmy pieniędzy, a zależało nam, aby obie książki wydać.

Potem kiedy ogłosiliśmy apel o zbiorce na dom „Kultury”, Kongres wpłacił trzysta tysięcy starych franków, i to zostało potwierdzone w „Kulturze”, gdzie wszystkie wpłaty były skrupulatnie odnotowane.

Byliśmy oczywiście z wieloma ludźmi związanymi z Kongresem w bardzo dobrych stosunkach, naszym wielkim przyjacielem był James Burnham. Dzięki jego inicjatywie otrzymaliśmy wysoką, jednorazową dotację z Fundacji Lilly Endowment. Była to amerykańska fundacja, od której otrzymaliśmy pieniądze na wydanie serii „Archiwum Rewolucji”.

Jakie mieliście w tym czasie kontakty z Polską? Kto z kraju był w tym okresie – koniec lat czterdziestych, początek pięćdziesiątych – w Maisons-Laffitte?

Już w 1949 roku było u nas sporo ludzi, przyjeżdżali co prawda nie tak często, jak po 1956 roku, ale jednak przyjeżdżali.

²³ Manifest Kongresu Wolności Kultury opublikowany w „Kulturze” w nr 9/1950.

²⁴ Artykuł zamieszczony w miesięczniku „Le Debat” (luty 1981), przedrukowany w języku polskim w: *Zostało tylko słowo. Wybór tekstów o „Kulturze” paryskiej i jej twórcach*, Wyd. FIS, Lublin.

²⁵ R. Aron, *Koniec wieku ideologii*, Biblioteka Kultury 1956.

²⁶ J. Hersch, *Polityka i rzeczywistość*, Biblioteka Kultury 1957.

Niektórzy wtedy jeszcze nie odważali się na kontakty z nami, na przykład Artur Miedzyrzecki, którego znaleźliśmy oboje z Jerzym jeszcze z wojska, debiutował w „Orle Białym”. Później to się oczywiście zmieniało. Bywał u nas Kazimierz Koźniewski, jeszcze w 1948 roku jego pozycja w Polsce była zbyt silna, aby się bał komunistów, bywał Horodyński, bywał attaché kulturalny Ambasady Polskiej Mirosław Żuławski, ale to już bliżej 1956 roku. Było w tym czasie w Paryżu „Mazowsze” z Mirą Zimińską, ona do nas nie przyjechała, ale dzwoniła prosząc o przesłanie jej egzemplarzy pisma i książek. Wysłaliśmy.

Dostawaliśmy też, ale nieregularnie, polską prasę, to przychodziło raczej przez ludzi, którzy powyjeżdżali poza granice Polski, a nie z prenumerat. Regularnie i bez problemu zaczęliśmy otrzymywać prasę i książki po 1956 roku.

To z tego okresu pochodzą też wasze pomysły wysyłania do Polski książek w fałszywych okładkach...

W drukarni, w której robiono „Kulturę”, jakieś komunistyczne stowarzyszenie kobiet drukowało po polsku pismo dla kobiet. I kiedyś przyszło nam na myśl, że moglibyśmy to wykorzystać i wysłać nasze rzeczy z nadrukiem tego stowarzyszenia. W taki sposób wysłaliśmy pierwsze książki w paczkach z ich nadrukiem. W 1953 roku wysłaliśmy po raz pierwszy książki w fałszywych okładkach. Była tam książka Orwella *Rok 1984*, z której wysłaniem wiąże się zabawne wspomnienie. Sowieckie książki wychodziły wtedy z okładkami z ohydneho szarego papieru pakowego. Kupiliśmy taki sam papier, po czym wydrukowaliśmy okładkę z tytułem *Za rodzinu*. W tych to okładkach posłaliśmy Orwella do Polski. Później było *Zdobycie władzy* Miłosza. Na okładce tej książki widniał rysunek żołnierza sowieckiego, a tytuł zmieniliśmy na *Wyzwolenie* autorstwa „Zygmunta Kornagi”. I tak to poszło do kraju.

Najzabawniejsza historia związana jest z książką Dżilasa *Nowa klasa wyzyskiwaczy*, która wyszła u nas w tłumaczeniu Ciołkosza. O pozwolenie wydania tej książki pytaliśmy samego Dżilasa. Zygmunt pojechał specjalnie w tym celu do Jugosławii. Wydaliśmy ją, o ile dobrze pamiętam, akurat w momencie, kiedy Dżilas siedział w więzieniu. Książka wyszła w grudniu 1957 roku.

Zygmunt wpadł na pomysł, żeby zrobić pieczętkę po francusku, że jest to premia dla prenumeratorów „Kultury” i każdy prenumerator dostanie ją jako prezent na Gwiazdkę z egzemplarzem pisma. Tą pieczętką ostemplowaliśmy polskie prenumeraty. A trzeba wie-

dzieć, że RSW Prasa abonowała wówczas 140 egzemplarzy „Kultury”. Zrobiliśmy dwa razy tyle paczek, co zazwyczaj. Do każdego egzemplarza pisma dorzuciliśmy egzemplarz książki Dżilasa. Tak to wysłaliśmy i czekaliśmy na ewentualne zwroty. Zwrotów żadnych nie było, dostaliśmy za to reklamację, że ileś tam premii brakuje i żeby dostać książkę, gdyż prenumeratorzy się skarżą! [śmiech]

Ale mieliście też inne pomysły na to, aby „Kultura” docierała do kraju?

Przed wszystkim niektórzy mogli wtedy dostawać nasze pismo oficjalnie, np. Iwaszkiewicz, Kisiel, niektóre instytucje, jak Instytut Historii PAN, Biblioteka Akademii Wojskowej, wówczas imienia Feliksa Dzierżyńskiego, czy Biblioteka Narodowa oraz wiele instytucji partyjnych. Stamtąd to wychodziło jakimiś drogami w Polskę, bo kiedy nastąpiła „odwilż”, okazało się, że jesteśmy znani. Zaczęliśmy dostawać kilkadziesiąt listów dziennie oraz kilogramy książek. Listonosz wnosił codziennie worki książek. Trwało to dość krótko, ale kontakty zostały zadziergnięte.

Wcześniej, zanim wpadliśmy na pomysł wysyłania „fałszywek”, rozpoczęliśmy wysyłkę odbitek naszych najciekawszych artykułów drukowanych na papierze biblijnym. Wysyłaliśmy je w kopertach pod adresy wzięte z książki telefonicznej. Uważaliśmy, by adresy się nie powtarzały, gdyż nie chcieliśmy odbiorców w kraju narażać na kłopoty. Pierwszym takim artykułem był tekst Miłosza *List do Kraju*, zawierający osiem jego wierszy. Był to czerwiec 1952 roku. Wysyłanie tych nadbitek kontynuowaliśmy przez wiele lat. W 1964 roku rozpoczęliśmy wydawanie książek w normalnym formacie, ale na papierze biblijnym, pierwszą pozycją był *Ewolucjonizm* Mieroszewskiego.

Od początku lat pięćdziesiątych „Kultura” miała już stały zespół autorów, którzy zdecydowali o specyfice pisma. Byli to przede wszystkim Juliusz Mieroszewski, Jerzy Stempowski (pseudonim Paweł Hostowiec), Konstanty Jeleński, Józef Czapski, Witold Gombrowicz, Czesław Miłosz.

Najbliższym człowiekiem „Kultury” był niewątpliwie Mieroszewski. Zналиśmy się jeszcze z II Korpusu. Mieroszewski był redaktorem „Parady”, pisma wydawanego przez Korpus. Przed wojną pracował w krakowskim „Ilustrowanym Kurierze Codziennym”, potem był w Brygadzie Strzelców Karpackich, tam poznał się z Je-

rzym. Z „Kulturą” związał się Mieroszewski w 1949 roku. Bardzo szybko stał się kimś w rodzaju naszego *porte-parole*, mieli z Jerzym wspólną wizję polityczną. Kontakty utrzymywali głównie drogą listową. Mieroszewski bowiem nie ruszał się z Londynu, w którym zamieszkał po wojnie.

Był on niesamowitym dziwakiem. Czy pani wie, że on przez trzydzieści lat powojennych nie opuścił nawet na dzień Londynu! Był bardzo zdolny, miał wiele ciekawych propozycji pracy, ale je odrzucał. Jego pasją życiową stało się pisanie do „Kultury”.

Zmienił się po wojnie. Wcześniej był towarzyski, lubił się pośmiać. Z pewnością na tę zmianę wpłynęły jego przeżycia osobiste. W czasie wojny rozstał się ze swoją pierwszą żoną, która od niego odeszła, zabrała córkę. On bardzo ciężko to przeżył. Po jakimś czasie poznał Inkę Czechowicz, z którą potem się ożenił. Była o wiele młodsza od niego, przeszła z matką przez Rosję. Byli do siebie wyjątkowo przywiązani. Pisanie i dom wypełniały mu życie.

Z pani wypowiedzi wynika, że Mieroszewski nigdy u was nie był. Czy widywaliście się w Londynie?

Widywaliśmy się tylko tam, odwiedzaliśmy go w czasie naszych londyńskich podróży. W latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych ja i Jerzy często tam bywaliśmy. Przegadali z Jerzym wiele godzin. Oni dwaj wyjątkowo dobrze się rozumieli. Kłócili się dość często, ale były to kłótnie ideologiczne. Jerzy dostawał od niego 5–6 listów tygodniowo. Każdy artykuł dyskutowali i wspólnie „docierali”.

Jego stratę odczuliśmy bardzo dotkliwie. I właściwie Mieroszewskiego nikt już w „Kulturze” potem nie zastąpił.

Jakim człowiekiem był Jerzy Stempowski?

Stempowski nawiązał z nami kontakt jeszcze w Rzymie i od razu zaofiarował się ze współpracą. Od tego czasu przyjeżdżał regularnie 3–4 razy do roku z Berna, gdzie mieszkał stale u swoich szwajcarskich przyjaciół.

Był niesłychanie dobrze wychowany, wyjątkowo odczytany, wszystkim się interesował. W młodości studiował przez kilka lat medycynę, był zafascynowany chorobami. Kiedy nasz pies Black był chory i trzeba było mu robić zastrzyki, robił je Stempowski.

Kiedy był u nas, bardzo lubił przy kolacji czy obiedzie długie rozmowy. Bardzo często opowiadał nam to, co chciałby napisać.



Juliusz Mieroszewski, Edward Matuszczak, Zofia Hertz, N.N.,
Kair, 1943 rok



Kair, 1943 rok



Zofia Hertz z Edwardem Matuszczakiem, Kair, 1943 rok



Zofia Hertz na wielbłądzie, Kair, 1943 rok



Zofia Hertz, Maroka, Władysław Brodowski, Władysław Cichy,
Władysław Brodowski, Łaszek, 1943 rok



Jerzy Giedroyc, 1945 rok



Zofia Hertz z Jerzym i Henrykiem Giedroyciem,
Rzym, 22 września 1945 roku

Układał cały tekst, potem kiedy przysyłał swoje artykuły, miały one taką samą formę! To samo zdarzało się z jego listami. Korespondował z wieloma osobami, między innymi z Wittlinem, Wierzyńskim. I każdemu z przyjaciół wysyłał ten swój esej w formie listu. Po czym pytał te osoby, co im się podobało, a co nie.

Stempowski był urodzonym samotnikiem. W Szwajcarii mieszkał w bardzo skromnych warunkach, pod koniec prawie w nędzy, ale najwidoczniej mu to odpowiadało. Opiekowaliśmy się nim do końca, gdyż nie miał prawie z czego żyć.

Wiadomo, że Stempowski utrzymywał po wojnie dość bliskie kontakty z Marią Dąbrowską, która była również dwukrotnie w „Kulturze”. Jak pani ją zapamiętała?

Dąbrowska była u nas chyba dwukrotnie, mniej lub bardziej tajnie. Nie robiła miłego wrażenia na ludziach. Uznawała władzę komunistów, choć miała do nich stosunek krytyczny. Natomiast zawsze bardzo negatywnie wyrażała się o emigracji. Zarzucała jej oderwanie od kraju, niezrozumienie problematyki krajowej. Obie z Anną Kowalską, z którą do nas przyjeżdżała, wpadały w histerię, że my namawiamy do wojny. Nas stale krytykowała, nie wiadomo wobec tego, dlaczego u nas bywała. Ale Stempowski zawsze jej bronił.

W 1954 roku musieliście opuścić dom na Korneju. Dlaczego?

Jak już wspominałam, wynajęliśmy ten dom w okropnym stanie. W ciągu tych sześciu lat, które tam spędziliśmy, doprowadziliśmy go do stanu używalności, wszystko oczywiście na nasz koszt. Dom był zawsze pełen ludzi, mieliśmy psa, kota Żółtka, który się przybłąkał do nas, a w ogrodzie dwa dzikie koty, które nazwaliśmy Minusy. Minusy jadały u nas.

Właściciel domu, lekarz, nazywał się Jules Aron, składał nam raz na jakiś czas wizytę, aby sprawdzić, czy „dbamy” o dom. Któregoś razu przyszedł, zobaczył psa, koty, dużo ludzi, uznał wobec tego, że nam się bardzo dobrze powodzi. Powiedział nam wtedy, że cieszy się, iż znalazł takich dobrych lokatorów. I od tamtego czasu zaczął nam systematycznie podnosić komorne. A w 1954 roku zażądał podwyżki o 20 procent. Oczywiście odmówiliśmy, nawet ekspert sprowadzony przez właściciela przyznał nam rację. Sprawa skończyła się w sądzie.

Na nieszczęście kontrakt wynajmu, który przejęliśmy po placówce Józia Czapskiego, był na naszą niekorzyść. Ale wtedy, kiedy podnajmowaliśmy ten dom, nie znaleźliśmy jeszcze dobrze prawa francuskiego, a poza tym nie mieliśmy wyboru.

Sprawę przegraliśmy, ale jeszcze przed zapadnięciem decyzji zaczęliśmy szukać nowego domu.

W jaki sposób udało się wam znaleźć nowy dom?

Musieliliśmy opuścić dom na Korneju do 29 grudnia 1954 roku. Znalezienie nowego nie było dla nas rzeczą łatwą. Przede wszystkim nie mieliśmy pieniędzy. Poza tym potrzebny nam był dom w dobrym stanie, taki, do którego natychmiast moglibyśmy się przeprowadzić oraz taki, w którym byłoby miejsce dla nas wszystkich oraz miejsce do pracy. Dopisało nam jednak ogromne szczęście.

Wszyscy nasi sąsiedzi w Maisons-Laffitte wiedzieli, że szukamy domu. Któregoś dnia rano przybiegł do mnie chłopak od rzeźnika z wiadomością, że jest duży dom na sprzedaż w Maisons-Laffitte i warto go obejrzeć. Tego samego dnia w poczcie przyszedł list od Zosi Romanowiczowej²⁷, a w nim wycięte ogłoszenie z „Le Figaro” o sprzedaży tego samego domu.

Natychmiast zadzwoniłam do agencji, która się zajmowała sprzedażą. Agent bardzo zachwalał dom. Zapytany o cenę, podał 13 milionów starych franków. Ale od razu zapytał, ile możemy wydać na kupno domu. Ja, naturalnie wiedząc, że na razie nic nie możemy wydać, odpowiedziałam, że 8 milionów. Moja odpowiedź go nie zadowoliła, ale zdecydowaliśmy razem, że zwiedzimy dom i sprawę przedyskutujemy. Dom bardzo nam się spodobał. Był to oczywiście ten dom, w którym dziś mieszkamy. Spełniał wszystkie wymogi, tyle że nie mieliśmy za co go kupić. Ale to był drobiazg! [śmiech]

Po rozmowie z agentem przypomniał mi się, że kilka tygodni wcześniej Aleksander Weissberg-Cybulski²⁸, który założył firmę

²⁷ Zofia Romanowiczowa (1922), pisarka, od 1946 roku mieszka we Francji, żona Kazimierza Romanowicza.

²⁸ Aleksander Weissberg-Cybulski (1901–1964), austriacki fizyk, w młodości komuni- sta, w latach trzydziestych wyjechał do ZSSR, gdzie pracował w Instytucie Nauk w Charkowie; uwięziony przez NKWD po podpisaniu paktu Ribbentrop-Mołotow, został w 1943 roku przekazany wraz z grupą komunistów niemieckich gestapo; uciekł z transportu w Polsce, ukrywany przez swoją przyszłą żonę, której nazwisko – Cybul- ska – przyjął następnie jako swoje; po wojnie mieszkali w Paryżu; autor *Wielkiej czystki* opublikowanej w Bibliotece „Kultury” w 1967 roku.

budowlaną w Paryżu, zaproponował nam pomoc, gdybyśmy byli zdecydowani na zakup jakiegoś domu. Mieliby to załatwić jego współpracownicy. On sam był wtedy w podróży, ale Zygmuntowi, cudem zupełnie, udało się odtworzyć numer telefonu jego firmy. Potem już sam ekspert od nich prowadził rozmowy w naszym imieniu. Zaproponował cenę bardzo niską, 6 milionów, a potem przez cztery dni każdego wieczoru telefonował do agencji i za każdym razem agencja opuszczała po milionie. W końcu zgodziła się sprzedać dom za 6 milionów 600 tysięcy (oczywiście starych franków).

Obiecaliśmy zapłacić gotówką i to przeważało. Nikt wtedy tak domu nie kupował. A właścicielowi bardzo zależało na jak najszybszej sprzedaży. Był nim Anglik mieszkający w Egipcie, który swego czasu kupił ten dom dla córki. Ale ona umarła na raka, dom stał się dla niego smutnym wspomnieniem i chciał się go pozbyć. Układ pokoi był jednak niezbyt fortunny, nie można było domu podzielić, a czasy były wtedy ciężkie, nie udawało się znaleźć chętnego, który kupiłby cały dom. Trafiliśmy się my.

Jak wam się udało zdobyć gotówkę?

Nasze własne zasoby wynosiły milion franków. Jeden milion pożyczył nam hrabia Gilles de Boisgelin, ożeniony z Wańkowiczą, zaprzyjaźniony z Józim.

Drugi milion dał Edward Berenbau, przemysłowiec, polski Żyd, który zrobił fortunę w Urugwaju. Przyjeżdżał z żoną co roku na wakacje zimowe do Paryża i koniecznie chciał mieszkać w Hotelu Lambert. Hotel należał wtedy do Czartoryskich, a jego administratorem był Stefan Zamoyski, który nas dobrze znał i był fundatorem numeru „Kultury”. Berenbau zgodził się płacić za mieszkanie w Hotelu każdą sumę i dostał tam kilka pokoi do użytku.

Potem, kiedy wyszła sprawa naszego domu, Zamoyski powiedział Berenbaumowi: „Powinien pan dać na »Kulturę«, to taka zająca firma. Skoro jest pan zamożny, to powinien pan coś zrobić dla polskiej instytucji”. Myśmy zresztą myśleli o pożyczce, a nie o darowiźnie. Berenbaum odpowiedział na to, że zgadza się, ale pod warunkiem, że Zamoyski wypije z nim bruderszaft. Zamoyski oczywiście przystał na to, a my otrzymaliśmy w darze od Berenbauma milion franków. Potem zresztą był tu u nas, sam nam radził, aby zrobić zbiórkę wśród czytelników.

Naszym trzecim „bankierem” został inny milioner, Argentyńczyk, Arturo Lopez. On też miał apartament i to ten najwspanialszy w Hotelu Lambert. I znowu Stefan Zamoyski namówił go na

pożyczkę dla nas. Lopez pożyczył nam kilka milionów, bez procentu i bez terminu spłaty. Stefan Zamoyski zapewnił go, że my na pewno dług spłacimy, gdyż jesteśmy uczciwymi ludźmi, a w każdym razie on za nas gwarantuje. Przy kupnie domu mieliśmy jako cudzoziemcy trudności. Pomógł nam list André Malraux, którego Józio prosił o interwencję. List, zaadresowany do nas, wydrukowaliśmy w „Kulturze”²⁹.

W sumie wszystkie długi udało nam się spłacić w ciągu półtora roku.

Pomógł wam apel ogłoszony w „Kulturze” o zbiórce pieniędzy na nowy dom...

Doszliśmy do wniosku, że dla nas jedynym rozwiązaniem będzie apel o pomoc do naszych czytelników. Tekst przygotowany przez Juliusza Mieroszewskiego opublikowaliśmy w numerze z października 1954 roku. Nie spodziewaliśmy się tylko, że tak szybko zbierzemy pieniądze. Zakładaliśmy, że zbiórka będzie trwała kilka lat. Potem część pieniędzy ze zbiórki wykorzystaliśmy na konieczne naprawy w domu.

W jednym z numerów „Kultury”³⁰ opublikowaliście specjalną wkładkę ze zdjęciami nowego domu. Czy może pani opisać ten dom, który już potem na całe dziesiątki lat stał się waszą siedzibą?

Na parterze znajdują się pokoje biurowe, gabinet Jerzego oraz kuchnia z jadalnią.

Na pierwszym piętrze jest pokój Jerzego, mój pokój, pokój należący kiedyś do Zygmunta, pokój Józia oraz Dudka. Na górze mieścił się pokój Maryni Czapskiej.

Pokoje gościnne mieszczą się w domku w ogrodzie, przedtem była tam stajnia i garaż dawnych właścicieli. W 1985 roku wybudowaliśmy pawilon z przeznaczeniem na bibliotekę.

Jak wyglądał wasz przeciętny dzień pracy?

Pierwszy wstawał zawsze Jerzy, przygotowywał stół do śniadania, wstawiał wodę na herbatę. Potem wstawiał ja, szykowałam

²⁹ List André Malraux opublikowany w nr 9/1955.

³⁰ Wkładka opublikowana w nr 5/1955.

śniadanie, nie tylko dla nas, mieliśmy stale gości. O dziewiątej wszyscy zaczynali schodzić się do kuchni. Przy śniadaniu rozmawialiśmy, później przychodziła poczta. Nie zaczynaliśmy dnia pracy bez jej przejrzenia. Listy trzeba było posortować, niektóre od razu komentowaliśmy, na inne trzeba było na bieżąco odpowiadać. Przychodziły zamówienia na książki, prośby o prenumeraty bądź rezygnacje z nich, rachunki. Takie sprawy musiały być prowadzone na bieżąco.

Na tym schodził nam czas do obiadu, który ja gotowałam. Zmywali zawsze mężczyźni, były wyznaczone dyżury na każdy dzień tygodnia. Jeśli mieszkali u nas goście, ich również włączało się do zmywania.

Po obiedzie czekały na nas sprawy redakcyjne, adiustacje i korekty, korespondencja administracyjna, korespondencja Jerzego. Jeśli trzeba było, jeździłam do drukarni, Jerzy jeździł ze mną w czasie łamania numeru, bardzo to lubił.

Ekspedycja „Kultury” odbywała się w drukarni, trwała dwa dni. Zdarzało nam się angażować do niej przyjaciół z kraju będących w Paryżu przejazdem. I trzeba przyznać, że wszyscy tę pracę bardzo lubili.

Normalnie w domu pracowaliśmy do późnej nocy.

Czasy, w których zmienialiście dom, to również czasy ważnych zmian politycznych, śmierć Stalina, referat Chruszczowa...

Ciekawa historia była związana ze śmiercią Stalina. Otóż wspomniany Aleksander Weissberg-Cybulski miał bardzo dobre kontakty z Ambasadą Austrii w Paryżu. Któregoś dnia zadzwonił do Jerzego i powiedział po niemiecku: „Stary umarł”. Jerzy przyjął tę wiadomość z niedowierzaniem, nawet powiedział, że przecież nie ma żadnej oficjalnej wiadomości na ten temat. Ale Weissberg był pewien twierdząc, że wiadomość jest tajna.

Jerzy natychmiast poprosił Zygmunta, aby nadał telegram do Bejrutu do Włodzimierza Bączkowskiego, który znał się bardzo dobrze na sprawach sowieckich, żeby napisał o reperkusjach politycznych śmierci Stalina. Zygmunt pojechał natychmiast na pocztę, nadał depezę po francusku, urzędniczka po przeczytaniu depezy wezwała nawet kierownika, który próbował dowiedzieć się od Zygmunta, czy to prawda. Ale Zygmunt odmówił rozmowy na ten temat. Dopiero kiedy niedługo potem rozeszła się wiadomość o śmierci Stalina, pracownicy poczty zaczęli go traktować z dużym

respektem i trochę jak jasnowidza! Artykuł Bączkowskiego *Uwagi o sowieckiej strategii politycznej po śmierci Stalina* ukazał się w numerze 4 „Kultury”, miesiąc po śmierci Stalina.

Przy okazji tej historii widać, jakim redaktorem jest Jerzy. On miał zawsze natychmiastowe reakcje.

Jeśli chodzi natomiast o referat Chruszczowa, to Jerzy był bardzo niezadowolony, że nasi przyjaciele z Polski, którzy mieli od razu do niego dostęp, nie przekazali go nam. Oni zupełnie się nie zorientowali, co mieli w ręku. Dla nas było szalenie istotne, z wielu przyczyn, abyśmy wydali go jak najszybciej. Niestety, nie udało się.

Później był polski Październik. Oddźwięk w „Kulturze” był ogromny. Bardzo charakterystyczne było też wasze stanowisko wobec Gomułki.

Tak, rzeczywiście, myśmy dali kredyt Gomułce, co wywołało falę krytyki, do której już wtedy byliśmy przyzwyczajeni. Jednak po zamknięciu „Po prostu” jesienią 1957 roku wycofaliśmy nasze poparcie. Część działaczy emigracyjnych dała kredyt Gomułce, kiedy dla nas było już jasne, że przegrał.

Czy były wówczas próby nacisku ze strony komunistów?

Kiedy wycofaliśmy się z poparcia dla Gomułki, przyjechał do „Kultury” Adam Schaff z Gustawem Gottesmanem, redaktorem „Przeglądu Kulturalnego”, i zaczęli namawiać Jerzego do współpracy: niech pan nie pisze tego, to my wtedy zrobimy to itd. Na co Jerzy odpowiedział, że zawsze będzie pisał to, co chce. Wtedy Schaff wyciągnął szczerkową odbitkę stron z „Przeglądu Kulturalnego”, Gottesman powiedział: „Jeśli pan się nie zgodzi, to to się ukaże”. Ot, zwykła próba szantażu! Ale Jerzy powiedział, że to się może ukazać. Chcieli, aby „Kultura” zajęła neutralne stanowisko wobec Polski Ludowej, nawet nie zależało im na poparci. Odjechali niezadowoleni.

Czy później władze PRL próbowały jeszcze nawiązywać z wami kontakt?

Po 1956 roku zjawił się u nas jakiś człowiek, na powitanie wyciągnął swoją wizytówkę – konsul polski, Edward Wychowaniec. Okazało się, że chciał poprosić Jerzego o radę przy zakładaniu pisma dla Polaków we Francji. Był bardzo niezadowolony, kiedy Je-

rzy wyjaśnił mu, że jego zdaniem wydawanie takiego pisma w Paryżu nie ma sensu, że można by, ale na północy.

Bywał też u nas Mirosław Żuławski, attaché kulturalny Ambasady. Ale on przyjeżdżał po prostu na obiad lub kolację, od czasu do czasu.

Nie obawialiście się jakiejś prowokacji?

Nie, wcale. Przecież o tym, o czym z nim rozmawialiśmy, pisaliśmy w „Kulturze”. Żadnych naszych spraw przy nim nie poruszaliśmy.

Wróćmy do okresu Października. Nieco wcześniej, w lipcu 1955 roku ukazał się w Polsce list wzywający do powrotu do Polski, podpisany przez 48 osób ze środowiska artystycznego i naukowego, między innymi przez Dąbrowską, Jasienicę, prof. Juliana Krzyżanowskiego. Na ten list również zareagowaliście...

Odpowiedzieliśmy artykułem redakcyjnym, będącym zaproszeniem skierowanym do wszystkich sygnatariuszy listu do przyjazdu do nas, do „Kultury” po to, aby swobodnie porozmawiać. Takie zaproszenia wysłaliśmy też pod adresem każdego z sygnatariuszy oraz do „Tygodnika Powszechnego”, który apel wydrukował, z prośbą o przekazanie go adresatom, ale nie dostaliśmy żadnej odpowiedzi.

Opublikowaliście potem artykuł redakcyjny zatytułowany *Jedźmy... nikt nie woła*, będący odpowiedzią pisma na milczenie ze strony Polski³¹. Pod artykułem znajduje się następująca adnotacja: „W momencie druku pisma przyszła odpowiedź w postaci audycji Zbigniewa Florczaka w radio »Kraj« proponująca spotkanie, ale w Warszawie”. Warto przypomnieć, że taka rozgłośnia i biuletyn o tej samej nazwie istniały wtedy przez kilkanaście miesięcy (od września 1955 do lutego 1957 roku). Były bardzo propagandowe i przeznaczone dla Polaków mieszkających za granicą. Rzeczywiście wiele miejsca poświęcono tam „Kulturze”.

Z Florczakiem wiąże się ciekawa historia. W zasadzie zawsze wiedzieliśmy, kto się ukrywa pod poszczególnymi pseudonimami, ale był jeden wyjątek: Pelikan. Któregoś dnia Jerzy otrzymał od

³¹ Artykuł opublikowany w nr 2/1956.

niego kartkę wysłaną z jakiegoś zachodniego miasta, napisał w niej, że jeszcze nie może przyznać się do swojego prawdziwego nazwiska, ale prosi Jerzego o zachowanie tej kartki i że może domyślimy się po charakterze pisma, kim on jest. Ale myśmy nie odgadli, i dopiero w latach osiemdziesiątych okazało się, że to był Florczak. Poznaliśmy go jeszcze w 1948 roku jako młodego studenta. Radził się Jerzego, czy wracać do kraju, kończył wtedy studia w Belgii. Florczak do powrotu do Polski często u nas drukował.

Sporo osób z Polski zaczęło wówczas do was pisać...

Przed wszystkim w 1957 roku ukazała się rozmowa ze Stefanem Kisielewskim przeprowadzona przez Jerzego³². Wywiad stał się wówczas dużą sensacją. Kisiel z właściwą sobie *l'esprit de contradiction* oceniał sytuację w kraju, wydarzenia Października, „dorobek” i sytuację ekonomiczną PRL. Później w dziale listów zamieściliśmy za zgodą autorów list Zygmunta Mycielskiego³³ oraz list Kisielewskiego³⁴. W latach sześćdziesiątych liczba osób piszących z kraju oczywiście wzrosła i stała się czymś normalnym dla „Kultury”. Mieliśmy nawet stałego korespondenta w latach 1965–1966, Stanisława Mackiewicza-Cata, piszącego pod pseudonimem Gaston de Cerizay.

W jaki sposób doszło do współpracy z Catem-Mackiewiczem?

Po powrocie do Polski w 1956 roku zaproponował, że będzie do nas pisał.

Komuniści wydawali kilkakrotnie zakaz przewożenia i wysyłania „Kultury” do kraju, pierwszy datował się bodajże z 1950 roku. Ten zakaz obowiązywał przez cały okres istnienia PRL, z wyjątkiem kilku miesięcy „popaździernikowych”...

A mimo to już na początku 1957 roku poczta francuska zwróciła nam kilkakrotnie przesyłki z „Kulturą” dołączając list, w którym powoływała się na ten zakaz, mimo uchwały Związku Literatów z grudnia 1956 roku³⁵. W praktyce uchwała ta pozostała bez echa.

³² Rozmowa opublikowana w nr 6/1957.

³³ List opublikowany w nr 4/1958.

³⁴ List opublikowany w nr 4/1959.

³⁵ Uchwała VII Zjazdu ZLP, w której domagano się zniesienia „wszelkich form cenzury przewencyjnej oraz uchylenia ograniczeń w rozpowszechnianiu prasy emigracyjnej, w szczególności paryskiej „Kultury”.

Myśmy zresztą o tym pisali, wydrukowaliśmy też list poczty francuskiej.

Zdarzyło się również, że konfiskacie ulegały takie przesyłki „Kultury”, jak album sztuki nowoczesnej zaadresowany do Władysława Bienkowskiego, dyrektora Biblioteki Narodowej.

Zatytułowaliście komentarz do tego listu w znaczący sposób: *Obietnice i... rzeczywistość*³⁶. A pierwszy proces za przemyt „Kultury” odbył się już w 1958 roku, był to proces Hanny Rewskiej. Te procesy powtarzały się potem systematycznie.

Oskarżony o współpracę z nami został też w połowie lat sześćdziesiątych Stanisław Cat-Mackiewicz. Wszczęto śledztwo, Mackiewicz był przesłuchiwany, wcale się zresztą współpracy z nami nie wypierał. Pod koniec 1965 roku zaczął nawet pisać do nas już pod własnym nazwiskiem. Śledztwo jeszcze trwało, kiedy Mackiewicz zmarł w początkach 1966 roku.

Po Październiku przeżyliście szturm Polaków odwiedzających Maisons-Laffitte...

Zaczęli bywać wtedy u nas gromadnie Polacy z kraju, stypendyści, artyści, pisarze, studenci. Początkowo obawialiśmy się, czy znajdziemy wspólny język. Myślę też, że większość naszych rodaków na początku bała się nas. Po „reklamie”, jaką zrobili nam komuniści w Polsce, nie bardzo wiedzieli, kim się okazemy. Ale potem bardzo szybko okazało się, że nie ma między nami żadnych barier i myślimy podobnie.

Mieszkało u nas wtedy też sporo osób w całkowitej tajemnicy, przyznawały się dopiero po latach. Najserdeczniejsze kontakty nawiązaliśmy z STS-em, Jarkiem Abramowem i Agnieszką Osiecką.

Przyznaje pani dzisiaj, że jedną z najbliższych pani osób z kraju jest właśnie Agnieszka Osiecka. Czy pamięta pani wasze pierwsze spotkanie?

Agnieszka przyjechała z grupą przyjaciół na winobranie na południe Francji latem 1957 roku. Udało jej się wówczas przewieźć maszynopis *Cmentarzy* Hłaski. Zatrzymała się z przyjaciółmi w Burgundii, skąd któregoś dnia przyjechała do nas autostopem, gdyż na bilet nie miała pieniędzy. Została u nas na kolacji, a później

³⁶ Artykuł opublikowany w nr 4/1957.

chciała wracać z powrotem. Ale oczywiście nie puściłam jej na noc, przenocowała u nas, trzeba było ją do tego namawiać. Pożyczyliśmy jej trochę pieniędzy na bilet i papierosy dla kolegów, a następnego dnia wyjechała. Po winobranii cała ta grupa młodzieży przyjechała do Paryża „prześcić” zarobione pieniądze. Odwiedzili nas, a Agnieszka chciała oddać pożyczone pieniądze. Byli w tej grupie, o ile pamiętam, Jarecki, Drawicz, Abramow, Kamila Strumph-Wojtkiewicz. Kontakt został nawiązany, Agnieszka bywała u nas w ciągu tych wszystkich lat wielokrotnie, ma ogromne poczucie humoru, a najzabawniej opowiadała zawsze o swoich flirtach!

Również Marek Hłasko zamieszkał u was po opuszczeniu Polski, zażyjał się bardzo z pani mężem. Jak przebiegał pobyt Hłaski w „Kulturze”?

Marek był wyjątkowo malowniczą postacią. A opis jego pobytu u nas złożyłby się na osobną książkę. W 1957 roku Hłasko przysłał opowiadanie do druku w „Kulturze”, bodajże była to *Pętla*, poprosił wówczas Jerzego o przysłanie mu *Ciemności w południe* Koestlera, myśmy to wydrukowali w „Kulturze” w 1949 roku. Później zawiadomił nas, że chce wydać u nas książkę, którą przez kogoś prześle. Był to właśnie ten egzemplarz przywieziony przez Agnieszkę. Otrzymaliśmy go pod koniec sierpnia i od razu zaczęliśmy przygotowywać *Cmentarze* do druku w „Kulturze”. Numer wrześniowy był już całkowicie gotowy, kiedy zadzwonił Hłasko z Warszawy, błagając nas o wstrzymanie druku, gdyż stara się o paszport i jeśli wyjdzie na jaw, że drukuje właśnie coś u nas, to go nie wypuszczą. Udało nam się wstrzymać druk opowiadania i rzeczywiście jakiś czas potem Marek zjawił się w Paryżu.

Zamieszkał u nas, a Zygmunt mu matkował. Zygmunt wyjechał po niego, ale nie zdążył zjawić się na lotnisku, czekał na niego na dworcu Les Invalides, dokąd dowożono pasażerów z lotniska. Tam to zobaczył bardzo zdenerwowanego młodego człowieka w kożuchu, który po upewnieniu się, że mówi z Hertzem, wykrzyknął: „Całe szczęście, że pan tu jest, bo już chciałem zapisać się do Legii Cudzoziemskiej!”. To cały Marek.

Zachowywał się początkowo bardzo przyzwoicie, przez trzy miesiące nie wypił nawet kieliszka wina. Prowadził oryginalny tryb życia. Kładł się spać około trzeciej w nocy, spał potem do południa, a na dole pojawiał się dopiero na obiad. Lubił w nocy przychodzić do naszego pokoju, siedzieć godzinami i opowiadać wszystko, co mu przyszło do głowy. Zygmunt tego nie wytrzymywał, zasypiał, a ja potakiwałam na wpół uśpiona.

Adorowało go wiele kobiet. Biedna Marynia Czapska często próbowała go umoralniać, ale, trzeba przyznać, bez skutku. Siadała z nim na ławeczce u nas w ogrodzie i tłumaczyła mu cierpliwie, jak należy się zachowywać. Marek potakiwał, po czym robił swoje. Miał dużo uroku osobistego, pewnie dlatego tyle osób go lubiło i bezinteresownie mu pomagało.

Bardzo lubił zmyślać różne historie. Zadzwoił kiedyś do Zygmunta, już z Izraela, błagając, aby mu przysłał 100 dolarów, gdyż złamał sobie rękę i nie ma na lekarza. Zygmunt w to oczywiście nie uwierzył, ale jakieś pieniądze mu wysłał. Po pewnym czasie powiedział Markowi, że nie wierzył w żadną złamaną rękę. Na co Marek wyznał, że rzeczywiście skłamał wtedy, po czym zapytał Zygmunta: „Czy wolałbyś, żeby to była prawda? Ciesz się, wuju [tak mówił do Zygmunta], że jestem zdrowy!”.

Czy Ambasada Polska nie robiła mu żadnych trudności z przedłużeniem paszportu bądź nie wywierała presji, aby wracał?

W tym czasie żadnych presji nie było. Tak się złożyło, że kiedy jego książka zawierająca *Cmentarze* i *Następny do raję* była u nas już wydrukowana, ale jeszcze nierozprowadzona, Marek musiał zwrócić się do konsulatu z prośbą o przedłużenie paszportu. Bał się tam iść sam, poprosił więc Zygmunta, żeby z nim poszedł. Ale Zygmunt odmówił wejścia do Ambasady. Umówili się więc, że poczeka na niego pół godziny, w kawiarni obok. Gdyby po tym czasie Marek się nie pojawił, miał zawiadomić policję, że go porwali. Ale wszystko poszło gładko i po jakimś czasie ukazał się uśmiechnięty Marek. Okazało się, że przyjął go sam konsul, nie tylko nie robił problemów z przedłużeniem paszportu, ale poprosił go o książkę z autografem. Poza tym bardzo gorąco namawiał Marka na przyjęcie zaproszenia na kolację do niego do domu. Na tę kolację Marek rzeczywiście poszedł, skończyło się to pijaństwem w paryskich knajpach, po czym konsul odwiózł Marka do nas, do Maisons-Lafitte. [śmiech]

Jak zareagowaliście na śmierć Hłaski?

Przeżyliśmy ją bardzo, ale ani przez moment nie wierzyliśmy w samobójstwo. Marek dużo pił, a na dodatek zażywał garściami różne lekarstwa, mimo że nic mu nie dolegało. Jego pasją było testowanie na sobie wszystkich lekarstw, jakie pojawiały się w zasię-

gu ręki. Kiedyś odwiedził nas przyjaciel Jerzego, Zdzisław Miłoszewski, chory na serce. Akurat wtedy Marek mieszkał u nas. Kiedy zobaczył, że Miłoszewski zażywa lekarstwo na serce, usiłował w niego wmówić, że on też jest poważnie chory, źle się czuje i pomógłby mu, gdyby Miłoszewski dał mu swoje lekarstwo. A gdy ten odmówił, poszedł do pobliskiej apteki, gdzie udawał atak serca, próbując wyłudzić od aptekarza lekarstwo bez recepty. Na szczęście aptekarz poznał się na tym i dał mu aspirynę, po której Marek natychmiast „ozdrowiał”.

Hłasko pojechał do Wiesbaden podpisywać kontrakt z telewizją, zrobiono z pewnością z tej okazji jakieś przyjęcie, na którym Marek dużo wypił. A zażywał stale proszki nasenne, mimo że nie musiał. Pomieszał na pewno to wszystko razem i już się nie obudził. Myśmy tak w każdym razie myśleli.

Nieco później, gdyż w 1961 roku, przyjechał do was Andrzej Stawar³⁷. Jak się okazało, były to ostatnie miesiące jego życia.

W 1961 roku Stawar przyjechał do Francji bardzo chory, zamieszkał gdzieś pod Grenoble. Był w kontakcie z Jerzym, pracował bowiem nad książką, którą chciał u nas wydać. Po jakimś czasie zadzwonił mówiąc, że się źle czuje, chciałby przyjechać do Paryża i zamieszkać u nas. Pytał, czy ktoś mógłby wyjść po niego na dworzec. Oczywiście zgodziliśmy się, aby się u nas zatrzymał, przywiózł go do domu Zygmunt. Okazało się, że miał już ostatnie stadium raka żołądka. Nie mógł prawie nic jeść poza gotowaną marchewką.

Zamieszkał w jednym z pokoi gościnnych w domku w ogrodzie, nie mógł się już ruszać. Odwiedzali go tam Zygmunt z Jerzym oraz Stempowski, który też akurat do nas przyjechał. I to on nas któregoś wieczoru zaalarmował, żeby zawieźć Stawara natychmiast do szpitala, gdyż grozi mu skręt kiszek. Jego stan był już bardzo ciężki i niedługo potem umarł w szpitalu w Saint-Germain-en-Laye w sierpniu 1961 roku.

Stawar był we Francji zupełnie sam. Trzeba było zawiadomić Ambasadę Polską o jego śmierci, aby dokonać formalności pogrzebowych. Zresztą dopóki u nas był, Ambada dzwoniła od czasu do czasu pytając o niego. Po śmierci Stawara byli głównie zaintere-

³⁷ Andrzej Stawar (1901–1961), krytyk literacki i publicysta, od wczesnej młodości związany z Komunistyczną Partią Polski.

sowani tym, czy nie zostawił jakiś papierów. Ale on żadnych papierów nie zostawił, tylko rzeczy osobiste, pieniądze, książki, i to wszystko oddaliśmy Ambasadzie. Zatrzymaliśmy tylko egzemplarz jego manuskryptu, który nam zostawił myśląc o jego wydaniu w „Kulturze”. Sądzę, że Stawar świadomie wybrał „Kulturę” na miejsce swojej śmierci. Był to pewnie dla niego jakiś symbol. Nie był już wtedy komunistą.

Ambasada zorganizowała, zresztą w skandaliczny sposób, przewóz prochów Stawara do Polski. Przesłali urnę samolotem jako zwykłą przesyłkę lotniczą, odbierał ją podobno na lotnisku Putrament. Po czym urządzono mu pogrzeb z pompą, pochowano go w Alei Zasłużonych, z przemówieniami najwyższych dostojników partyjnych, ogromnymi nekrologami drukowanymi w prasie, ustanowiono nawet nagrodę jego imienia. Nie wspomniano natomiast, gdzie spędził swoje ostatnie dni przed śmiercią. W kilka tygodni po pogrzebie wydaliśmy jego *Pisma ostatnie*, co wywołało oczywiście wielki skandal w kraju.

Innym skandalem podobnego typu było wydanie przez was w 1960 roku książki Artura Marii Świnarskiego³⁸ *Sasza i bogowie*...

Świnarski nie mógł tego wydać w kraju, był już wtedy tępiony, a fakt, że myśmy to opublikowali, oczywiście wywołał tam skandal. Niedługo potem zresztą Świnarski opuścił Polskę, wyemigrował do Austrii, do Wiednia, i wkrótce umarł.

W 1963 roku przyjechał do Francji na stałe Witold Gombrowicz. Jakie wywarł na was wrażenie?

Gombrowicz był wtedy w „Kulturze” dwa, trzy razy. Ale muszę otwarcie przyznać, że ani ja, ani Zygmunt nie lubiliśmy go. Denerwował nas swoim „nadęciem” oraz tym, że uważał się za pępek świata. Zygmunt, o czym pisał w listach do Czesława Miłosza, nie lubił też Gombrowicza jako pisarza. Nawet Jerzy, który z kolei cenił jego twórczość, nie przepadał za nim jako człowiekiem. Właściwie ich znajomość była oparta na wieloletniej korespondencji, a ich typ osobowości wykluczał jakąkolwiek zażyłość. Jerzy jeszcze

³⁸ Artur Maria Świnarski (1900–1963), dramaturg, w 1963 roku wyemigrował do Wiednia, kilka miesięcy później tam umarł.

w Rzymie nawiązał z nim korespondencję i właściwie to Jerzy zmusił go do pisania.

Gombrowicz był strasznym snobem, a nic mu tak nie imponowało, jak kontakty ze środowiskiem arystokracji. Kiedyś Kot Jeleński, który go uwielbiał, postanowił z niego zażartować i będąc z Leonor Fini³⁹ na wakacjach na Korsyce, napisał do niego kartkę z pozdrowieniami. Kartkę tę podpisała Leonor oraz Kot, który różnymi charakterami pisma wypisał nazwiska pięciu hrabiów, kilku książąt i paru najlepszych pisarzy paryskich jako tych, którzy dołączyli się do pozdrowień dla Gombrowicza. I tak tę kartkę wysłał. Po jakimś czasie przyszedł kolejny odcinek *Dziennika*, w którym Gombrowicz napisał, że ma znajomości w wielkim świecie i przepisał z kartki Kota nazwiska tych ceniących go ludzi we Francji! Z trudem udało się nam go przekonać, aby tego nie drukował. [*śmiech*]

Grupa osób związanych z „Kulturą” w tamtym okresie była dość duża, nie sposób mówić o wszystkich. Kogo pani by wspomniała?

Bardzo interesującą postacią, którą wszyscy lubiliśmy, był Andrzej Bobkowski. Poznaliśmy go zaraz po naszych przenosinach do Paryża. On przeżył wojnę razem z żoną we Francji, bardzo źle się im powodziło. Przyjeżdżał do naszego domu na Korneju po żywność rozdawaną przez placówkę Józia Czapkiego, o której mówiłam wcześniej.

Andrzej Bobkowski był wyjątkowo inteligentny. Obdarzony dużą wyobraźnią, miał tysiące pomysłów dziennie, często zupełnie niewykonalnych, czym zresztą specjalnie się nie przejmował. Dość szybko zaczął pisać do „Kultury”. Zналиśmy również jego bardzo miłą żonę, Basię.

Ponieważ w Paryżu powodziło im się, jak wspomniałam, źle, zdecydowali się dość szybko na wyjazd do Gwatemali. Czemu tam właśnie, nikt nie wiedział. Bobkowski nie znał hiszpańskiego, nie miał tam żadnych kontaktów. Ale miał jakąś romantyczną wizję Gwatemali, a ich decyzję o wyjeździe przyspieszył również fakt, że w tym czasie we Francji bardzo panoszyli się komuniści, a tych Bobkowski organicznie nie znosił. Wyjechali w 1948 roku, z niewielką sumą pieniędzy pożyczoną od znajomych.

³⁹ Leonor Fini (1908–1996), malarka, towarzysza życia Konstantego Jeleńskiego.

Tam początkowo Bobkowski zaczął wykonywać najprostsze modele samolotów na sprzedaż, a po jakimś czasie otworzył własny sklep. Udało mu się nawiązać kontakty z Gwatemalczykami, w końcu ułożyło im się nie najgorzej. Był później w Paryżu dwa, trzy razy, mieszkał u nas. No, i oczywiście dużo do nas pisywał. W 1957 roku wydaliśmy jego książkę *Szkice piórkiem*.

Niestety, pod koniec lat pięćdziesiątych zaczął chorować i umarł na raka w 1961 roku. Ciężko to przeżyliśmy. Umiał cieszyć się życiem i zarażać tą radością innych.

Zupełnie inną postacią był Stanisław Vincenz⁴⁰. Też barwna postać, ale inaczej. Vincenz mieszkał na głębokiej francuskiej prowincji i od czasu do czasu przyjeżdżał do nas. Natychmiast po jego przyjeździe pojawiały się gromady polskich Żydów, którzy traktowali Vincenza prawie jak rabina. Chociaż on Żydem nie był. Pisał sporo na tematy żydowskie, było w jego osobowości i sposobie bycia coś, co przyciągało Żydów.

Vincenz siadywał w ogrodzie i „przyjmował” całe delegacje Żydów. Przychodzili do niego po rady, zwierzali mu się z problemów, żalili, a najczęściej wspominali Polskę, często zresztą z ogromnym rozrzewnieniem. Vincenz bardzo lubił te posiedzenia i dobrze czuł się w roli takiego ich „guru”.

Przez ponad trzydzieści lat mieszkała u nas Marynia Czapska, siostra Józia. Przyjechała z Polski w 1945 roku i przez dość długi okres mieszkała w Paryżu. Pod koniec lat czterdziestych przeniosła się do naszego domu na Korneju i do śmierci, w 1981 roku, była z nami.

Marynia była wyjątkowo przywiązana do Józia, traktowała go raczej jak dziecko, a nie brata. A Józio ulegał jej i czuł przed nią duży respekt. Marynia prowadziła osobną kuchnię i Józio jadał u niej. Była to kuchnia „dietetyczna”, jakieś zupki, gotowane warzywa. Czasami, kiedy Józio miał dosyć tej lekkiej kuchni, przychodził do nas na porządny obiad.

Była bardzo wysoka, ponad 180 centymetrów wzrostu, nosiła długie, do kostek, suknie, przepasane paskiem przypominającym sznur. Budziła ogromne zainteresowanie przechodniów, zwłaszcza kiedy wyprowadzała na spacer swoją ukochaną suczkę, Pieskę. Wszyscy nasi sąsiedzi ją dobrze znali.

Marynia była niesłychanie staroświecka i naiwna. Lubiała umoralniać tak zwane zepsute dusze. Najwdzięczniejszym adresatem takich „umoralnień” był Marek Hłasko.

⁴⁰ Stanisław Vincenz (1888–1971), pisarz, autor cyklu epickiego *Na wysokiej połoninie*.

W latach sześćdziesiątych bywał też u was Tyrmand...

Tyrmand był bardzo inteligentny i dowcipny, przy tym piekielnie złośliwy. Zły był jego pierwszą wydaną w Polsce po wojnie powieścią, którą przeczytałam od deski do deski, jednym tchem. Potem używaliśmy z Zygmuntem niektórych określeń Tyrmanda z tej właśnie książki, np. „Popatrz, jakie ta babka ma smutne nogi!”. Bardzo zabawny był też jego tekst opublikowany w „Kulturze”, zatytułowany *Fryzury Mieczysława F. Rakowskiego*⁴¹.

Uważałam go trochę za bufona. Kiedy przyjechał do nas po raz pierwszy, było akurat upalne lato. Z samochodu wysiadł bardzo niski mężczyzna ubrany tak, że do dziś to pamiętam. Miał różową koszulę, grubą włóchatą marynarkę, mimo 30 stopni ciepła, duży zielony, wełniany krawat, na nogach grube buciory i do nich zielono-czerwone skarpetki! Przyznam, że zaszokował nas głównie tym zestawem kolorystycznym. Popatrzyliśmy na niego z Zygmuntem z ogromnym zainteresowaniem.

W czasie następnego pobytu u nas, po tym, jak opuścił Polskę na stałe, mieszkał przez jakiś czas w domku w ogrodzie. Pierwszego ranka przyszedł na śniadanie już dość późno. Był u nas taki obyczaj, że każdy brał sobie, co chciał do jedzenia, wszystko było wystawione, tyle że każdy obsługiwał się sam. Tego ranka było u nas kilka osób, o ile dobrze pamiętam Hania Sabbatowa, Paulina Żuławska, żona Juliusza, Jarek Abramow. Tyrmand zjawił się w klapkach, króciutkich szortach, rozchełstanej koszuli odkrywającej owłosiony tors i nieogolony. Popatrzyłam na niego i zapytałam, co to za strój. Na co on odpowiedział, że jest to strój dżentelmena-farmera. A ja na to, że to nie jest farma, a z niego żaden dżentelmen i żeby raczył się przebrać i ogolić. Był bardzo niezadowolony, ale nie miał wyboru.

Niezależnie jednak od tych różnych dziwactw, potrafił nas rozśmieszyć do łez, opowiadając różne historie.

Zdaje się, że wasza znajomość z Tyrmandem miała jednak dość nieprzyjemne zakończenie?

Uniwersytet w Albany postanowił wydać antologię⁴² artykułów „Kultury”. Załatwiała to Alicja Iwańska⁴³. Uniwersytet dał pienią-

⁴¹ Artykuł opublikowany w nr 10/1967.

⁴² *Exploration in Freedom: Prose, Narrative and Poetry from Kultura*, 1970.

⁴³ Alicja Iwańska (1918–1996), socjolog, od 1946 w USA, później w Wielkiej Brytanii,



Zofia Hertz w otoczeniu pułkowników, pierwszy z lewej Piotr Konczyc,
szef komunikacji w sztabie, Tel Awiw



Darek Żarnowski, Zofia Hertz, Zygmunt Stermiński,
Bologna. 1946 rok



Zofia Hertz i Jerzy Giedroyc, Paryż, 1947 rok



Zofia Hertz z Jerzym Łubieńskim i Zygmuntem Hertzem,
avenue Corneille, 1948 rok



Jerzy Giedroyc, Henryk Giedroyc, Zofia Hertz,
avenue Corneille, 1949 rok



Jerzy Giedroyc, Zofia Romanowicz, Zofia Hertz, Henryk Giedroyc
avenue Corneille, 1949 rok



Kazimierz Romanowicz, Zygmunt Hertz, Henryk Giedroyc,
Mysia Żeleńska, Zofia Hertz, avenue Corneille, 1949 rok



Zofia i Zygmunt Hertzowie z Blackiem I,
avenue Corneille, 1949 rok

dze na tłumaczenie, częściowo na wydanie oraz na roczną pensję dla osoby, która tę antologię opracuje. Tyrmand znał dobrze język angielski, sam był pisarzem, więc Jerzy zaproponował mu, żeby on się tym zajął. Tyrmand naturalnie wyraził zgodę. Plan antologii opracował Jerzy, Tyrmand miał się zająć dopilnowaniem tłumaczy, korekty i opracowaniem do wydania. Po czym okazało się, że książka wyszła z masą błędów, niechlujnie złożona. Ale za to podał swoje nazwisko jako wydawcy książki na obwolucie, do czego nie miał oczywiście prawa i co nie było zgodne z prawdą.

Jakie były w tamtych latach wasze kontakty towarzyskie. Czy odbywały się przyjęcia, spotkania? Kto na nich bywał?

Jerzy z zasady nie bywał na żadnych przyjęciach, poza wyjątkowymi okazjami, kiedy chciał kogoś spotkać. Był natomiast obecny na obiadach i kolacjach urządzanych przez nas w „Kulturze”. Mieliśmy zwyczaj wydawania takich przyjęć dwa razy do roku, na Nowy Rok i Wielkanoc.

Natomiast Zygmunt i ja, jeśli czas pozwalał, korzystaliśmy z różnych zaproszeń. Najciekawsze spotkania dla Polaków urządził Kot Jeleński u siebie w mieszkaniu, często podczas nieobecności Leonor Fini. Było trochę przystawek, alkohol i nocne rodaków rozmowy. Zapraszał na nie bardzo często kogoś z kraju, kto akurat był w Paryżu, tak na przykład poznaliśmy u niego Zbyszka Cybulskiego. A spośród osób mieszkających tutaj było dość ściśle grono ludzi, w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych oprócz nas bywała Olga Scherer⁴⁴, Janek Lebenstein (którego u Jeleńskiego spotkaliśmy po raz pierwszy, po tym, jak otrzymał nagrodę miasta Paryża i postanowił tu zostać na stałe), bywał Mrozek z pierwszą żoną, przemiłą Marą, Marek Rudnicki⁴⁵ z żoną. Te przyjęcia w odróżnieniu od tych, które urządzali Francuzi, były bardzo miłe.

Byliśmy ponadto zaprzyjaźnieni z Kajetanem Morawskim, ambasadorem rządu londyńskiego w Paryżu, z Pawełkiem Zdziechowskim⁴⁶, Zosią i Kazimierzem Romanowiczami. W 1949 roku przyjechał do Paryża Witold Małcużyński i stał się częstym naszym gościem.

wykładała socjologię na kilku uniwersytetach amerykańskich, m.in. na State University of New York w Albany.

⁴⁴ Olga Scherer-Wirska (1924–2001), profesor literatury porównawczej, krytyk, pisarka; zamieszkała w Paryżu.

⁴⁵ Marek Rudnicki (1927), malarz i rysownik, od 1957 roku mieszka na stałe w Paryżu.

⁴⁶ Paweł Zdziechowski (1914–1972), prozaik, publicysta, tłumacz.

Kiedy w 1952 roku Kot Jeleński zaczął pracować w Kongresie Wolności Kultury, nawiązał wiele kontaktów. Kongresowi zależało na tym, aby gromadzić ludzi wokół ich środowiska, odbywało się więc sporo spotkań towarzyskich. Bywaliśmy na nich z Zygmuntem, który za tym przepadał, gdyż poznawało się tam mnóstwo ludzi. Przychodzili zresztą tylko tacy, którzy za komunizmem nie przepadali. Poznaliśmy wówczas Nicolasa Nabokova⁴⁷, François Bondy'ego, redaktora naczelnego pisma „Preuves”, oraz sporo emigrantów z Europy Wschodniej.

Na początku lat sześćdziesiątych w Bibliotece „Kultury” ukazały się dokumenty i opracowania dotyczące polskiego Października – *6 lat temu. Kulisy polskiego Października* oraz *Klub Krzywego Koła*⁴⁸. Bardzo szybko zaczęliście też publikować analizy i prognozy sytuacji politycznej w kraju w latach sześćdziesiątych...

Mówiliśmy już o korespondencjach Cata-Mackiewicza, były one niecierpliwie oczekiwane przez czytelników. Podobnie było z artykułami Kisiele. Ileż kontrowersji wywołał jego *Mój testament*. Kisiel napisał go po spędzeniu dwóch miesięcy w Niemczech i Francji. Myśmy zawsze drukowali artykuły Kisiele, mimo że często nie zgadzaliśmy się z jego poglądami. Ale wtedy był on na tyle dyskusyjny, że daliśmy w następnym numerze artykuł redakcyjny, w którym polemizowaliśmy z Kisielalem, zatytułowany *Oprotestujemy „Testament” Kisielewskiego*⁴⁹.

Może warto przypomnieć początek tej polemiki, gdyż świadczy ona o waszym poczuciu humoru: „Darowanemu koniowi w zęby się nie zagląda. Artykuł Kisielewskiego jest zawsze darem. Nie mówimy tego przez grzeczność: czytelnicy »Tygodnika Powszechnego« zaczynają lekturę od Kisiele, a niekiedy i na tym kończą. Jest zatem pedanterią wylawiać u Kisielewskiego niekonsekwencje, wadliwe sylogizmy, żeby nie powiedzieć: sprzeczności. [...] Wypadnie więc przyrzec się *Testamentowi* z bliska”.

Kłóciliśmy się często, to prawda. W swoich *Spotkaniach z Jerzym Giedroyciem*, drukowanych we wspomnieniach o „Kulturze”⁵⁰, Ki-

⁴⁷ Nicolas Nabokov (1903–1978), kompozytor, kuzyn Vladimira Nabokova.

⁴⁸ *6 lat temu. Kulisy polskiego Października*, pod red. J. Monda, seria Dokumenty, 1962; W. Jedlicki, *Klub Krzywego Koła*, seria Dokumenty, 1963.

⁴⁹ Artykuł opublikowany w nr 7–8/1962.

⁵⁰ W: O „Kulturze”. *Wspomnienia i opinie...*

siel przytacza kronikę tych kłótni. Ale nie oznaczały one zerwania kontaktów. Kisiel bywał w Maisons-Laffitte wielokrotnie, znaleźmy jego żonę, całą rodzinę. W czasie tego pierwszego pobytu Kisiele w Paryżu, Jerzy wspólnie z Jeleńskim zorganizowali mu jakiś odczyt w redakcji „Preuves”. Z inicjatywy Jerzego Kisiel był też obecny na Kongresie Wolności Kultury w 1960 roku, razem z Jeleńskim i Miłoszem.

Wydaliśmy wszystkie jego powieści, w latach sześćdziesiątych pisywał on do „Kultury” sporadycznie, ale w latach siedemdziesiątych miał już swój stały felieton *Wołanie na puszczy*.

Wróćmy do wydarzeń w Polsce w tym okresie i ich oddźwięku w „Kulturze”. Drukowaliście wówczas sporo materiałów anonimowych z kraju, jak na przykład sprawozdanie z nieoficjalnego zebrania w sferach partyjnych, zatytułowane *Przegrana Gomułki*. Z informacji przekazanych w tym artykule wyraźnie widać, że napisał go ktoś świetnie znający to środowisko. Jak otrzymywaliście takie materiały?

Niektóre przychodziły do nas rzeczywiście anonimowo. Były przysyłane przez ludzi, którzy zgodzili się je zabrać z Polski, a potem przysyłali je do nas, często z różnych stron świata. Kiedyś dostaliśmy przesyłkę z Polski, małą paczkę, a w niej dwa wełniane baranki. Początkowo zastanawialiśmy się, w jakim celu nam je przysłano. I w końcu Zygmunt wpadł na pomysł, że w środku musi coś być. Rzeczywiście, znaleźliśmy mikrofilm z tekstem Januarego Grzędzińskiego do „Kultury”. Dostawaliśmy zresztą często materiały na mikrofilmach. Zgadzało się je przewozić bardzo różni ludzie, najczęściej zupełnie anonimowi. Większość korespondencji Cata-Mackiewicza z Polski też tak do nas przychodziła.

Znalazły też odbicie w piśmie wszystkie najważniejsze wydarzenia z tamtych lat: historia listu 34, list Jacka Kuronia i Karola Modzelewskiego do partii, wydany potem w serii „Dokumenty Biblioteki «Kultury»” w 1966 roku, oraz wreszcie Marzec '68.

Oczywiście Marzec '68, podobnie jak później wydarzenia w Czechosłowacji, był w centrum naszego zainteresowania. Sporo osób skazanych wtedy w Marcu znaleźmy, jak Adama Michnika, Barbarę Toruńczyk czy Jakuba Karpińskiego. Michnik był u nas po raz pierwszy chyba niedługo po maturze, był jeszcze wtedy bardzo „nieopierzony” i lubił się z nami kłócić o różne sprawy. Jakub i je-

go brat Wojtek Karpiński byli synami przyjaciela Zygmunta i byli nam bardzo bliscy.

Drukowaliśmy wiele artykułów poświęconych sprawie antysemityzmu w Polsce. Zresztą problematyka ta była w „Kulturze” obecna i wcześniej. Sporo miejsca poświęciliśmy jej jeszcze w 1956 roku, rozpisaliśmy wtedy między innymi ankietę na ten temat, a jej wyniki przedstawiliśmy na łamach pisma.

Tematyka Marca i jego odgłosy były długo obecne w „Kulturze”.

W jednym tylko numerze 5/68 znalazły się artykuły Czapskiego i Jeleńskiego, oba pod jednoznacznymi tytułami, pierwszy *Bij Żidow, spasał Rosję* i drugi *Hańba czy wstyd*; ukazała się też analiza Pelikana, kronika wypadków marcowych wraz z dokumentami – odezwami studentów, listem Episkopatu do partii, jak również tak zwaną czarną listą, czyli listą artykułów propagandowych drukowanych wtedy w polskiej prasie. Po Marcu wielu intelektualistów i pisarzy opuściło Polskę, większość z nich współpracowała później z „Kulturą”?

Tak, prawie wszyscy, tyle że jedni, jak Unger, związali się z nami na stałe, inni publikowali u nas od czasu do czasu: Pomian, Kołakowski, Mrozek, Wirpsza i wielu innych.

Poruszyła pani ważną dla pisma sprawę. Otóż od końca lat sześćdziesiątych następuje wymiana części współpracowników „Kultury”, zmarli wtedy Jerzy Stempowski, Kazimierz Wierzyński, Witold Gombrowicz, Marek Hłasko. Doszli ci, których pani wymieniła, ale również od 1966 roku wrócił na stałe do „Kultury” Gustaw Herling-Grudziński, po prawie dwudziestoletniej przerwie. Czym była ona spowodowana?

Gustaw współpracował z nami jeszcze w Rzymie, zwłaszcza przy wydaniu pierwszego numeru „Kultury”. Mniej więcej w tym czasie, kiedy myśmy przenosili się do Paryża, Gustaw ożenił się i nie bardzo mógł zdecydować się na wyjazd z nami w nieznane. Podjął wtedy decyzję o przeniesieniu się do Londynu, tam sytuacja finansowa była początkowo łatwiejsza.

W tym okresie nasza współpraca przestała istnieć. Przez jakiś jeszcze czas mieszkał Gustaw w Londynie, drukował w „Wiadomościach”, opublikował *Inny świat*, przeżył ciężki okres związany z tragicznymi przejściami osobistymi. Potem przeniósł się do Monachium, gdzie pracował dla Radia Wolna Europa. W 1955 roku osiadł na stałe w Neapolu, gdzie ożenił się z Lidią Croce. W drugiej połowie lat sześćdziesiątych (od 1966 roku) zaczął współpracować

już na stałe z „Kulturą”. Prawdę mówiąc, zatarło się w mojej pamięci, jak do tego doszło. Po kilku latach Gustaw zaczął regularnie do nas przyjeżdżać co dwa miesiące i zostawał na miesiąc, aż do roku 1991, kiedy miał zawał i musiał z tych przyjazdów zrezygnować na żądanie lekarza.

A jak wyglądała współpraca państwa z Kotem Jeleńskim?

Jeleńskiego poznaliśmy przez Józia Czapskiego zaraz po przyjeździe do Paryża i zawsze bardzo się lubiliśmy. Najbliższy jednak kontakt miał z nim Zygmunt, bardzo często widywał się z Kotem podczas swoich codziennych wypraw do Paryża.

Jeleński początkowo pisał do nas sporo, robił recenzje z francuskich i włoskich książek, napisał wiele doskonałych esejów. Ale później Kota bardzo pochłaniała praca w międzynarodowych organizacjach. Był dość długo w sekretariacie w Kongresie Wolności Kultury, w latach 1952–1967, potem był w redakcji francuskiego miesięcznika „Preuves”, w latach 1953–1969. Zrobił wiele dobrego dla „Kultury”, był autorem dwóch dużych artykułów o działalności Instytutu Literackiego i „Kultury”, wydanych w języku francuskim⁵¹.

Ale współpraca pisarska z nami układała się dość nierówno, były okresy, kiedy nie pisał wcale. Przez pewien czas miał Jeleński do nas pretensje za to, że narażamy ludzi z Polski dając im do przewożenia egzemplarze naszych książek czy miesięcznika. Było to po procesie „taterników”⁵². Ale potem Kot się sam z tego wycofał, przyznając nam rację.

W sumie do końca życia pozostał człowiekiem bliskim „Kulturze”.

Jedną z najważniejszych zasług „Kultury” było z jednej strony – propagowanie pokojowego ułożenia stosunków Polski z jej sąsiadami oraz mniejszościami narodowymi, a z drugiej – informowanie i przybliżanie

⁵¹ Pierwszy cytowany w przypisie 24; drugi był referatem przygotowanym na kolokwium poświęcone prasie polskiej, które odbyło się w Lille w 1985 roku; artykuł drukowany w języku polskim w „Aneksie” nr 46–47/1987.

⁵² Proces „taterników” odbył się w 1970 roku. Władze PRL oskarżyły Macieja Kozłowskiego, Jakuba Karpińskiego, Małgorzatę Szpakowską, Marię Tworkowską i Krzysztofa Szymborskiego o przekazywanie wrogim ośrodkom informacji szkalujących PRL oraz o ich przemyt do kraju, zaliczono do nich również „Kulturę” i publikacje Instytutu Literackiego.

problematyki i kultury tych narodów. Opublikowaliście setki artykułów na ten temat. W Bibliotece „Kultury” ukazywały się tłumaczenia książek wielu pisarzy i dysydentów wschodnioeuropejskich...

Niektórym groziło za to więzienie. W czasie procesu Andrieja Siniawskiego i Julija Daniela⁵³ w Moskwie jednym z motywów oskarżenia był fakt publikowania w „Kulturze”.

Oczywiście dla Jerzego sprawy, o których pani mówi, były zawsze w centrum zainteresowania. Wydaliśmy przecież kilka edycji „Kultury” w języku rosyjskim, czeskim, niemieckim. Jednym ze stałych działów były u nas kroniki poświęcone wydarzeniom, które miały miejsce w tych krajach. Kronikę rosyjską prowadzi od 25 lat Michał Heller, piszący pod pseudonimem Adam Kruczek; wieloletnim współpracownikiem „Kultury” jest Bohdan Osadczyk, ukraiński publicysta, publikował u nas Tomas Venclova.

Kiedy w 1974 roku przyjechał do Paryża Władimir Maksimow i chciał założyć „Kontynent”, pierwszą osobą, którą prosił o radę, zresztą zgodnie z sugestią Sołżenicyna, był Jerzy.

Jerzy, Józio Czapski i Gustaw Herling-Grudziński byli członkami kolegium redakcyjnego „Kontynentu”. Jerzy był również członkiem rady redakcyjnej ukraińskiego kwartalnika „Widnowa”. Takie przykłady można by mnożyć.

Wspólną inicjatywą „Kultury” i „Kontynentu” były chociażby prace nad przygotowaniem oświadczenia rosyjskich dysydentów podpisanego w 1975 roku, zatytułowanego *Miara odpowiedzialności*⁵⁴.

Sołżenicyn znał „Kulturę”, gdyż dochodziła ona do Rosji najróżniejszymi kanałami, jeszcze zanim wyemigrował na Zachód. Biblioteka „Kultury” wydawała jego książki. Czy pan Redaktor nawiązał kontakt z Sołżenicynem po tym, jak opuścił on Rosję?

W 1974 roku Sołżenicyn znalazł się w Zurychu, udało nam się zdobyć jego adres, chyba od francuskiego wydawcy jego książek. Jerzy chciał zwrócić się do niego o wyrażenie zgody na polskie wydanie *Archipelagu Gułag*. Musieliśmy go jednak uprzedzić, że nie jesteśmy w stanie wiele zapłacić za prawo wydania (zachodnie domy wydawnicze płaćły wówczas bająńskie sumy za prawo opubliko-

⁵³ Proces Andrieja Siniawskiego (pisującego jako Abram Terc) i Julija Daniela (pisującego jako Mikołaj Arszak) odbył się w lutym 1966 roku w Moskwie.

⁵⁴ Oświadczenie opublikowane w nr 9/1975.

wania tej książki). Ale Sołżenicyn od razu zgodził się, abyśmy wydali tę książkę bezpłatnie. Jerzy z Józiem Czapskim pojechali specjalnie do Zurychu, aby móc z nim porozmawiać. *Archipelag Gułag* wyszedł u nas w całości w latach 1976–1978.

Po wyjeździe Sołżenicyna do USA Jerzy utrzymywał z nim stały kontakt korespondencyjny. Jednym z takich momentów ożywionej korespondencji między nimi było podpisanie przez dysydentów rosyjskich deklaracji o uznaniu prawa do niepodległości Ukrainy.

Sekretarką Sołżenicyna była przez jakiś czas Irina Alberti (redaktorka „Russkoj Mysli”), z którą Jerzy dobrze się znał.

Czy były w latach pięćdziesiątych i sześćdziesiątych jakieś próby interwencji bądź inwigilacji „Kultury” ze strony władz komunistycznych?

Nam wiadomo o dwóch takich interwencjach: Gomułki i Cyrankiewicza u de Gaulle'a. Francuzi nas potem nieoficjalnie o tym zawiadomili. Interwencje te były próbą zlikwidowania „Kultury” za pośrednictwem rządu francuskiego. To się całkowicie nie powiodło. Interweniowała też Ambasada Sowiecka z podobnym skutkiem.

Francuska Partia Komunistyczna nic przeciw nam nie robiła. Prób infiltracji, moim zdaniem, nie było. Wszyscy się temu dziwią, ale to prawda. Oczywiście, o niektórych osobach wiedzieliśmy od początku, że po wizytach u nas składają sprawozdania w UB. Ale w czasie takich wizyt towarzyskich myśmy i tak o niczym innym niż o tym, o czym pisaliśmy w „Kulturze”, nie mówili. Naprawdę takie szczegóły znał tylko Jerzy i ja, nie wiedział o nich często nawet Zygmunt, co widać z jego listów do Czesława Miłosza.

Potem w latach siedemdziesiątych próbowali komuniści przez niektórych ludzi z Polski dowiedzieć się, czy Jerzy cieszy się dobrym zdrowiem, czy dużo pali, pije itp. No, ale oczywiście to było śmieszne.

Raz jeden zdarzył się rzeczywiście bardzo nieprzyjemny przypadek. Jeden z bardzo bliskich przyjaciół z lat młodości Zygmunta wylądował po wojnie na Zachodzie. Po kilku latach odezwał się do Zygmunta brat tego właśnie przyjaciela. Człowiek ten został w Polsce. Był ekonomistą, często przyjeżdżał do Francji i potem spotykał się tu dość systematycznie z nami. Nigdy u nas nie mieszkał, ale bywał, rozmawialiśmy przy nim o różnych sprawach, ale on nigdy nie próbował niczego od nas wyciągać.

Za którymś kolejnym pobytem zadzwonił do Zygmunta już w przeddzień wyjazdu, prosząc go o spotkanie w bardzo pilnej

sprawie. Zygmunt dość niechętnie zgodził się pojechać do niego do hotelu, w którym mieszkali zresztą sami Polacy. Na miejscu okazało się, że ktoś z UB chce za wszelką cenę rozmawiać z Zygmuntem. Pośrednikiem był właśnie ów znajomy Zygmunta. Rozmowa odbyła się w kawiarni w Dzielnicy Łacińskiej, a Zygmunt uprzedził od razu tego faceta z UB, że nie ma nic do powiedzenia i że dziwi się, że UB tak zależało na tym spotkaniu. Facet w odpowiedzi coś kręcił, mówił o jakiś głupstwach. Aż w końcu zniecierpliwiony Zygmunt zapłacił za kawę i wyszedł z kawiarni. Na co ten facet przyciśnięty do muru rzucił do Zygmunta: „Kawa na ławę, grubsza forsa za wiadomość, kim jest Staliński!”. Tak im zależało na dowiedzeniu się, kto był autorem książki *Widziane z góry*, którą wydaliśmy.

Oczywiście Zygmunt go wyśmiał i nigdy więcej nikt z UB bezpośrednio nie próbował do nas dotrzeć. Ale okazało się, że ten znajomy Zygmunta musiał zgodzić się na jakieś formy współpracy. Kiedyś bowiem pytał Zygmunta, czy i gdzie mógłby przysłać dla „Kultury” jakieś brakujące gazety, gdyż nie chciałby wysyłać pod naszym adresem. Zygmunt dostał zgodę swojej znajomej Polki mieszkającej tutaj i ten adres mu podał. Okazało się potem, że miała nieprzyjemności z tego powodu.

Jak bardzo komunistom zależało na rozszyfrowaniu, kto się ukrywał pod pseudonimem Staliński, świadczy również wydarzenie, które miało miejsce w czasie drukowania tej książki. Drukowaliśmy wtedy w drukarni u Langzama. Któregoś dnia zadzwonił do mnie majster z drukarni i w czasie rozmowy wspomniał coś o dziwnym zachowaniu jednego z robotników, którego jakoby poleciłam do pracy przy składaniu.

Zdziwiłam się bardzo, bo nikogo nie polecałam, i natychmiast pojechałam do drukarni. Na miejscu okazało się, że ten „polecony” przeze mnie człowiek usiłował zobaczyć maszynopis (na którym były ręczne dopiski), ale mu się to nie udało, wzbudził tylko podejrzenia majstra. Chłopaka oczywiście objechałam, coś tam dukał na swoją obronę, ale w końcu zmył się jak niepyszny.

Komuniści podobno brali specjalistów do zbadania, kto mógł być autorem książki. Było w niej wiele informacji na temat partii, domysляли się, że autor musiał mieć jakąś wtyczkę i chcieli odkryć, kogo.

Czy wasze rodziny w Polsce były narażone na nieprzyjemności ze strony władz?

W zasadzie nie. Rodzice Jerzego zginęli jeszcze w czasie powstania warszawskiego, został tylko jego brat, który mieszkał w War-

szawie. Jerzy pozostawał z nim w kontakcie, nie korespondowali oficjalnie ze sobą i on nigdy do nas nie przyjechał. Zmarł niedługo po wojnie, ale nie miał żadnych nieprzyjemności, tyle że nie awansował. Był z wykształcenia inżynierem rolnikiem.

Mój ojciec, którego odnalazłam po wojnie przez Czerwony Krzyż, też żył w Polsce i również nie miał z mojego powodu żadnych problemów. Zmarł w 1958 roku.

Nie robiono również żadnych nieprzyjemności siostrze Zygmunta, Anieli, która przyjeżdżała do nas kilkakrotnie. Po raz pierwszy dostała paszport dopiero po 1956 roku, ale później mogła wyjeżdżać na Zachód.

Dekadę lat siedemdziesiątych rozpoczynają wydarzenia grudniowe, a zamykają strajki sierpniowe i powstanie „Solidarności” w 1980 roku. Dekadę tę wypełniają gorączkowe dla Polski lata z formowaniem się opozycji, wydarzeniami w Radomiu, powstaniem KOR-u, uruchomieniem sieci wydawnictw niezależnych. Nastawienie „Kultury” na kraj ulega wówczas dalszej ewolucji, działalność dla kraju ustępuje miejsca współdziałaniu z krajem.

Była to oczywiście zmiana zgodna z tokiem wydarzeń w Polsce. Skoro dla nas w centrum zainteresowania był zawsze kraj, naturalne z naszej strony było „pójście” za tym, co się w Polsce działo. W latach sześćdziesiątych „Kultura” była jedynym forum myśli opozycyjnej, otwartym niemal dla wszystkich, publikowaliśmy przecież często teksty odległe od poglądów redakcji. Taki dopisek towarzyszył na przykład wielu artykułom Kisiela, opublikowaliśmy w 1965 roku list Kuronia i Modzelewskiego, a i później kontynuowaliśmy te tradycje publikując skrzętnie wszystkie dokumenty KOR-u, PPN-u, ROPCiO, dokumenty niezależnego ruchu studentckiego itp.

W latach siedemdziesiątych i osiemdziesiątych „Kultura” przestała być jedynym pismem niezależnym, gdyż w kraju powstały ich najpierw dziesiątki, potem setki. Zmieniała się więc nasza rola, co znajdowało odbicie w piśmie.

W numerze styczniowo-lutowym „Kultury” z 1971 roku opublikowaliście, z dopiskiem „z ostatniej chwili”, artykuł redakcyjny *Polski Grudzień*, w którym obok komentarza na gorąco do wydarzeń grudniowych pojawia się teza Redaktora o konieczności wspólnej walki z komunizmem polskiej inteligencji i robotników. Bez niej wszelkie akty buntu pozostaną aktami

rozpaczy bez politycznej alternatywy i programu. Do tej tezy będzie potem wielokrotnie powracał.

Tak, to była *idée fixe* Jerzego. Proszę przypomnieć sobie wywiad, którego udzielił w 1975 roku Aleksandrowi Smolarowi dla „Aneksu”, a opublikowano go dopiero po dwunastu latach⁵⁵. Jerzy wyraźnie mówi tam, że bez współdziałania robotników z inteligencją walka z komunizmem nie może być skuteczna. To zresztą bardzo ciekawa rozmowa, gdyż Jerzy przewidział dalszy tok wydarzeń w kraju. On oczywiście bardzo się denerwował, jeśli mu się o tym mówiło, ale ja uważam, że to prawda.

Pamiętam również, że przynajmniej dwukrotnie, w 1975 i w 1980 roku, opublikowaliśmy – jakby „uprzedzając”, za pierwszym razem wydarzenia w Radomiu i utworzenie KOR-u, a za drugim razem wypadki sierpniowe – dwie dyskusje. W 1975 roku była to dyskusja na temat „Co robić?”, z udziałem między innymi Kołakowskiego, Wirpszy, Marii Hirszowicz oraz autorów z kraju. Jej celem było wskazanie dróg prowadzących do niepodległości Polski. A w 1980 roku był to trójęgłos Nowaka, Wandyczka, Ciechanowskiego, pod znamienym tytułem *Bić się czy nie bić?*.

W pierwszej połowie lat siedemdziesiątych wzrosła również ogromnie liczba publikujących w „Kulturze” autorów z kraju, którzy najczęściej występowali pod pseudonimem bądź anonimowo. W jaki sposób nawiązywaście z nimi kontakty?

Wielu z nich przysyłało do nas teksty bez wcześniejszego uzgodnienia, po prostu pisali do „Kultury”, gdyż wiedzieli, że mogą tu być wydrukowani. Ale w wielu wypadkach Jerzy szukał sam kontaktów z różnymi osobami, bywało u nas przecież przejazdem wiele osób z kraju. Niektórzy umawiali się z Jerzym podczas tych właśnie spotkań w Maisons-Laffitte. Ale bywało, że to poprzez nich nawiązywaliśmy kontakty z innymi ludźmi, którzy z kraju nie mogli wyjechać, bądź też poprzez tych, którzy opuścili Polskę, jak Leszek Kołakowski, Krzysztof Pomian. Ten nasz stale od lat podtrzymywany kontakt z krajem profitował.

Zdarzało się też, że aby poznać niektóre osoby, Jerzy jeździł specjalnie na spotkania z nimi, na przykład do Amsterdamu, aby poznać Leszka Kołakowskiego, jeszcze zanim opuścił Polskę na stałe, do Londynu, aby spotkać Jana Józefa Lipskiego.

⁵⁵ Opublikowany w „Aneksie” nr 44/1986.

Wspomniała pani, że wiele osób publikowało u nas pod pseudonimem. To zabawne, ale zgłosił się teraz niedawno do nas Instytut Badań Literackich w Warszawie z prośbą o rozszyfrowanie wszystkich pseudonimów. I bywa, że w kilku przypadkach mamy trudności z ustaleniem, zwłaszcza jeśli były to artykuły jednorazowe.

Oczywiście w międzyczasie wielu rozszyfrowało się samych, jak Roman Zimand – Leopolda, Wojciech Skalmowski – Maciej Broński.

Bywało również, że drukowaliście autorów z kraju z dopiskiem „materiał publikowany bez zgody autora”, w taki sposób ukazał się na przykład w 1974 roku artykuł Kazimierza Dziewanowskiego *Nasz naród jak lawa*⁵⁶ czy w 1972 roku Władysława Brusa *Uwagi do Wytocznych na VI Zjazd PZPR*...⁵⁷

Była to forma ochrony autora przed szykanami ze strony komunistów, ponieważ oczywiście zgodę autorów mieliśmy. Wiadomo było, co groziło za druk w „Kulturze” bądź w Bibliotece „Kultury”. Na przykład w 1973 roku Kazimierz Orłowski wydał u nas swoją powieść *Cudowna melina*, wcześniej odrzuconą w Polsce przez cenzurę. Za druk u nas został wyrzucony z radia, w którym wówczas pracował, spotkały go różne szykany, które zresztą po latach opisał w wydanej również u nas w 1986 roku *Historii „Cudownej meliny”*. I oczywiście nie był to żaden fakt odosobniony.

Mówiła pani o Leszku Kołakowskim. W latach siedemdziesiątych jego artykuły były stale obecne w „Kulturze”, potem pojawiały się coraz rzadziej...

Kołakowski zaczął u nas drukować w 1971 roku. Jak wspomniałam, poznali się z Jerzym w latach sześćdziesiątych w Amsterdamie. Później, już po wyjeździe na Zachód – przyjeżdżał z żoną, Tamarą, wielokrotnie do Maisons-Laffitte. W tym czasie pisał do nas dość często. Opublikował u nas jeden z ważniejszych tekstów *Tezy o nadziei i beznadziei*⁵⁸, potem wydane przez nas w formie broszury, dotarła ona nielegalnie nawet do ZSSR. A w latach 1976–1978 wydaliśmy w Instytucie Literackim kolejne tomy *Głównych nurtów marksizmu*.

⁵⁶ Artykuł opublikowany w nr 4/1974.

⁵⁷ Artykuł opublikowany w nr 1–2/1972.

⁵⁸ Artykuł opublikowany w nr 6/1971.

Kiedy powstał „Aneks”, Kołakowski przeniósł się do Smolara. Choć pisywał do nas dalej, tylko że dużo rzadziej.

Jesienią 1976 roku powstał Komitet Obrony Robotników, w listopadowym numerze „Kultury” z tego roku opublikowaliście w dziale „Dokumenty krajowe” listę członków KOR-u. A później już każdy numer „Kultury” przynosił pełen zestaw wydawanych przez KOR dokumentów. Jakie były wasze kontakty z członkami KOR-u, jakie ich oczekiwania wobec „Kultury”?

Niektórych KOR-owców znaliśmy osobiście, najlepiej chyba Edwarda Lipińskiego – Jerzy znał go sprzed wojny, Jana Józefa Lipskiego, Józefa Rybickiego. Anielę Steinsbergową poznaliśmy podczas jednego z jej pobytów w Paryżu. Była ona krewną ówczesnego dyrektora Biblioteki Polskiej w Paryżu, Handelsmana, i to on zaprosił nas do siebie, abyśmy mogli się z nią spotkać.

Blisko zaprzyjaźniona z nami była Halina Mikołajska, której udało się przyjechać do Paryża z nieoficjalnymi występami, choć już wtedy była bardzo przez komunistów szykanowana.

Znaliśmy dobrze Michnika, który zresztą wtedy, gdy tworzył się KOR, był tu, w Paryżu. Potem poznaliśmy również Ankę Kowalską, Mirka Chojeckiego. Oczywiście trudno mi przypomnieć sobie okoliczności naszych spotkań, był to czas niesłychanie ożywionych kontaktów na trasie Warszawa–Paryż.

Wydaje mi się, że tak KOR, jak i inne ugrupowania opozycyjne powstałe w latach siedemdziesiątych oczekiwały od nas przede wszystkim reklamy ich działalności na zewnątrz, również we francuskich środkach masowego przekazu.

Byliśmy prawdopodobnie dla nich czymś w rodzaju trybuny, toteż przysyłali do nas wszystkimi możliwymi kanałami biuletyny, apele, deklaracje itp. Przewozili je często ludzie z opozycją niezwiązani. Niektórzy wysyłali je z drogi, inni przywozili do nas bezpośrednio.

Były to czasy, kiedy „Kultura” inicjowała zbiórki pieniędzy na KOR, na pomoc robotnikom i ich rodzinom po 1976 roku, a potem coraz częściej na pomoc niezależnym wydawnictwom i prasie...

Ta pomoc świetnie funkcjonowała, podobnie jak pomoc przy załatwianiu i przekazywaniu sprzętu do Polski. Choć mieliśmy z tym sporo kłopotów w najgorętszych latach 1980–1981, kiedy to ludzie wysyłali pieniądze na „Solidarność”, w małych miastach, miasteczkach do takich odbiorców było strasznie trudno dotrzeć. Apelowaliśmy nawet po jakimś czasie, aby nie rozdrabniać się

i przysyłać pieniądze na przykład na „Solidarność” w szkolnictwie czy na uniwersytetach.

Przy przekazywaniu pieniędzy do Polski pomógł nam najbardziej Wacek Kisielewski. Ze względu na koncerty wiele podróżował po świecie, miał konto bankowe w Niemczech, na które wysyłailiśmy pieniądze. Prowadziłam z nim szczegółowe rozliczenia listowe, a czasami nawet w prywatnym liście umieszczał dopisek w sprawie pieniędzy. Niektóre z nich mam do dzisiaj.

Potem w okresie „Solidarności” korzystaliśmy często z pomocy Komitetu Pomocy „Solidarności” w Szwecji.

Właściwie wszystkie nasze kontakty były udane i poza jednym chyba wypadkiem nigdy nic nie przepadło.

W październiku 1981 roku podpisaliście umowę z NOWĄ...

Formalne podpisanie tej umowy odbyło się we Frankfurcie w czasie trwania Międzynarodowych Targów Książki. Myśmy wystawiali tam książki od początku lat siedemdziesiątych, książki NOWEJ też były później prezentowane na naszym standzie i w „Pulsie” u Chodakowskiego. Mówię formalne, gdyż szczegóły tej umowy były dogadane dużo wcześniej, utrzymywaliśmy bardzo bliskie kontakty z NOWĄ. Podpisał ją z naszej strony Jerzy i ja, ze strony NOWEJ Grzegorz Boguta i Marek Borowik.

Umowa miała oczywiście znaczenie czysto symboliczne. Współpraca między nami istniała od dawna.

NOWA miała być naszym przedstawicielem na Polskę. Ale w praktyce niezbyt dobrze się to udawało, zresztą nie z ich winy. Były to bowiem czasy bardzo szybkiego rozwoju wydawnictw niezależnych, rodziły się jak grzyby po deszczu. Nic więc dziwnego, że przedruki z „Kultury” czy też książki Instytutu Literackiego wydawał kto chciał, nie pytając o pozwolenie. Wyszedł wtedy między innymi *Inny świat* Herlinga-Grudzińskiego, książki Gombrowicza, Miłosza, w całości bądź duże ich fragmenty.

A my w ramach tej umowy zobowiązaliśmy się do stworzenia Funduszu Wydawniczego i on dobrze funkcjonował.

W jednym z paragrafów umowy była też wzmianka o utworzeniu Funduszu Kultury Paryskiej pochodzącego z praw autorskich. O co konkretnie chodziło?

Fundusz miał być przeznaczony na stypendia na opracowania bądź badania z zakresu najnowszej historii Polski, socjologii oraz na pomoc wydawnictwom w kraju, które takie opracowania wyda-

wały. Zresztą zapoczątkowana wówczas pomoc wydawnictwom niezależnym była kontynuowana w latach osiemdziesiątych.

Poza tym Jerzy był obok między innymi Czesława Miłosza członkiem zarządu Funduszu Pomocy Niezależnej Literaturze i Nauce Polskiej, który wówczas funkcjonował.

Co jakiś czas przypominaliśmy czytelnikom „Kultury” o roli, jaką odgrywały niezależne wydawnictwa w Polsce, zwłaszcza od ogłoszenia stanu wojennego, i o tym, jak ważne jest ich wspieranie.

Jesienią 1980 roku Czesław Miłosz otrzymał Literacką Nagrodę Nobla. Jerzy Giedroyc i pani byliście w Sztokholmie podczas uroczystości wręczenia. Czym ta nagroda była dla pani, dla pana Redaktora?

Wiadomość o przyznaniu Nobla Czesławowi doszła do nas z Frankfurtu z Targów Książki. Myśmy wtedy na Targi nie pojechali, były tylko nasze książki. Stamtąd do nas zadzwoniono z wiadomością.

Nie mogę powiedzieć, że przyjęliśmy ją z całkowitym zaskoczeniem, gdyż przecieki w tej sprawie były dużo wcześniej, zwracano się do Jerzego z prośbą o opinię, o informacje o Miłoszu. Spośród autorów odkrytych przez „Kulturę” Miłosz był drugim kandydatem do Nobla, był nim też Gombrowicz w 1969 roku i gdyby nie jego śmierć, z pewnością by nagrodę otrzymał. Dla nas to oczywiście powód do dumy.

Do Sztokholmu zostaliśmy zaproszeni jako wydawcy książek Miłosza. Byliśmy tam cztery dni. Spotkaliśmy sporo osób z Polski, między innymi Andrzeja Miłosza, brata Czesława, z żoną, Mirka Chojckiego, Stefana Kisielewskiego. Czesław, bardzo wzruszony, przyjechał z synem, Tonim.

Odbyło się wówczas sporo imprez towarzyszących i przyjąć, ale myśmy z Jerzym w nich nie uczestniczyli, poza kilkoma odczytami zorganizowanymi przez komitet nagrody oraz uroczystością wręczenia Czesławowi nagrody. Jerzy należy do osób, które nie okazują swoich emocji i raczej nie mówią o nich, było to jednak dla niego silnym przeżyciem. Ja żałowałam, że Zygmunt, mój mąż, nie doczekał tej chwili. Myślę, że byłby bardziej dumny niż sam Czesław, on, który tak uważnie śledził twórczość Czesława, był zawsze zatroskany o jego postępy...

Kiedys Czesław opowiedział mi, jak podczas uroczystości wręczenia mu bodajże nagrody Neustadt International Prize for Literature w 1978 roku, w tekście przemówienia przytoczył tylekroć używane przez Zygmunta zdanie z jego listów do Miłosza: „Czesiu, nie mów, powiesz głupstwo. Napisz!”. Sala wybuchnęła śmiechem.

Skoro mówimy o Nagrodzie Nobla, przypomnijmy, że „Kultura” miała ogromny wkład również w przyznanie w 1983 roku Pokojowej Nagrody Nobla Lechowi Wałęsie. I to mimo dość kontrowersyjnego stosunku do Wałęsy.

Dla Jerzego nie było nigdy żadnych „świętych krów”. Kiedy oceniał coś lub kogoś pozytywnie, często wbrew opinii innych, mówił i pisał o tym wprost, podobnie zachowywał się, kiedy ta ocena była negatywna. Przysporzyło mu to wielu wrogów, ale on się tym nie przejmował.

W Polsce taka postawa nie była i nie jest dziś rozpowszechniona.

Proszę zwrócić uwagę, że kiedy w początkach lat osiemdziesiątych myśmy pisali krytycznie o Wałęsie, w Polsce często uważano to za grzech, a potem zaczęto pisać o nim tak, jak myśmy to robili kilka lat wcześniej! Ta sytuacja zresztą powtarzała się w ciągu istnienia „Kultury” wielokrotnie.

Wracając do Nagrody Nobla dla Wałęsy. Niezależnie od pewnych zastrzeżeń pod jego adresem, Jerzy w 1982 roku (a wraz z nim spora grupa osób w Europie i w Stanach) uważał, że w kontekście ówczesnej sytuacji przyznanie Nobla Wałęsie miałoby ogromne znaczenie symboliczne, jako wyraz uznania dla „Solidarności” oraz dla walczącego społeczeństwa polskiego.

Był jednym z inicjatorów działań na rzecz przyznania nagrody Wałęsie, pisania, apelowania również na forum organizacji międzynarodowych. O wszystkich tych inicjatywach informowaliśmy na bieżąco w „Kulturze”. Pamiętam, że list popierający kandydaturę Wałęsy napisał wówczas Sołżenicyn, występował w tej sprawie w Parlamencie Europejskim zaprzyjaźniony z nami Jaś Gawroński, ówczesny deputowany. Oba wystąpienia drukowaliśmy w „Kulturze”⁵⁹.

Jednak mimo tych starań Wałęsa nie dostał Nobla w 1982 roku, a dopiero rok później, na skutek akcji Juliusza Stroynowskiego, który zmobilizował kilkuset niemieckich profesorów i intelektualistów.

W 1981 roku Wałęsa był z wizytą w Paryżu na zaproszenie francuskich związków zawodowych. Czy mieliście wtedy okazję z nim rozmawiać?

Nie, nie. Nasze pierwsze i ostatnie spotkanie miało miejsce w 1988 roku podczas jego drugiej paryskiej wizyty. Miał wtedy również spotkanie z francuską Polonią u księży Pallotynów. Byliśmy na tym spotkaniu z Jerzym.

Okoliczności naszego spotkania były bardzo zabawne, gdyż Wałęsa, witając się z Jerzym, powiedział, że on jak wszyscy Polacy wy-

⁵⁹ Wystąpienia opublikowane w nr 10/1982.

chował się na „Kulturze”, ale jednocześnie nie omieszkął pouczyć Jerzego, że pozwala sobie na zbyt dużo wobec niego, Lecha Wałęsy, gdyż on jest ponad wszelkimi krytykami!

Przytaczam oczywiście jego wypowiedź nie *in extenso*, ale jej sens był taki właśnie.

Spróbujmy podsumować działalność „Kultury”. Wspomnialiśmy już, że w 1953 roku Instytut Literacki wznowił systematyczną działalność wydawniczą zainaugurowaniem Biblioteki „Kultury”, do dziś ukazało się w niej 481 pozycji (w tym 105 numerów „Zeszytów Historycznych”). Jak wasza działalność wydawnicza wyglądała w praktyce, jakie były nakłady, ile tytułów wydawaliście rocznie?

To się zmieniało. Te książki, które wydawaliśmy przed 1953 rokiem miały bardzo niewielkie nakłady, dużo mniejsze niż nasze książki w Rzymie.

Potem przez pierwsze lata funkcjonowania Biblioteki „Kultury” wydawaliśmy 4–6 książek rocznie, później stopniowo zwiększaliśmy liczbę tytułów, a pod koniec lat pięćdziesiątych wydawaliśmy 8–10 książek rocznie. Największym sukcesem tamtych lat był *Doktor Żiwago*, którego wydaliśmy w 1958 roku. Miał on w sumie trzy wydania i ponad 12 tysięcy nakładu.

Pod koniec lat sześćdziesiątych wydawaliśmy 16 pozycji rocznie, ale w tym również pozycje wielotomowe, jak *Pamiętniki Witosa* (trzy tomy).

Rok 1980 był wyjątkowy, ukazało się wtedy u nas 20 tytułów. Potem ich liczba spadała. A dziś nasza działalność wydawnicza, jeśli idzie o książki, jest minimalna. No, ale to już inne czasy.

A jakie były inne sukcesy wydawnicze Instytutu Literackiego?

Książki Hłaski, przede wszystkim *Cmentarze*, Miłosza i Gombrowicza – było wiele wznowień. Początkowo miały mniejszy nakład, a potem musieliśmy stale dodrukowywać, zwłaszcza *Dzienniki* Gombrowicza.

W Bibliotece „Kultury” wychodziły rozmaite serie. Przypomnijmy, jakie.

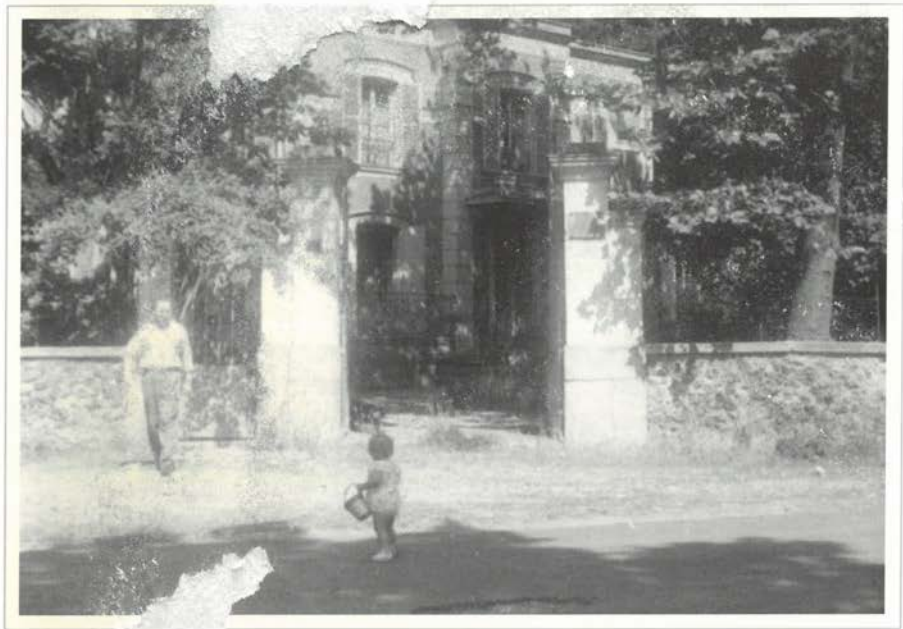
Pierwszą serią były „Dokumenty”. Zaczęliśmy ją wydawać w 1956 roku. Początkowo były to broszury, ale później już od 1959 roku ukazywały się w tej serii książki. Do dziś wyszło 50 pozycji.



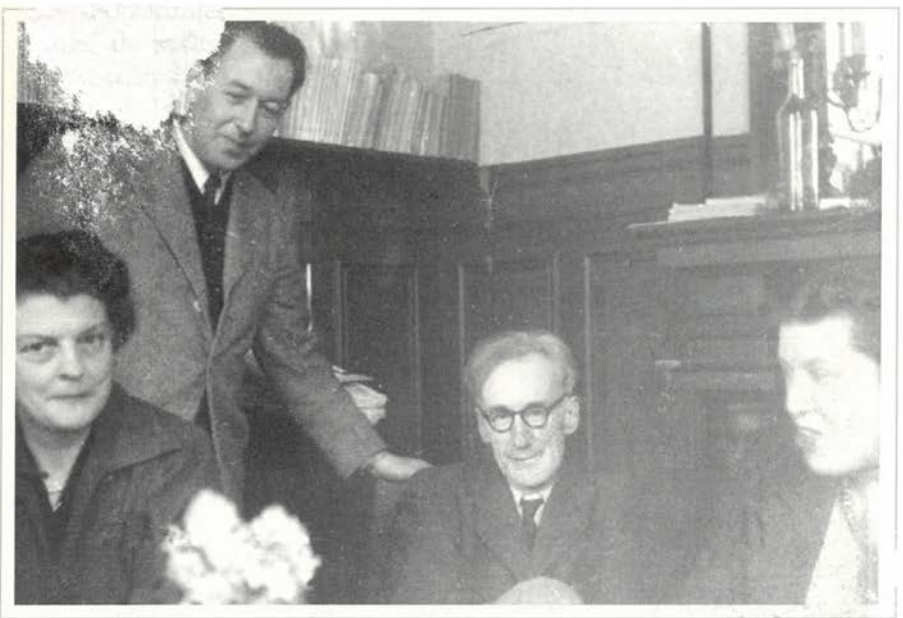
Zofia Hertz, Henryk Giedroyc, Zygmunt Hertz,
avenue Corneille, 1951 rok



Zofia Hertz,
schody do kuchni, avenue Corneille, 1948 rok



cie do domu na avenue Corneille, 1949 rok



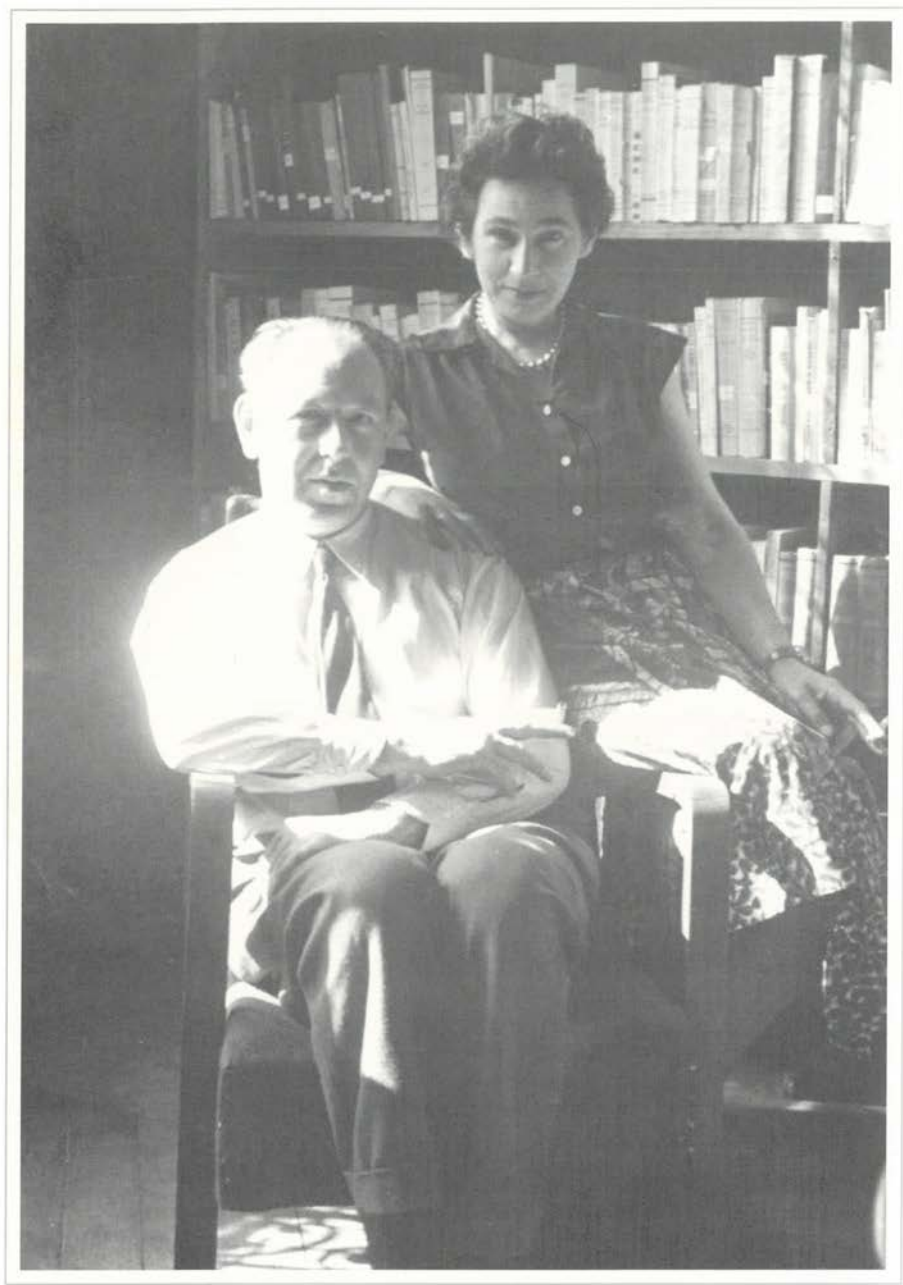
Adela Dziadulska z Bohomolców Żeleńska (Mysia), Zygmunt Hertz,
Józef Czapski, Stefania Kozłowska, avenue Corneille



Zofia Hertz w ogrodzie, avenue Corneille



Jerzy Giedroyc
z kotem Żółtkiem,
avenue Corneille



Zofia i Zygmunt Hertzowie, avenue Corneille, 1953 rok

W roku 1962 powstały „Zeszyty Historyczne”, ukazywały się najpierw co pół roku, a od 1973 już jako kwartalnik. Kiedy brakowało nam pieniędzy na ich wydawanie, publikowaliśmy apele do czytelników z prośbą o abonament.

Następna była seria „Archiwum Rewolucji”, objęła 10 pozycji i istniała do 1967 roku. Później w 1977 roku powstała seria „Bez Cenzury”, a pod koniec lat siedemdziesiątych doszły „miniatury” wysyłane do kraju.

„Kultura” spłaciła dzięki pomocy czytelników dom, ale pieniądze napływały dalej. W numerze listopadowym z 1960 roku opublikowaliście więc informacje o utworzeniu Funduszu „Kultury”. Na co był on przeznaczony?

Chodziło nam głównie o pomoc dla ludzi z kraju, drobne stypendia. Fundowaliśmy stypendia dla studentów i pracowników naukowych z Polski, inne dla literatów, tych z kraju, ale również dla tych, którzy znaleźli się na emigracji. Latem 1976 roku rozpoczęliśmy też zbiórkę pieniędzy na opozycję w kraju. Wydaliśmy kilkakrotnie specjalne znaczki z napisem Fundusz „Kultury”, dochód z ich sprzedaży był przeznaczony również na te cele.

Innym waszym pomysłem było ufundowanie nagród. Czy pamięta pani, jakie to były nagrody?

Pierwszą, ustanowioną w 1954 roku, była nagroda literacka. Potem na pewien czas wstrzymaliśmy jej przyznawanie, aby w 1979 roku utworzyć dwie nagrody: literacką im. Zygmunta Herta i publicystyczną im. Juliusza Mieroszewskiego. Przez jakiś czas istniały też nagrody plastyczne (między rokiem 1956 a 1961) oraz ustanowiona w 1981 roku Nagroda Przyjaźni.

Popieraliście też pewne inicjatywy emigracyjne, na przykład wezwania do zapisu na subskrypcję, apele o przysyłanie materiałów do przygotowywanych przez inne wydawnictwa książek czy o pomoc dla Polskiego Uniwersytetu na Obczyźnie.

Z czasem, kiedy „Kultura” ustaliła swoją pozycję, kiedy wszędzie dochodziła (mieliśmy przedstawicieli na całym świecie), wykorzystywano nas jako środek do reklamy pewnych przedsięwzięć. Jeśli sądziliśmy, że są warte naszego poparcia, to oczywiście zgadzaliśmy się.

Jak tworzyły się poszczególne działy w „Kulturze”?

„Kultura” jest pismem zajmującym się bardzo różnorodnymi dziedzinami. Trzeba było je jakoś uszeregować. Na przykład na początku mieliśmy bardzo dużo materiałów z historii Polski, tak dużo, aż w końcu powstały „Zeszyty Historyczne”, ale przez jakiś czas istniał w piśmie dział „Najnowsza historia Polski”.

Dokumenty były najpierw drukowane w „Kulturze” w specjalnym dziale, później powstała z niego seria wydawnicza.

Od początku istniały „Listy” od czytelników, rubryka uznawana za jedną z najatrakcyjniejszych. Były tam drukowane listy wzbudzające wiele emocji, ale też tam na przykład po 1956 roku znalazły się po raz pierwszy listy – króciutkie artykułiki z kraju.

Zazwyczaj staraliśmy się wybierać do druku listy kontrowersyjne bądź te, w których na nas napadano.

Kto pisał odpowiedzi?

Najczęściej odpowiadał na nie Jerzy i on to, moim zdaniem, robił najlepiej.

Pod koniec lat sześćdziesiątych zaczęła pani prowadzić w „Kulturze” rubrykę „Humor krajowy”, która przetrwała do lat osiemdziesiątych. Skąd wziął się ten pomysł?

Był taki okres, pod koniec lat pięćdziesiątych, kiedy wiele kawałów krążyło w Polsce i dużo z nich docierało do nas, niektóre rzeczywiście świetne. Ktoś będąc przejazdem z Polski opowiedział mi kilka takich świetnych kawałów i pomyślałam, że warto byłoby zamieszczać je w „Kulturze”. Były one doskonałym odzwierciedleniem atmosfery panującej w Polsce.

A potem zaczęłam je notować, a także na moją prośbę przysyłali mi je znajomi z Polski. Ale bywały okresy, kiedy liczba krążących po Polsce kawałów spadała i nie było co publikować.

Ma pani na swoim koncie również sporo tłumaczeń dla „Kultury”.

Bardzo to lubiłam, ale nie miałam czasu, aby robić je systematycznie. Naturalnie nie robiłam tłumaczeń literackich, tłumaczyłam eseje, a także dwie książki: pierwszą w 1949 roku z języka włoskiego, *Historię jutra* (*Storia di domani*) Curzio Malaparte, a w 1965 roku Gardera *Agonię reżimu w ZSSR* z języka francuskiego.

Jak wygląda konkretnie organizacja pracy w „Kulturze”? Jaki jest i jaki był kiedyś podział pracy? Dziś wszyscy wiemy, że „Kulturę” robiła mała garstka ludzi, ale kiedyś wyobrażano sobie, że to ogromna machina...

O początkowym okresie wspominałyśmy, było nas czworo, wliczając Henryka Giedroycia. Ale nigdy nie było między nami oficjalnych podziałów pracy, każdy robił to, co akurat trzeba było zrobić. Niemniej, chociaż nie ma formalnego podziału pracy, każdy z nas ma swoją „specjalizację”.

Jerzy czyta oczywiście wszystkie artykuły, opracowuje koncepcję i linię pisma, prowadzi swoją korespondencję.

Dudek zajmuje się prenumeratami „Kultury” i „Zeszytów Historycznych”, ewidencją wysyłki naszych książek. To on prowadzi na bieżąco kartotekę prenumeratorów i wpłat na prenumeraty. Przypomina czytelnikom o wygasającej prenumeracie, przyjmuje zamówienia książkowe, przygotowuje ekspedycję.

Moja praca w ciągu tych wszystkich lat ulegała największym zmianom. Kiedyś, gdy byliśmy sami, bez sekretarki i korektorki, robiłam to ja, korekty i adiustację tekstów dzieliłam z Zygmuntem. Oprócz tego łamałam numer, do dziś jeżdżę do drukarni dopilnować druku „Kultury”. Poza tym zajmuję się administracją, prowadzeniem korespondencji administracyjnej, prowadzeniem rachunków, i to przeze mnie przechodzą wszystkie telefony do Jerzego. Zajmowałam się i zajmuję nadal buchalterią krajową, to znaczy wpłatami na Fundusz „Kultury” itp.

Dopóki żył Zygmunt, dzielił się częścią tych obowiązków ze mną, oprócz tego przez bardzo długi czas przygotowywał do wysyłki paczki z książkami i „Kulturą”, nosił je na pocztę.

Dziś mamy maszynistkę, magazyniera, osobę, która zajmuje się naszym archiwum i biblioteką, oraz korektorkę. To cały nasz dzisiejszy zespół.

Początkowo biblioteką zajmowałam się ja i Zygmunt, on zresztą więcej niż ja. Potem powstał pawilon w ogrodzie, tam przenieśliśmy większość książek, bo, jak pani widzi, są one u nas wszędzie. Wszystkie przychodzące książki są spisywane i numerowane, mają swoje fiszki.

Istnieje też archiwum prywatne, przede wszystkim Jerzego, nieznane publiczności, choć teraz po trochu już publikowane.

Pani znajomość i współpraca z Jerzym Giedroyciem trwa od ponad pięćdziesięciu lat. Dzięki czemu stało się to możliwe? Pan Redaktor ma opinię trudnego człowieka.

Rzeczywiście, Jerzy ma trudny charakter. Jest bardzo wymagający, ale jednocześnie wie, czego chce, co w takiej pracy, jak nasza, jest najważniejsze.

Myśmy, prawie od początku naszej współpracy, jeszcze w wojsku, doskonale się rozumieli. Jerzy mógł mieć do mnie stuprocentowe zaufanie, wiedział, że może na mnie liczyć. Proszę nie zapominać, że nasza współpraca „hartowała się” w trudnych warunkach wojny, a potem okresu rzymskiego Instytutu Literackiego.

Tamte lata pozwoliły nam dobrze się poznać. Do Jerzego trzeba było mieć odpowiednie podejście, nigdy się z nim nie kłóciłam, jedyną metodą przekonania go bądź załagodzenia konfliktów była dyplomacja.

Poza tym Jerzy jest człowiekiem zamkniętym, małomównym, toleruje tylko kontakty w cztery oczy, choć z czasem uległo to pewnej zmianie.

Powiedziała pani, że Jerzy Giedroyc jest urodzonym redaktorem. Dlaczego?

Przede wszystkim ma „nosa”, czuje, co jest ważne i o czym należy pisać. Umiał zawsze przyciągać prawdziwe talenty, a jeśli chodzi o linię pisma, nie kierował się nigdy prywatnymi sympatiami. Jeśli ktoś napisał dobry, uczciwy artykuł, drukował go, nie interesując się, w jakich układach towarzyskich znajdował się autor. Ale nie znosił i nie znosił braku lojalności, nieuczciwości.

Nie bał się nigdy ryzyka ani wrogów.

„Kultura” to oczywiście pismo Jerzego. Żadnego zespołu redakcyjnego nigdy nie było. Czy pamięta pani nasz pastiszowy numer pisma z 1955 roku?

Czy chodzi o ten numer z waszą odpowiedzią⁶⁰ na pytanie, kto stanowi zespół redakcji, w którym napisaliście: „Szereg czytelników prosi nas o podanie składu osobowego »Kultury«. Do zespołu należą: Redaktor Jerzy Giedroyc; Redaktor Giedroyc Jerzy; Jerzy Giedroyc; Redaktor; Giedroyc; Jerzy oraz inni członkowie zespołu »Kultury«”.

Tak, tak właśnie o tym myślałam. Tę odpowiedź wymyślił, зда się, Wacek Zbyszewski. Ale taka była prawda. Nie znaczy to, że

⁶⁰ Odpowiedź opublikowana w nr 3/1955.

nie można było z Jerzym polemizować, zdarzało się, że po długich dyskusjach odchodził od jakiegoś pomysłu. Ale koncepcja, polityka pisma, wybór ludzi piszących do „Kultury” – były jego.

A kto spośród osób związanych z „Kulturą” był panu Redaktorowi najbliższy?

To jest właściwie pytanie do Jerzego, ale myślę, że najbliższy pozostał mu Juliusz Mieroszewski i Józio Czapski, każdy w inny sposób.

Jerzy przyjaźnił się również bardzo z Rogerem Raczyńskim, przez jakiś czas myślał nawet, że uda się go związać z Instytutem Literackim, ale ostatecznie przeszkodziła temu śmierć Raczyńskiego.

Wydaje mi się, że pani również darzyła dużą sympatią Czapskiego.

Józia Czapskiego nie można było nie lubić. Miał nieopisany wdzięk i umiejętność rozbijania ludzi. Bujał stale w obłokach, wciąż coś gubił, a wszyscy się nad nim litowali i ofiarowali mu swoją pomoc. Mimo że był ogromnego wzrostu, był potwornie chudy i jakoś dziwnie wątki. Stale więc myśleliśmy, że jest gruźlikiem.

Był szalenie roztargniony. Wszystko gubił. Zdarzało się w Rzymie, że szedł do parku, siadał na ławce czytając książkę, a po jakimś czasie wstawał i odchodził, po czym okazywało się, że koło ławki zostawił teczkę z napisem „tajne”, gdyż były w niej ważne papiery. Ponieważ na tezcze było jego nazwisko z adresem, więc jakiś Włoch, który ją znalazł, odnosił mu ją. To się zdarzyć mogło tylko Józiovi!

O Józiu można opowiadać godzinami. Choć w naszym środowisku nie brakowało barwnych postaci, Józio był jedną z najbardziej malowniczych.

W II Korpusie, kiedy mieszkaliśmy w Iraku, Józio lubił chodzić w turbanie z ręcznika na głowie, owinięty w prześcieradło, oczywiście po służbie. Wyglądał w tym przy swoim wzroście przeziębawnie.

Pamiętam też wyjazd Józia i Jerzego w 1945 roku z Rzymu do Londynu. Ja byłam wtedy „zesłana” do Ankony, ale oni obaj przed wyjazdem do Londynu ściągnęli mnie, abym ich przygotowała do podróży. Przychodzę do hotelu, w którym mieszkali, wchodzę do pokoju Józia i widzę, co następuje. Połowę dużego pokoju zajmuje ogromne łóżko. Na łóżku poza wąziutkim pustym miejscem do

spania, reszta zajęta jest przez stosy papierów i książek. Na każdej kupce leży kartka: „Nie zapomnieć”, „Do zabrania” itp. Obok tego stosy ubrań, z czego większość zupełnie nieprzydatna w Londynie, na przykład mundury letnie, które nosił w czasie pobytu na pustyni.

Zapytałam Józia, który dyktując coś swojej sekretarce przemierzał pokój wielkimi krokami wśród tych wszystkich rzeczy, co zamierza z tym wszystkim zrobić. On na to, że oczywiście zabrać do Londynu. Wybuchnęłam śmiechem, bo oni mieli przecież limit bagażowy, chyba do 20 funtów. Z wielkim trudem przekonałam go do oddania części książek na przechowanie i wyrzucenia starych ubrań. Na szczęście był też wtedy w Rzymie siostrzeniec Józia Lulu Łubiński, i to jego poprosiłam o pobranie dla Józia odpowiednich wojskowych sortów.

Pani mąż, Zygmunt Hertz, poświęcił „Kulturze” trzydzieści lat życia...

Zygmunt był bardzo inteligentny, masę czytał, wiele rzeczy go interesowało, ale na wydawaniu pisma zupełnie się nie znał. Jerzy natomiast był urodzonym redaktorem i – co nie jest wcale łatwe – wiedział zawsze, o co mu chodzi. W związku z tym często Zygmunt nie zgadzał się z Jerzym. „Dlaczego to drukujesz?!” – pytał na przykład o Gombrowicza, którego nie znosił. Spory dotyczyły głównie drukowanych przez nas artykułów, książek, nigdy spraw zasadniczych.

Zresztą Zygmunt włożył w „Kulturę” ogromną pracę...

Czy nie miał ochoty czasami rzucić tego wszystkiego?

Miał, oczywiście, że miał. Ale mu to przechodziło. Jeszcze na początku istnienia „Kultury” pojechał do Belgii, do biura Solvaya, którego przedstawicielem na Polskę był przed wojną jego ojciec. Gdyby chciał, mógłby dla nich pracować. Zobaczył, jak to wszystko wygląda, wrócił i powiedział, że wydaje mu się to piekielnie nudne i że nie jest to dla niego. Poza tym wiedział, że ja nie odejdę z „Kultury”.

Oczywiście, w pewnym sensie poświęcił się dla mnie. Ale on sam nigdy o tym nie myślał w kategoriach poświęcenia. W końcu w „Kulturze” jakoś się odnalazł.

Co znosił najgorzej?

Najtrudniejsze dla niego było do zaakceptowania to, że stanowimy taki „kołchoz”, czyli nie tylko, że mieszkamy wszyscy razem,

ale że jest jeszcze stale tyle osób! Zygmunt lubił mieć towarzystwo, ale dom chciał mieć dla siebie. No, a to oczywiście tu nie było możliwe. Gdybyśmy nie zorganizowali tego wszystkiego tak, jak to było zorganizowane, to znaczy praca i mieszkanie razem, „Kultura” taka, jaką znamy, nigdy by nie mogła istnieć.

Ciężko mu było też pogodzić się z tym, że często Jerzy w wiele spraw wtajemniczał tylko mnie. Tłumaczyłam Zygmuntowi, że znam się z Jerzym jeszcze z wojska, że już wcześniej razem pracowaliśmy też w podobny sposób i że znając Jerzego nie ma się czemu dziwić, że o pewnych sprawach mówi tylko ze mną. Zygmunt zresztą wiedział o tym, znał dobrze Jerzego, ale od czasu do czasu mu to przeszkadzało.

Mąż pani jest obok Józia Czapskiego drugą osobą, którą tyle osób wspomina ze wzruszeniem, pamiętając o jego życzliwości i bezinteresownej pomocy ludziom...

Zygmunt darzył ludzi ogromną sympatią, dawał wszystkim nieograniczony kredyt zaufania. Kiedy kogoś poznawał, natychmiast zaczynał myśleć, jak tej osobie pomóc, co dla niej można by zrobić, z kim ją poznać, i rzeczywiście, co tylko mógł, to robił. Przy tym nie dał nikomu w żaden, najmniejszy choćby, sposób odczuć, że ma dług wdzięczności, że coś Zygmuntowi zawdzięcza.

Utrzymywał kontakty z wieloma osobami, miał swoje przyjaźnie, których ja z nim nie dzieliłam, na przykład słabość do Andrzejewskiego. Ale my pozostaliśmy pod tym względem niezależni. Zygmunt widywał w Paryżu wiele osób z Polski, które nie chciały być łączone z „Kulturą”. Rozległość tych jego kontaktów widać w *Listach do Czesława Miłosza*.

Często zdarzało się, że wracał z Paryża na obiad i dzwonił z dworca do domu pytając mnie, co będziemy jedli. Okazało się bowiem, że spotkał jakichś ludzi z Polski i zaprosił ich do nas na obiad. I już po zaproszeniu ich zaczął się martwić, czy wystarczy dla wszystkich.

Był też podobno niesłychanie dumny z pani umiejętności kulinarnych...

Wiele osób wspomina, jak Zygmunt męczył je o pochwalenie ugotowanej przeze mnie zupy pomidorowej. Historia zupy pomidorowej przeszła już do historii „Kultury”. Otóż ja nigdy wcześniej nie umiałam gotować. Kiedy zamieszkaliśmy na Korneju, nie miał

kto tego robić, musiałam się nauczyć. Bardzo lubiłam zupy, przede wszystkim pomidorową, wydedukowałam, co się do niej wkłada, pomidory, włoszczyznę, ryż, ziemniaki. Wszystko to razem wstawiałam do garnka i gotowałam. Wychodziła z tego paczka, nazywana przez Jerzego „bebełucha”. Ale wszyscy jedli z apetytem. Potem, kiedy już robiłam postępy w gotowaniu, a na obiedzie mieliśmy gości, którym podawałam zupę, Zygmunt wypytywał „klienta” – „No, jak tam zupa Zosi, prawda, że smaczna?”, człowiek kiwał głową i odpowiadał: „Tak, tak. Zupa jest dobra”; a Zygmunt na to: „A ziemniaki, prawda, że smaczne?”; na co słyszał odpowiedź: „A, ziemniaki jak ziemniaki...”.

Czasami gotowaliśmy wspólnie, na przykład ozór, który oboje pamiętaliśmy jeszcze z Polski. To Zygmunt go kupił, przyniósł do domu. Włożyliśmy do garnka, gotujemy, po godzinie próbujemy – twardy, po dwóch – jeszcze twardszy. W końcu okazało się, że był taki jak podeszwa. Oczywiście nie wiedzieliśmy, że z ozora należy zdjąć skórę!

Za to na wakacje wyjeżdżaliście tylko we dwoje.

Co roku wyjeżdżaliśmy na miesiąc, zostawialiśmy Jerzego samego w gospodarstwie, on nigdy nie chciał się ruszać.

W 1962 roku Zygmunt kupił używany samochód i tym samochodem zjeździliśmy całą Francję, Włochy, Hiszpanię, Portugalię.

W 1978 roku, na rok przed śmiercią Zygmunta, wybraliśmy się też w końcu do Stanów Zjednoczonych, odwiedziliśmy również Czesławę. Ale Stany nam się nie podobały, oboje czuliśmy się bliżej Europy.

Czy potrafi pani określić, jakie cechy bądź umiejętności każdego z was pozwoliły na to, że „Kultura” w ogóle powstała, funkcjonuje ponad czterdzieści pięć lat i jest nie tylko pismem, ale instytucją?

Jerzy był „mózgiem” i twórcą koncepcji całego przedsięwzięcia. Nie bał się ryzyka, miał wspaniałe pomysły. Czasami jeszcze dziś, po pięćdziesięciu latach wspólnej pracy, potrafi wpaść na taki pomysł, którym całkowicie mnie zaskoczy.

Zygmunt był bardzo inteligentny, oczytany, i to on stwarzał atmosferę wokół „Kultury”. Był magnesem, który przyciągał do nas ludzi.

Józio był „ambasadorem” „Kultury” i Jerzego. Jego kontakty i autorytet, jakim się cieszył w środowisku artystów, intelektualistów, polityków, były nam wielokrotnie przydatne i pozwalały „Kulturze” uniknąć wielu kłopotów.

Ja z kolei umiałam ich wszystkich, bez względu na różnice charakterów, łączyć i łagodzić konflikty. Na moich barkach spoczywała też cała praktyczna strona działalności „Kultury”.

Myślę, że gdyby nie było mnie i Zygmunta, całe przedsięwzięcie mogłoby się nie udać. Sama „Kultura” oczywiście mogłaby wychodzić, ale nie mogłaby się przerodzić w dom, instytucję.

Czy oceniając zaangażowanie w przedsięwzięcie, które pochłonęło wam ponad połowę życia, macie świadomość poniesionych kosztów?

Cóż, w pewnym sensie myśmy się oczywiście dla „Kultury” poświęcili. Ale ani ja, ani Jerzy, a myślę, że także mój mąż, Zygmunt, nigdy tego wyboru nie żałowaliśmy.

Listy Zofii Hertz
i Jerzego Giedroycia

Przedstawiamy trzy różne zbiory listów Zofii Hertz i Jerzego Giedroycia.

Pierwsza seria zawiera osiem listów wybranych spośród kilkunastu listów pisanych przez Zofię Hertz do Jerzego Giedroycia w okresie od 1 sierpnia do 30 września 1947 roku z Rzymu do Londynu i Paryża, w tym czasie bowiem Jerzy Giedroyc podróżował między tymi dwoma miastami. Jest to okres poprzedzający przeprowadzkę Instytutu Literackiego z Rzymu do Paryża.

Dwie następne prezentują listy Jerzego Giedroycia i Zofii Hertz, które dotychczas nie były publikowane. Pierwszą część stanowią listy z okresu włoskiego, napisane między 13 lutego a 23 maja 1946 roku, kolejną – listy napisane w okresie 24–30 czerwca 1950 roku; Redaktor Giedroyc przebywał wówczas w Niemczech na Kongresie Wolności Kultury.

Niniejszy wybór listów, które doczekają się być może w przyszłości pełnego wydania, jest ciekawym uzupełnieniem rozmów. Wybór ten ukazuje się bez szczegółowego opracowania bibliograficznego. Niektóre nazwiska oraz inicjały nie zostały rozszyfrowane.

[1 sierpnia – 30 września 1947]

6 sierpnia 1947

Drogi Jurku,

Jestem prawdziwie zaniepokojona brakiem depeszy od Ciebie. Już od dwóch dni przecież powinieneś być w Paryżu i był czas na wysłanie wiadomości. Zaczynam mieć poważne obawy, że Cię coś zatrzymało w drodze. Wysłałam Ci wczoraj depeszę i list w sprawie Kodzia¹ i naszą odpowiedź dla niego. Po przespaniu nocy zmieniłam ostatnią stronę, którą Ci przesyłam, więc wysłaną wczoraj zniszcz. Zmieniłam mianowicie, a raczej wyrzuciłam zdanie „obliczenie po kursie w momencie zaistnienia długu”, gdyż korespondencja z Piaseckim² odnośnie dwóch ostatnich tomów była w grudniu, czyli gdy obowiązywał stary kurs, więc Kodź mógłby się do tego przyczepić i dodałam na zakończenie, że w wypadku gdyby się nie zgodził, całą sumę zdeponujemy w lirach w banku. Ze swej strony przy rozmowie możesz mu zaznaczyć, że kurs jest 2000 i że wszelkie płatności oblicza się po kursie w dniu wypłaty, więc że i tak robimy mu łaskę.

List pokazałam Jeszkemu³, powiedział, że jest zupełnie dobry. Co do *Słownika*⁴, jest zdania, że wina jest po naszej stronie i że będziemy płacić zarówno 360 £, jak i 320 000 lirów. Bardzo miła perspektywa, ale i ja się tego obawiam. W poprzednich listach Kodź stwierdzał, że mamy wypłacić tylko te 320 000 lirów, ale ponieważ nie zrobiliśmy tego, chce również i 360 £. Nie wiem, jak z tego wybrniesz.

Poza tym nic nowego, upał jest taki, że wczoraj umarło we Włoszech 12 osób, a ja już naprawdę ledwie żyję. Dzisiaj Zygmunt wysłał 80 paczek z albumem, ale Anglicy zażądali opłaty 3 sh od paczki, twierdząc, że to, co wysyłamy, to trochę za dużo jak na służbową pocztę. Jeżeli Zygmunt im nie wytłumaczy, to dołożymy jeszcze siedemdziesiąt parę tysięcy do tej zabawy.

Gustaw⁵ był dziś w drukarni, żeby zrobić ostatnią rewizję *Antologii*⁶. Mimo umówienia się nie czekali na niego i puścili na maszynę. Naturalnie z bykami. Ledwie zdążył zatrzymać. Okazuje się przy tym, że złożyli pół Koestlera⁷ małym drukiem – tym co *Anto-*

logię. Zapytany przeze mnie Jeszke oświadczył, że nie mieli co składać, ale że my za to w tej chwili nie odpowiadamy. No a że małym drukiem, zamiast tym, dla którego „Kultura” ma tak fatalny wymiar – bo się Jasillo⁸ omylił. Do ładu na pewno nie dojdiesz. Jeszke twierdzi, że tam jest rozkład i że nic się już nie da zmienić. Trzeba jak najszybciej sprzedać.

Witek⁹ z powodu choroby pani maszynistki wrzepił Zygmunto-
wi pisanie na maszynie korespondencji w językach włoskim, angielskim i polskim na jakieś 6 godzin – obawiam się, że dziennie. Zygmunt wziął dla utrzymania dobrych stosunków. Ja się zresztą do tego nie mieszam, bo ledwie żyję.

Zarys historii odszedł już z Neapolu i za kilka dni będzie w Anglii. Ekspedytor depeszował do Vistuli.

Witek chce, byśmy sprzedali samochód w tym miesiącu, a mieszkam w przyszłym. Jeszke dowiadywał się, czy nam „pozwala” jechać na urlop. Trochę mnie to złości, bo przecież wiesz dobrze, że nie wyjadę, zanim się nie uspokoi, ale w gruncie rzeczy nie byłam na urlopie 6 lat i wydaje mi się śmieszne, żeby się jeszcze pytać o pozwolenie. W każdym razie otrzymaliśmy pozwolenie. Nie wiem co prawda, kiedy z niego skorzystamy, ale myślę, że gdzieś w połowie miesiąca.

Jutro urządzamy nocną *garden party* dla wyjeżdżających i wypijemy również za Twoje zdrowie. „Przyjęcie” odbędzie się po kolacji, żeby mniej kosztowało, a więc wykwintne kanapki i wino. Naturalnie wypijemy za Twoje zdrowie.

Jeżeli jutro nie będzie od Ciebie wiadomości, to nie chcę Cię znać. Ostatecznie piszę do Ciebie, jak najczulsza zakochana – po trzy listy dziennie, więc chyba należy mi się rewanz.

Ściskam Cię mocno.

Zosia

¹ Stanisław Kodź, adwokat, pochodził z Wilna.

² Sergiusz Piasecki, Instytut Literacki wydał jego trylogię: *Jabluszeko, Nikt nie da nam zbawienia, Spójrz ja w okno*.

³ Jeszke, adwokat, z ramienia Intendentury zajmował się opieką prawną nad Instytutem Literackim w Rzymie.

⁴ Chodzi o *Słownik angielsko-polski* opracowany przez Stanisławskiego, wydany przez Instytut Literacki w Rzymie.

⁵ Gustaw Herling-Grudziński, w dalszych listach również nazywany tylko imieniem.

⁶ *Antologia noweli wojennej. W oczach pisarzy* – wydana przez Instytut Literacki.

⁷ Chodzi o *Krucjatę bez krzyża* A. Koestlera.

⁸ Jasillo, Włoch, pracownik drukarni należącej do Instytutu Literackiego.

⁹ Płk Witek, szef Intendentury II Korpusu, która udzieliła pożyczki Instytutowi Literackiemu.

Drogi Jurku,

Właściwie jesteś zupełną SW, że przez tydzień – otrzymując co dzień ode mnie miłosne a wyczerpujące listy, zdobyłeś się jedynie na kilka słów i trzymasz nas tu w zupełnej niepewności. W końcu zdenerwuję się i rzucę też to wszystko w diabły i wyjadę, nie podając Ci adresu, gdyż nie wiem, dokąd pisać (miałeś być tydzień w Paryżu, więc już pewnie wyjechałeś!). Tutaj jest rozpacz zupełna z powodu braku pieniędzy. Jestem dosłownie bez grosza, zarówno w kasie prywatnej, jak i instytucyjowej. Witek nie daje pieniędzy, bo podobno nie ma. Raczyński¹ też nie ma płynnej gotówki, żeby nas poratować, jest w takiej samej sytuacji, w co zresztą dość wierzę. Jeśli Witek nie da do pojutra, będziemy musieli dużo stracić ze względu na przymusową sytuację. Podobno jednak jest prawdą, że Chojnacki otrzymał wyrównanie i to z 900 na 2200 – suma olbrzymia. Podobno Witek spodziewa się w tym tygodniu załatwienia tej sprawy, gdyby nas załatwił pozytywnie, byłoby to w powyższej relacji ponad 5. Naturalnie można marzyć. W każdym razie Jeszke ma tej sprawy pilnować i co dzień mu to powtarzam.

Dzisiaj telefonował Osmólski² żądając w imieniu Witka sporządzenia na jutro bilansu Instytutu. Oświadczyłam mu, żeby się nie łudził, że zrobię to nawet za rok – bo nie umiem, a uczyć się nie mam ochoty, natomiast służę wszystkimi materiałami itp. Ma przyjść jutro o 9-tej rano, żeby mnie męczyć. Muszę dzisiaj całą noc chyba przesiedzieć, żeby zrobić rok Vistuli oraz w ogóle dłużników i wierzycieli. Nie wiem zresztą, co z tego wyniknie. Książka magazynowa wpadła jak kamień w wodę i chyba – jeśli pojedę na urlop – w trakcie wypoczynku będę starała się choć w części odtworzyć. Chyba że jest w Paryżu, ale wydaje mi się to fantastyczne, żebym mogła tam gdzieś zapakować, bo mam wrażenie, że miałam tę książkę znacznie później w ręku.

Koestler jest prawie w całości złożony i ponieważ mamy papier na prawie cały nakład – myślę, że trzeba to będzie wydać. Trzeba dokupić jakieś 1500 arkuszy.

Dzisiaj miałam z Zygmuntem sprawdzić magazyn papieru w drukarni. Był Władek³ i Jasillo, który zrobił zestawienie znajdującego się obecnie papieru i wycenił go w wartości dzisiejszej na 2 i pół. Gdy tylko jednak wzięłam do ręki, to trzeba od razu odliczyć 900 na papier, który trzeba zwrócić Oświacie, oraz około 800 na roboty w toku. Reszta zostaje. Np. *Antologia* drukuje się na dwóch

papierach: 2000 na papierze drukarni, a 1000 na bardzo ładnym zresztą papierze Chojnackiego, który na pewno ze względu na cenę nie chciał go użyć, więc wołał sprzedać nam. Na moje oburzenie Władek oświadczył, że drukarnia nie może wyzbyć się całego zapasu papieru i musi kupować. Jeszcze, mam wrażenie, jest zupełnie nie zorientowany i jeśli szybko nie sprzedadzą, to będzie naprawdę katastrofa. Na moje pytanie, dlaczego w marcu został sprzedany papier Oświaty⁴ Chojnackiemu po 140 lir., Władek oświadczył, że nie miał pieniędzy na zapłacenie robotnikom. Przypomniałam mu, że wtedy myśmy pieniądze mieli i że zawsze dostawał, gdy były mu potrzebne – dodałam, że to zresztą cudza własność. Odpowiedział, że on prowadził wtedy drukarnię i jest za to odpowiedzialny. To jest wszystko przelewanie z pustego w próżne i niczego się nie dowiesz. To samo z papierem Oświaty, który został zużyty w drukarni. Trzeba się zabawić w prokuratora, żeby dojść do kłębka, a ja na to nie mam zupełnie ochoty.

Wczoraj byliśmy cały dzień nad morzem, 7 km przed Anzio, wspaniała plaża i morze i bardzo mało osób, nazywa się Lido di Lavinia i szkoda, że tak późno odkryliśmy tę miejscowość. Może się schować Fregena. Niestety jest dość daleko, około 50 km. Byliśmy z Halą Raczyńską. Ona i ja opaliłyśmy się zdrowo, a Zygmunt przypomina dzisiaj langustę gotowaną, ale jakoś się trzyma.

Dość na dzisiaj, jest późno i zabieram się do rachunków. Jeśli jutro rano będzie coś w poczcie, dopiszę. Dziś był tylko list od Skórzewskiej⁵ do „Kultury” – nic ważnego i list Ulatowskiego do mnie bez żadnych sensacji.

Ściskam Cię mocno i Józio też.

Zosia

¹ Jan Raczyński, Hertzowie poznali go wraz z żoną, Halą Raczyńską, w czasie zesłania w Cyngłoku.

² Stefan Osmólski, adwokat, przydzielony Instytutowi z ramienia Intendentury.

³ Władysław Wachała.

⁴ Chodzi o Wydział Oświaty II Korpusu.

⁵ Teresa Skórzewska współpracowała z Józefem Czapskim w Paryżu w latach 1946–1947.



Zofia Hertz, La Rochelle, lipiec 1954 lub 1955 roku



Zofia i Zygmunt Hertzowie na wakacjach, 1957 rok



Zofia Hertz, wakacje w Bilbao, lata sześćdziesiąte



Zofia i Zygmunt Hertzowie, Hiszpania, 1965 rok



e w Hiszpanii nad Zatoką Biskajską



Jerzy Andrzejewski [?], Zygmunt Hertz, Barbara Kwiatkowska, Jerzy Giedroyc, Maria Dąbrowska, Tula Kowalska, Anna Kowalska, ogród zimowy Maisons-Laffitte, śniadanie wielkanocne, 1960 rok



Zofia Hertz i Jerzy Giedroyc, Paryż, lata sześćdziesiąte

Jesteś już nie SW, ale dziką świnia, już jest prawie wieczór, a znowu nie ma znaku życia od Ciebie. Jestem zaniepokojona tym brakiem wiadomości, więc nie rób kawałów.

Dzisiaj od rana i przez dalsze dwa dni siedzi Osmólski sprawdzając stan naszych interesów. Robi to raczej życzliwie i raczej życiowo niż buchalteryjnie, przynajmniej dziś tak było. Musiałam odpowiedzieć na szereg pytań, a mianowicie, dlaczego zaciągaliśmy pożyczkę w marcu – mogąc upłynniać walory itp., itp., ale jakoś szczęśliwie przebrnęłam przez ten krzyżowy ogień. Obecnie ustalamy dłużników i wierzycieli oraz zapotrzebowanie na pieniądze na czas do 15 września. Koestler jest wliczony, ale nie wiem, jak będzie z *Passeggiata*¹, zwłaszcza że podobno 7 września Anglicy przenoszą się do Udine i Witek też tam prawdopodobnie pojedzie, w każdym razie naciskają na zlikwidowanie auta itp. W jak najszybszym czasie. Na jutro musiałam Osmólskiego i Morowskiego zaprosić na obiad, na skutek pochwał Jeszkego odnośnie kuchni, chcą też skosztować. Co prawda z wrodzonym poznaniakom wdziękiem zaproponowali to Zygmuntowi ofiarowując się z gotowością zapłacenia po 400 lirów, ale sam rozumiesz, żeśmy na to nie poszli. Dzięki większej ilości papierosów prawdopodobnie książka wozu będzie załatwiona do końca miesiąca.

Chcemy wykorzystać ostatnie dni i w piątek (*ferraogosta*)² pojechać na Elbę. Ostatecznie też się nam coś należy z tych Włoch. O Mańkowskim³ na razie ani słychu. Podobno był u P.⁴, ale unika w dalszym ciągu Clarottiego.

Witek upiera się w dalszym ciągu, by Jeszkego płacić z kasy Instytutu, na razie co prawda nie ma pieniędzy, ale nie wiem, jak to się skończy, raczej my przegramy. Jeśli idzie o waloryzację, to w przyszłym tygodniu ma być ostateczna odpowiedź, Osmólski też koło tego chodzi. Sprawdził, że podali naszych ponad 5, obawiam się jednak z półśłówek, że gdyby co do czego doszło, to potrąca marcową pożyczkę. W każdym razie nic na ten temat nie mów, dopóki sprawa nie będzie realna, na razie to ciągle gruszki na wierzbie.

Kończę, żegnając Cię oziębło – do czasu wiadomości.

Zosia

¹ Chodzi o książkę Jana Bielatowicza *Passaggiata*, wydaną przez Instytut Literacki w Rzymie.

² Wł. *ferraogosto* – włoska nazwa święta 15 sierpnia.

³ Mańkowski, Polak posiadający włoskie obywatelstwo, który występował przed Włochami jako właściciel drukarni Instytutu Literackiego, gdyż cudzoziemcy nie mieli wówczas prawa posiadania nieruchomości.

⁴ Kazimierz Papée, ambasador II Rzeczypospolitej przy Watykanie.

Rzym, 18 VIII 1947

Drogi Jerzy,

Odwołuję wszystkie obelgi, które miotałam na Ciebie, gdyż w tej chwili przysły Twoje długie epistoły z 11 i 12 bm. – patrz na datę, sześć bitych dni, list z 13-tego przyszedł wcześniej. Odpisuję pobieżnie na poruszane sprawy.

W sprawie *Słownika* porozumiem się z Jeszkiem i ewentualnie Osmólskim i dam Ci znać jutro, pojutrze. Do Kodzia wolę już nie pisać po tym liście, który wysłałam. Piotr do dzieła miał się zabrać. Byliśmy u niego i mówił, że się już zainteresowali. Bardzo lubią! Do Bocci napiszę, po jej powrocie z urlopu, rękopis już nadszedł, jak również pokwitowanie. O waloryzacji pamiętam doskonale i jeśli tylko się da coś zrobić, to zrobimy.

Rękopis od Stempowskiego nie przyszedł. Jutro napiszę z ponagleniem, zwłaszcza po udzieleniu nam nowej pożyczki, o której Ci pisałam. Stosunki z nimi są bardzo dobre, przynajmniej na oko. Nigdy nie wiadomo, z czym mogą wyskoczyć.

Na mieszkanie jeszcze reflektantów nie ma, są za to na samochód, za to nie ma książki.

Kabel niestety sprzedany za psie pieniądze.

Na przyjazd do Francji obydwójce naturalnie się zgadzamy, dobrze rozumiejąc, że właściwie nic nie możesz gwarantować, ale Al-lach jest wielki, może jakoś będziemy kręcić. Załatw wyjazd wprost do Paryża.

Mańkowski jest podobno bardzo dumny z siebie, że taki mądry i ważny, to zupełny kretyń, ale podobno wraca po 20-tym i wszystko ma podpisać.

Podajesz adres Twojej żony celem wysłania książek, tylko nie napisałeś miasta. Zdaje mi się, że Bejrut, ale nie jestem pewna, czy nie

Haifa, więc napisz dokładnie. Zygmunt będzie mówił w Twojej sprawie w Intendenturze i zaraz Cię powiadomię. [...]

Martwię się bardzo, że jesteś schandryczony. Trzymaj się! Ostatecznie jeśli już Kaziowie piszą, że nic nie mogą, to może my im coś pokażemy. Jak się czujesz? Czy przeszły komplikacje żołądkowe? Napisz i jeszcze raz przepraszam za wymyślania, czyli SORRY.

Ściskam.

Zosia

Rzym, 19 sierpnia 1947

Drogi Jurku,

Nareszcie listy od Ciebie zaczęły przychodzić codziennie, więc trochę się uspokoiłam, bo przedtem poza złością, że nie piszesz, byłam poważnie zaniepokojona, co się mogło stać, a to tymczasem tylko poczta. Dziś przyszedł list z 16, więc stosunkowo bardzo szybko. Wczoraj na gorąco dopisałam do napisanego już listu kilka rzeczy, o które pytałeś, teraz chcę dopisać resztę. Jeśli idzie o korespondencję, to przychodzi bardzo słabo. Poza zwrotem korekt cielsielstwa i arytmetyki¹ i dzisiaj dwoma kawałkami do „Kultury” – Vincenza (fragment z *Wysokiej Połoniny* pt. *Śmierć Leśna* i szkic *Powojenne perypetie Sokratesa*) nic więcej nie było. O uzgodnieniu rachunku z „Kulturą” już Ci pisałam, w dzisiejszym sprawozdaniu do Witka komunikuję mu o tym. Jednocześnie pisał „Gryf”, czy możemy mu wypłacić w Anglii pieniądze, które u nas posiadają. Jest to wielka suma 6 tysięcy z kawałkiem za „Słowo” i 14 tysięcy, które dla nich wpłacił do nas Miecznikowski. Muszą być bardzo potrzebujący. Chcę im zaproponować kurs oficjalny 2300 (po wypłacie pensji przedstawiciele Twego imiennika podwyższyli znowu). Jak nie, niech się powieszą.

Gustaw i Gliwa² dzisiaj wyjechali. Nie pamiętam, czy pisałam Ci już, że Gliwa zrobił poza okładkami do *Kanta*³ i *Antologii* jeszcze okładki do Koestlera i Sokolnickiego. Za wszystko mu zapłaciłam. Należy mu się więc tylko 70 fr. za *Album*. Gustaw – jak Ci już też pisałam – zostawił u mnie artykuły zakwalifikowane do „Kultury”, które zaraz wyliczę, oraz podlegające bezspornie odesłaniu au-

torom, natomiast te, których tyś jeszcze nie czytał, zabrał ze sobą, żeby z Tobą uzgodnić w Londynie. Co mam zrobić z Vincenzem? Czy wysłać do Ciebie na Vistulę do przeczytania? Z drugiej strony nie wiem, czy „Kulturę” uda się tu wydać, obawiam się sprzeciwów ze strony Witka już nawet wtedy, gdy będzie forsa, gdyż oni chcą, byśmy jak najszybciej wszystko likwidowali. Poza tym mogą być za dwa, trzy tygodnie poważne trudności transportowe, ale to się dopiero okaże. Co do ciesielstwa, to mam nadzieję, że w tym tygodniu zaczną drukować (dwa tysiące), z arytmetyką jest gorzej, znowu przysłali skandaliczną korektę i już w ogóle nie wiem, jak z tego wybrną. Jeśli idzie o cenę, to myśmy – jak wynika z korespondencji – zażądali 131 £, z których 15% miało być wpłacone natychmiast, a 35% przy pierwszej korekcie, więc połowa już winna być w Vistuli, sprawdź to proszę. Obawiam się, że dołożymy do tego co najmniej 100 000. Co do *Antologii*, to kończy się drukować, będzie pewnie w końcu miesiąca. *Kant* jeszcze nie gotów, bo zmieniali pierwszą stronę z błędem – będzie w końcu tygodnia.

Artykuły „Kultury” do druku:

- 1) Czapskiego – Jangi Jul
- 2) Ulatowski – Dzieje głupoty w Polsce (varia)
- 3) Refleksje po lekturze Jamesa Burnhama – Orwella
- 4) Z powodu sytuacji demograficznej Francji (Hostowiec) – varia
- 5) Florczak – Rozstanie ze sztuką
- 6) wiersze (zdaje się, że tłumaczył Kobrzyński)

Kolejność nie ustalona.

Teraz mam jeszcze Bocheńskiego, którego dotąd nie przepisałam.

Jeśli idzie o Orwella – gruba kobyła – to trzeba również przepisać, bo za bardzo adiustowane.

Przerwałam ze względu na obiad i jest nowa sensacja. Otóż nawet Jeszke dzisiaj wyszedł z siebie i wyrzucił Władka „na mordę” z drukarni. Zaczną się nowe kawałki. Historia poszła o ten nieszczęsny papier Oświaty. [...]

Jeśli idzie o drukarnię, to podobno sprawa się finalizuje. Jeśli idzie o książki, komplet *Monte Cassino* luksusowy kosztuje 8750, *Trylogia* Reymonta – 1820, *Legiony* Sienkiewicza – 630, *Informator* – 230 lirów. Są to ceny z letnim rabatem i myślę, że niedługo rabat będzie cofnięty. Ale to są moje domysły, w każdym razie z zakupem byłoby lepiej się pospieszyć.

O „Kulturze” było jeszcze parę listów, m.in. od Wittlina. Perio-dyków polskich żadnych nie mam, bo Starcowi⁴ przestali dawać, twierdząc, że i tak nie czyta, jak będę miała chwilę czasu, wyskoczę na miasto, może coś jest w kioskach.

Co do „Dziennika” – to Miecznikowskiemu „Słowo” obiecało to załatwić przekazując go jako stałego odbiorcę, w każdym razie piszę dzisiaj w tej sprawie i do „Dziennika”, i do Piskora⁵, któremu również wysyłam rachunek za opakowanie i transport *Zarysu historii*. Zajmij się wyegzekwowaniem forsy.

Co do Starca, to o ile idzie o Al Capone, sprawa jest załatwiona, z dalszymi sprawami na razie się wstrzymujemy, należy w każdym razie brać pod uwagę, że i druga strona o tym myśli tylko od tej drugiej strony, do której Starzec nie ma wglądu. W każdym razie zapraszamy w tym tygodniu Starca na kolację wraz z rodziną, która znowu powiększyła się o jedną osobę. Trzymamy go ciepło i czule. *A propos* przesałam Ci przez Gustawa 400 papierosów, bo pewnie będziesz bez takowych i bez grosza, wyegzekwuj od niego, gdyż inaczej pewnie sam wypali.

Z listu wychodzi lekki bigos, ale jestem dosyć zdenerwowana odpowiedzią do Marynarki w sprawie tych nieszczęsnych oryginałów, chcę im na razie odpisać, że za kilka dni wyślemy wraz z dodatkowymi egzemplarzami (obawiam się, że dużo nie dodatkowych zaginie). Jeszcze utrzymuje, że trzeba powiedzieć prawdę, ale ja nie mam odwagi. Napisz, jak radzisz, ale szybko, na razie odwlekę „prawdę” o kilka dni listem, że będzie wysłane, ale co dalej?

Bardzo się za Tobą stęskniłam i strasznie żałuję, że wyjechałeś. Jak to się wszystko dalej ułoży?

Jeśli idzie o fotografie, to sobie „sprawimy”, ale musisz wziąć pod uwagę następujące rzeczy: 1) nie wiadomo, czy nam uda się tak samo dojechać do Paryża jak Tobie, bo może p. C.⁶ już nie będzie i może wszystko będzie zlikwidowane. Sytuacja z dnia na dzień może ulec zmianie. 2) Obawiam się, że jeśli pojedziemy na W[ielką] Brytanię, to albo się zdemobilizujemy i wtedy nie wyjedziemy do Paryża bez wizy, albo się nie zdemobilizujemy i wtedy albo nie dostaniemy urlopu, a jak dostaniemy, to będziemy dezertarami. Najlepiej byłoby, gdybyśmy mogli pojechać wprost i zdemobilizować się we Francji, względnie pojechać do W[ielkiej] Brytanii na demobilizację, ale mieć z góry wyrobione wizy francuskie. Czy któraś z tych kombinacji jest możliwa?

Z Raczyńskimi o kolportażu porozmawiamy. Powinni na to pójść, gdyż ich również leży.

Bobbi ucieszył się szalenie czułościami i zamachał dwa razy ogonem na Twoją cześć.

Gino przesyła Ci najserdeczniejsze pozdrowienia i życzenia pomysłowości (Apsik!).

Uważam, że kombinacja małego Józia⁷ z Vistulą byłaby bardzo dobra, jeśli się od razu nie pokłóć. [...]

Czekam na wiadomość, kiedy jedziesz do Londynu. Tymczasem list ten piszę pod kalką i gdyby Cię już nie zastał w Paryżu, wyślę kopię dodatkowo. Wyciągu z Vistuli jeszcze nie zrobiłam, ale zrobię w tych dniach i prześlę wprost do Londynu. Czy uzgodniłeś wyciąg konta z Libellą i czy wszystko jest w porządku.

Ściskam Cię bardzo mocno, nie chandrycz i trzymaj się. Ściskam dwa palce, żeby wszystko się udało.

Zosia

¹ Chodzi o książki drukowane przez Instytut na zamówienie II Korpusu.

² Stanisław Gliwa, plastyk.

³ Książka B. Micińskiego *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*.

⁴ Przewisko nadane Piotrowi Dunin-Borkowskiemu przez Zofię Hertz i Jerzego Giedroycia.

⁵ Piskor, właściciel księgarni „Vistula” w Wielkiej Brytanii, rozprawdzał w tym okresie książki Instytutu Literackiego.

⁶ Pan C., nazwisko nieustalone, Polak przydzielony do armii angielskiej, który pomagał w przeniesieniu Instytutu do Paryża.

⁷ Józef Zielicki.

Rzym, 26 sierpnia 1947

Drogi Jurku,

Dzisiaj otrzymałam Twoje dwa listy z 21 i 22 i zaraz odpisuję szczegółowo.

1) Twoje projekty odnośnie przyszłości bardzo mi odpowiadają i myślę, że jeżeli wszystko w Londynie przeforsujesz, to jakoś damy sobie radę z bałaganem i fajtlapowstwem paryskim.

2) Napisałam Ci już, jakie materiały do „Kultury” zostawił Gustaw, jest to zaledwie piąta czy czwarta część numeru, więc nie warto na razie myśleć o składzie.

3) Wszystkie dane odnośnie *Historii*, *Słownika* itp. oraz wyciąg z konta Vistuli przesłałam Ci już do Londynu i myślę, że te sprawy są wyczerpane.

4) Co do rzeczowego, a nie buchalteryjnego bilansu Instytutu, to co prawda nasze dochody przewyższają rozchody o jakieś 13 mil.[ionów], ale to wszystko fikcja, gdyż są to należności Vistuli, Libelli z *fixe* i komisu oraz magazyn książek. Żeby wiedzieć, co się ma, trzeba wiedzieć, ile Vistula jest w stanie zapłacić, bo papierkowe rozliczenia to zawracanie głowy.

5) Wysyłam Ci jednocześnie lotniczo 3 egz. *Kanta* na Vistulę. Okazowe wysyłam już wszędzie. Do Anglii jutro idzie 900 egzemplarzy, 500 na Francję wyślę razem z *Antologią*, przez MFO. Jeśli idzie o kalkulację *Kanta*, to książka ta wyszła bardzo drogo. [...] Ostatecznie, jak ktoś będzie chciał to kupić, to zapłaci, a byle kto i tak nie kupi, chyba że pomyśli, że rzecz traktuje o jakimś nowym i dotąd nie wprowadzonym w życie kancie. Na Francję 140 fr. I tak nigdy nie wyjdziemy na swoje.

Rachunki wysyłam Vistuli jutro albo jeszcze dziś, jak zdążę. Tobie odpis do doliczenia do należności Vistuli.

6) Do Bocci pisałam, dotąd nie ma odpowiedzi. Rozkaz organizacyjny wysyłam.

7) Jeśli idzie o zawiadomienie o zmianie adresu, to myślę, że to można zrobić dopiero wtedy, gdy już na pewno będziemy wiedzieli, że jedziemy do Paryża.

8) Do Marynarki¹ napisałam, że wszystko im wyślę pod koniec miesiąca, jak będą gotowe nadwyżkowe egzemplarze (wszystko było zamknięte – *ferraogosta*), więc mam kilka dni jeszcze spokoju, żeby myśleć nad nowym kłamstwem.

9) Mała B. miała list od Soroki, który czytałam, na razie nie ma nic napisanego, wszystko już posprzedawał, może coś napisze, ale do 3 numeru. Napisz do niego osobiście, oto adres: Wacław Soroka, 107 rue des Martyres, Kessel – Lao, Belgique.

10) Periodyków na razie nie mam, jak coś będzie, wyślę do Francji, bo inaczej mogą się minąć.

11) Zygmunt jedzie pojutrze do Forli i postara się wyciągnąć Twoją kartę zaopatrzenia. Napisałam list do Chmielewskiego z prośbą o wyjaśnienie sprawy dodatku dla Twojej żony. Książki jej wyślą. Poprzednio podałeś adres bez nazwy miasta.

12) Jeśli idzie o dodatek na ubranie, to jest pismo, byśmy sobie pobrali z Instytutu. Jeszcze twierdzi, że Witek ma potem te wszystkie dodatki restytuować. Nie możemy na razie wziąć, bo nie ma z czego.

13) Rozliczenie papierowe z Poklękowskim będzie lada dzień zrobione. Tyle, ile się im papieru należy, dostaną z zapasów OGI. Inaczej nie można zrobić.

14) *À propos* książek Breitera, uprzedziłam Twoje pomysły. Naturalnie, że wartość można przyjąć tylko jako wagę makulatury. Jużeśmy nawet ważyli, żeby wiedzieć, ile tego jest. Na razie niech Vistula ich jeszcze od YMKI nie odbiera, zawiadomimy w odpowiednim czasie.

15) Rachunek Marynarki za opakowanie wynosi 138 300. Nic jeszcze o zapłacie nie pisali. Ostatnia rata jest płatna w miesiąc po

otrzymaniu nakładu, ale myślę, że zapłacą wcześniej. Ostatnie listy są pełne poezji, poważania, wzajemnie poniesionych ofiar itd. Gdyby nie te nieszczęsne zaginione obrazki, byłibyśmy najlepszymi przyjaciółmi. Rzeczywiście, pod jakąś złą gwiazdą rozpoczęliśmy to obrzydliwe albumisko?

16) Konto Kultury i Prasy ostateczne z rachunku za transport Wańkowicza wynosi 1 680 675 lirów, wysłałam Hilczerowi. Jeszcze jest rachunek Failly 36 000 lirów, ale wpłynie jeszcze coś od Miecznikowskiego.

17) Signorellego jeszcze nie ma w Rzymie. Załatwię po pierwszym.

18) Jutro ma wrócić Mańkowski i mają ostatecznie likwidować wszystkie sprawy.

19) Jutro będziemy u Starca, załatwimy wszystkie sprawy: Olo, Dobraczyński, czasopisma itd.

20) Zamówienie od kombatanów przyszło. Mała broszura. Robi się. Honorarium za obie ściągniemy papierem.

21) Do Rogalskiego napiszę zaraz. Zdziechowski³ jeszcze od niego coś dołączył. Przesyłam Ci to wraz z odezwą Respubliki, gdyż Gustawa już nie było (na Vistulę).

22) Jak już wiesz z ostatniego listu, wszystko tu się likwiduje do końca września. Nie wiem, jak zdążymy. Będzie straszna harówka. *Antologia* będzie gotowa zaraz po pierwszym. Tak obiecują i będzie zaraz wysłana. *Krucjata* już złożona i myślę, że około 12-go powinna być gotowa. Drukarnia ma mało roboty i myślę, że trzeba im dać za dwa, trzy dni *Passeggiatę* do składu. To jest mała książka i na pewno się zdąży do połowy września. W najgorszym razie pójdzie bez rysunków, a okładkę zrobi ktoś na miejscu. Jeśli spotkasz Gliwę, piñuj, żeby jednak natychmiast przysłał okładkę i obwolutę. Najgorsze katastrofy to ciesielstwo i arytmetyka. Jeśli idzie o ciesielstwo, to robią dopiero teraz rewizję (Władek to gdzieś przetrzymywał). Wczoraj zrobili pierwsze 86 stron i sprawdzał Sznarbachowski.

Tknięta przecuciem, pojechałam dziś do drukarni, żeby to własnoręcznie obejrzyć. Pomijając około 20 puszczonech drobnych błędów, niepotrzebnie zmieniał różne rzeczy, wyrzuciłam to. Ale najważniejsza rzecz to to, że przy składzie zecer opuścił jakieś 15 wierszy, cały paragraf, Iza⁴ w pierwszej korekcie widocznie nie zauważyła, bo nie wpływało na treść, potem złamali i wysłali do Londynu. Londyn zauważył braki, które zostały dopisane na maszynie i doklejone ze strzałką, gdzie ma być wsadzone. Ten doklejony kawałek został następnie przekreślony i nadpisano po włosku „nie

zwracać na to uwagi”. Więc Sznarbachowski nie zwrócił. Ja natomiast zwróciłam i pytam Lelliego, co to znaczy. Oświadczył, że ponieważ na skutek dodania tego tekstu trzeba przełamać około 10 stron do końca rozdziału, więc Władeczek zdecydował, że to nie ważne i żeby nie zwracać uwagi.

Myślałam, że mnie szlag trafi. Mówię Ci, że takiej gospodarki ze świecą byś nie znalazł. To jest zupełny kryminał. Bo nie idzie o to, czy ktoś efektywnie kradł – prawdopodobnie nie, ale to było chyba rozmyślnie dążenie do zniszczenia placówki w jak najszybszym tempie. Tępak, idiota, laik i wszystko razem nie mógłby tego robić gorzej – to jest zupełnie niemożliwe. Zdaje się, że granica ujemna została osiągnięta. Wstyd doprawdy tych Włochów, którzy śmieją się z nas wszystkich w kułak i mają 1000% racji.

Osmólski jedzie na Ciebie, że to Twoja wina, że powinienś być doglądać, że jesteś odpowiedzialny, że uprawiałeś *splendid isolation* itp. Trudno z nim nawet dyskutować. Wyjaśniamy stale Jeszkemu, że nie mogłeś, że oni byli mianowani, że nie miałeś egzekutywy, że oni mieli więcej zaufania niż Ty i że gdybyś od razu wystąpił o wyłanie ich, to by powiedzieli, że chcesz przeprowadzać swoją politykę itp. Jeszke z nami się zgadza i wierzę, że słówko w tej sprawie powie.

23) *À propos* nie podpisanej kartki, to Ty jesteś tuman, bo tym razem ja żartowałam.

24) Papierosy stanowczo warto kupić i każ to zrobić.

25) Czy nie uważasz za stosowne, gdyby inaczej nie można było, wydrukować tu te artykuły „Kultury”, które są, i zrobić matryce, a potem dokończyć we Francji? To by się na pewno zdążyło. Zastanów się i odpisz.

26) Vincenza wysyłam na Vistulę.

27) Siutowie są niewidzialni i niesłyszalni. Władek nieuchwytny od szeregu dni.

28) Emeryka nie było. Adres Starca: Corso Italia 6, pensione (zapomniałam nazwy, jutro dopiszę). W każdym razie II piętro i tak dojdzie.

29) Nie rozpraszaś się na opony – to taki drobiazg w stosunku do całości, że dziwię się, że zaśmiecasz sobie tym pamięć. Wierz mi, że to nieważne.

30) Przed trzema dniami Zygmunt zrobił rewizję w drukarni i znalazł matryce *Słownika* zapakowane razem z matrycami *Trylogii* Reymonta. Jak również matryce I-go tomu *Monte Cassino* (nie wiem, skąd tam się wzięły), III-go tomu nie ma.

31) Jeśli idzie o mieszkanie w Paryżu, to myślę, że można zacząć zawracać głowę ludziom wtedy, gdy to już będzie ostatecznie

postanowione. Przez parę tygodni ostatecznie można mieszkać w hotelu.

32) Upoważnienie Wragi odebrałam, nie wzięłam dotąd, bo nie ma forsy.

33) Najwięcej mnie martwi nasz ewentualny wyjazd do Francji. Stąd, o ile w ogóle się da, trzeba byłoby wyjechać około 15–20 września przed Witkiem, a czy się zdąży, Pan Bóg wie jeden, a my nic. Bardzo się boję o ciesielstwo i o arytmetykę. Wysłałam dziś depeszę do Vistuli o resztę ciesielstwa, brak przeszło 100 stron korekty. Niech natychmiast wysyła, bo za nic nie ręczę. Co do arytmetyki, to jeśli nie znajdziemy tu nauczyciela arytmetyki do zrobienia korekty, to o wykończeniu nie ma mowy. Zobaczę, jeśli za jakieś 10 dni nie będzie widać końca, to trzeba będzie to pozostawić nowonabywcom i wysłać *letter of credit* na całą sumę. Nic jeszcze dziś nie mogę powiedzieć.

Od jutra zaczynam urzędować od rana do 2-jej w drukarni i robić na miejscu korekty i pilnować wszystkiego, inaczej nic z tego nie wyjdzie. Mój urlop naturalnie diabli wzięli. W każdym razie pamiętaj, gdyby wszystko szło do diabła, daj znać, od razu, niech mam przynajmniej odpoczynek przed beczką śmiechu, bo zamęczać się dla czortów nie mam zamiaru.

Zygmunt obawia się wyjazdu na raty, bo potem druga strona mogłaby nie dojechać.

34) Z mieszkaniem na razie nic. Zygmunt poszedł właśnie do pośrednika. Wszystko jest drogie, jak się kupuje i na odwrót.

35) Nastawienie Witka w zasadzie jest niezłe. Osmólski pluje, jak wyżej wspomniałam, ale to przyjaciel Jeszkego, który znowu jest bardzo za nami. Podobno, nie mów nikomu, już zwaloryzowano. Jutro Jeszke będzie z Osmólskim u Witka, żeby dowiedzieć się na pewno, jeśli tak będą cisnąć. Obawiają się sprzeciwu i to dużego, będą może chcieli dać ochłapek. Nie rób nic, dopóki nie zadeszuszę ODMÓWIONO ZAŁATWIĆ NA MIEJSCU. Dopiero w tym wypadku interweniuj u Kazia⁵, przedtem możesz wszystko popsuć. Już tak ustaliłam z Jeszkiem. Zresztą jutro, pojutrze będzie wiadomo.

Wysłałam wczoraj olbrzymi list na adres podany przez Dudka, mam nadzieję, żeś dostał, ale nie wiem w ogóle, czy pisać do Ciebie na hotel czy Vistulę. W każdym razie zachowuję kopie listów. Drukarnia się niby finalizuje, ale jeszcze nic. Ściskam Ciebie mocno, palec również. Marzę, żeby się to wszystko pomyślnie skończyło, no a o naszym stosunku do Ciebie nie muszę chyba pisać. Trzymaj się, oczekuję z niepokojem londyńskich wiadomości.

Zawiadamiaj, z jakiej daty listy doszły. To drugi duży na hotel.
[dopisek ręczny:] Dużo najlepszych myśli.

Zosia

¹ Marynarka Wojenna.

² Chodzi o *Album*, którego druk zamówiła w drukarni Instytutu Literackiego Marynarka Wojenna.

³ Paweł Zdziechowski.

⁴ Iza Siuta.

⁵ Kazimierz Wiśniewski.

29 sierpnia 1947

Drogi Jerzy,

Co się z Tobą dzieje, już sześć dni siedzisz w Londynie i ani słowa od Ciebie. Naprawdę się niepokoję, a właśnie chcę Ci zakomunikować pierwszą jaśniejszą wiadomość. Otóż nastąpiła już ta od stycznia oczekiwana zmiana i Witek ustosunkował się do nas jeśli nie całkowicie dobrze, to w każdym razie wcale nie najgorzej i nie należy, abyś na ten temat rozpoczynał jakiejkolwiek rozmowy. Zmiana styczniowa – jak stwierdzają – nastąpiła tylko w stosunku do lutego, a nie dalej, ale i to nie jest złe.

P. Osmólski po trzydniowej wizycie u mnie napisał memoriał: Och, Z. H. wyjaśnia, zeznaje itp. tym niemniej jest on pozytywny i przepisują tamtą zmianę na około 3,8 dla nas uwzględniając *Album*. Co jest obliczone dokładnie. Niektórzy są, jak Ci pisałam, przeciwni (pół właśnie dziś wzięliśmy), a co do reszty, to się będziemy rachować.

Jeszke jest najlepszej myśli co do dalszego losu. Więc nie ma, uważam, o czym mówić, zwłaszcza że nastawienie do nas jest dobre. Ulżyło nam to niesłuchanie, bo było już ciężko.

Dziś dałam *Passeggiatę* do kalkulacji i jutro będę wiedziała, jak to wygląda. Może uda się jeszcze ją wydać. Bardzo bym chciała. Niewątpliwie trzeba będzie spłacić ostatnio zaciągnięte pożyczki, a przynajmniej częściowo, ale i tak coś zostanie.

Jutro mają być decydujące rozmowy z nabywcami¹ i Jeszke jest dobrej myśli, że zostanie wszystko załatwione.

Ja znowu siedziałam dziś rano w drukarni i dla odmiany obok hebla mam w głowie krowę i ogród warzywny (po ciesielstwie robiłam korektę rolnictwa dla Kombatantów). Ciekawa jestem, kto mi za to zapłaci!!! Dosyć tego poświęcania się, muszę i ja wystąpić z jakimiś żądaniami, bo zaczynam mnie lekceważyć za głupotę.

Przed chwilą wyszedł ode mnie Twój Żaba, czyli Norbert². Dosyć zabawny, puciołowaty, zaondulowany (mam nadzieję, że nie u fryzjera, lecz z natury rzeczy) szatynek w okularach. Sympatyczny i zdaje się, że ma dobrze w głowie. Bardzo się Tobą interesuje i cieszy się na spotkanie w Paryżu. Trochę urągał na dużego Józia, że jak się do niego zwrócił, z Twojej zdaje się poręki, w czasie swego długiego pobytu w Paryżu, aby mu ułatwić kontakty, to Józio zapatrzonego w drugokorpusową emigrację nigdy nie miał dla niego czasu, umawiał się i nie telefonował i w ogóle rozpraszał się na drobiazgi, zamiast myśleć o rzeczach ważnych i istotnych. Podarowałam temuż Żabie *Antologię* i obiecałam mu załatwić kilka sprawunków i spraw, bo nie wie, co i jak. Wszystko to w myśl zasady, że przyjaciele naszych przyjaciół itd.

Zygmunt pojechał wczoraj do Porto Recanati i wraca w poniedziałek. Ja pracuję do późnej nocy i już mam wszystkiego dosyć. Mam wrażenie, że Witek i koledzy jego są o nas, tj. o Zygmuncie i mnie, jak najlepszego zdania. Bo gdy Jeszke zostawił Witkowi tę notatkę, o której Ci wczoraj pisałam, Witek chciał ją przejrzeć, ale mówi: – nie podpisana. Więc Jeszke podpisał twierdząc, że chociaż nie sprawdzał, ale skoro ja napisałam, więc jest na pewno dobrze. Na co nie spotkał się z żadnym sprzeciwem. Jeżeli wszystko pójdzie dobrze i jakoś przebrniemy przez wszystkie kłopoty, postanowiłam zrobić „party” dla Witka i towarzyszy – na pożegnanie. Gotowa jestem nawet kupić indyka. Ale to jeszcze muzyka przyszłości. Przed wiadomością od Witka sprzedałam 50 [egz.] *Monte Cassin[o]* i zostało mi jeszcze 50. Na razie ich nie ruszam, może nie będzie potrzeba.

Napisz mi odwrotnie, czy widziałeś się z Gustawem i jaki jest jego adres. Chcę mu posłać egzemplarz *Antologii*. Obiecał razem z Gliwą od razu napisać i naturalnie nic. Okazuje się, że Zygmunt żegnając się z nimi miał rację. Mianowicie zapytał się: napiszecie. Odpowiedzieli chórem – naturalnie. I wtedy powiedział: świnie i kłamczuchy, po co obiecywać, kiedy się i tak nie dotrzyma. Nic się nie omylił. Czy ten Gliwa przyśle okładkę i obwolutę do *Passeggiaty* i jakieś drobne szpunty, które miał zrobić. Jeśli nie – to jaką dać okładkę? Robię kalkulację na książkę z kliszami, ze względu na gatunek papieru, zrobimy ładnie, ale bez rysunków. Lepiej tak niż wcale.

Napisz mi również, czy z *Antologii* będziemy płacić honoraria, a jeżeli tak, to jakie, gdyż nie wiem, jak skalkulować książkę, która i tak jest bardzo droga. Egzemplarz wypada około 220 lirów. Jeśli przysłyby honoraria, to będzie około 300, a więc musiałyby być w sprzedaży przynajmniej 600 we Włoszech, a nawet więcej. Zresztą wyszła bardzo ładnie i na dobrym papierze. Może Ci Vistula zasugeruje cenę na Anglię.

Czekając odwrotnej odpowiedzi, ściskam Cię serdecznie. Jeżeli jutro nie będzie listu, przestaję pisać. Ostatecznie piszę co dzień ko-
były, a Ty milczysz jak grób. To nie jest w porządku.

Zośki

¹ Instytut Literacki przed przeprowadzką do Paryża szukał nabywcy na drukarnię OGI, która była wówczas jego własnością.

² Norbert Żaba, później blisko zaprzyjaźniony z „Kulturą”, jej przedstawiciel w Szwecji.

31 sierpnia 1947

Drogi Jerzy,

Wczoraj otrzymałam Twój list z 26 bm. – pierwszy z Londynu i okazało się, że wysłałam listy na adres względnie tylko dobry, bo Londyn N.W.8, zamiast W.8, ponieważ wszystkie inne szczegóły były podane i nie ma od Ciebie depeszy, więc mam nadzieję, że mimo to je otrzymałeś. W każdym razie przedwczorajszy w odpisie załączam. Jestem bardzo zaniepokojona zarówno słabymi wiadomościami od Ciebie – powinno już być kilka listów – jak i pogłoskami, że Instytut jest skończony, które rozsiewane są w Londynie, a które podał mi Grudziński w liście wczorajszym.

Ja miotam się tu jak mogę i naprawdę brak mi już po prostu sił fizycznych i jeżeli by z wszystkiego miały wyjść nici, to chciałabym chociaż przed beczką śmiechu i perspektywą odmalowaną przez Gustawa, chociaż trochę odpocząć. Mogę się poświęcać dla czegoś i kogoś, ale nie dlatego, żeby ktoś miał rozpapać wszystko cośmy, bądź co bądź, zrobili. Pamiętaj o tym i zawiadom mnie.

Wyjazd musi nastąpić w ciągu przyszłego miesiąca i jeżeli chcę, aby wszystko było zrobione, muszę pracować po 14 godzin dzien-

nie, tyle jest korekt i innych spraw, a przekonałam się, że nikomu tego powierzyć nie można. Jeżeli do tego dam jutro *Passeggiatę* do składu, to zdaje się, że nie będę mogła nawet wyjechać na niedzielę, tak jak to dzisiaj ma miejsce, pracuję od rana. A muszę przyznać, że ta niepewność mnie także zaczyna wyprowadzać z równowagi. Gustaw pisze, że mówił mu Kazio (Wiśniowski), że jeżeli nie będzie z Francji naszego *engagement* do pracy poświadczonego przez tamtejszego Min.[istra] Pracy, to Anglicy nas nie zdemobilizują i nie dadzą papierów podróży. Gustaw też się niepokoi przyszłością i prosi, byś go natychmiast zawiadomił, jak sprawy stoją, gdyż w przeciwnym razie będzie się starał zaczepić w Londynie, jego adres: c/o Hoffmanowa, 62, Princess Square, London W.2 lub obóz Blackshaw Moor Camp, Leek. Staffs.

A teraz przechodzę do rzeczy zasadniczych. Jutro ma być finalizacja drukarni, ale cena jest zupełnie śmieszna. Przede wszystkim wykorzystują nasz wyjazd (te dwa miesiące zawieszenia decyzji), a po drugie są olbrzymie zaległe wymierzone i nie wymierzone podatki (te, które miały być wg Siuto-Wąchałów zapłacone, niezależnie od odkładanego czystego dochodu). Wynoszą one ponad 6, plus osobisty Mańkowskiego około 700. Reasumując, nabywcy dają za całość, plus auto, plus magazyn drukarni (papieru było mało, bo trzeba oddać Kombatantom), przejmując wszelkie zobowiązania, z wyjątkiem Mańkowskiego – 18 i pół netto, jeśli odliczyć Mańkowskiego zostaje 18. Z tego schodzi 3,5 „Kultura”, plus 300 maszyna do szycia, pół dla nas [za] auto i 300 agregat. Czyli zostaje 13 400, jedna trzecia dla funduszu społecznego, wynosi zatem jedynie około 4,5. Zostaje 8 plus należność z „Kultury” około 1,8, zatem niecałe 10. Jeżeli Witek potrąci pożyczkę 2,5 zwaloryzowaną, zostanie około 6,5. Tak się przedstawia rzeczywistość.

Witek chce jak najszybciej zrobić koniec i wcale mu się nie dziwię, bo wobec braku pracy dokłada się ciągle i każdy tydzień przynosi nowe straty. Nabywcami są Egista, więc wszystko zostaje prawie bez zmian i nie ma żadnych formalności i to jest bardzo dobre, bo wszelkie rozliczenia byłyby niesamowicie skomplikowane i zabrałyby tyle czasu, że go pewnie nie mamy. Otóż kwitnący stan interesów! Na mieszkanie nie mam jeszcze nabywców i też mam z tym duże zmartwienie, aż mi się serce kraje, że się właściwie wszystko marnuje.

Jestem zarozumiąta, to prawda, ale mogę zupełnie szczerze powiedzieć, po tygodniu siedzenia w drukarni, że gdybym ja tam była od początku albo ktokolwiek inny – żaden geniusz, tylko człowiek odpowiedzialny i sam pracowity, to moglibyśmy tu siedzieć do śmierci. Możemy sobie płuć w brodę.

Z drugiej strony, nawet przy tym stanie, jeśli decyzja nie zostanie zmieniona, to zaczniemy w najgorszym razie, mając około 7, czyli o tyle więcej niż na początku, bo maszyn przecież gryźć i tak nie było można. Jesteśmy za to o połowę mniej liczni i o całe niebo bardziej doświadczeni, więc może jakoś to będzie, zważywszy, że przecież coś tych książek już wydrukowanych, a które są warte tysiące funtów, będzie się sprzedawać i choć kapaniną, coś nam będzie do naszego kapitału dopływać. Żeby tylko znaleźć się już na miejscu i zacząć.

Jeśli idzie o Witka, to jego stosunek jest bardzo dobry, poza tym nie mam słów uznania dla przyzwoitości i starania się o nasze sprawy Jeszkego. Ostatecznie najmniej go przecież wszystko obchodzi i mogłoby mu być wszystko jedno.

Pociechą jest też, że Witek myśli o zmagazynowaniu swoich zapasów tam, gdzie nasze. Świadczyłoby to, że chce być tam, gdzie i my. Jutro decyzja w sprawie drukarni. Zaraz Ci zatelegrafuję wynik.

Dałam *Passeggiatę* do kalkulacji. Otóż zrobienie na ładnym papierze bogato z ilustracjami itp. pociąga za sobą olbrzymi koszt 430 000 lirów. Nakład 3000, stron 112. Uważam to mimo wszystko za szaleństwo i jeżeli książkę oddam jutro do składu, to bez żadnych rysunków, najwyżej jeden na 1 stronie za okładką i obwoluta. *A propos* tych ostatnich, co z Gliwą, czy prześle, czy nie. Depeszuji. O „Kulturze” tutaj już nie myśl, bo się na pewno nie zdąży, zwłaszcza że nie ma jeszcze całego materiału. Ostatecznie możesz dać do roboty w Paryżu, jak przyjedziesz. I tak większość materiału trzeba przepisać. A do tego nie mogłam się dotąd zabrać.

Mańkowski ciągle robi obstrukcje, żądając, by mu przedstawić, że Wachała i Siutowie zrzekli się do niego wszelkich pretensji, inaczej nie podpisze aktu o likwidacji „Casa”¹. Znowu wyjechał na 10 dni. Tamci najwyraźniej szantażują tego durnia i on obawia się, że będą od niego potem żądali pieniędzy, a im się zdaje, że w ten sposób wymuszają od nas duże sumy odszkodowawcze. Mańkowski został uprzedzony ponownie, że cała odpowiedzialność za niezafatwienie wszelkich spraw spada na niego, ma się namyśleć i dać odpowiedź, jak wróci. Wszystko to jest bardzo męczące, a stwierdzanie codziennie, jaką była gospodarka drukarni, doprowadza mnie po prostu do takiej pasji, że mogłabym rozbijać stołki, tylko komu na głowie?

Pierwsze arkusze ciesielstwa idą jutro na maszynę, jutro przywożą papier, który musiałam kupić na mieście po drogiej cenie.

Zrobiłam już zestawienie papieru dla Kombatanów. Ostatnie cyfry będą stwierdzone jutro, bo jeszcze się dla nich drukuje i jutro wysłę im wszelkie dane, a Tobie odpis. To też jest jedna z wykwinniejszych spraw.

Co do Breitera, to przy sprzedaży jego należność zostanie anulowana, książki w Londynie my przejmujemy i będziemy je sprzedawać na własny rachunek. Poza tym jest jeszcze zatrzymanych przez Jeszkego 600 jego słowników, które ma podobno nabyć Intendentura celem rozdania żołnierzom wyjeżdżającym. Z zapłaconej sumy kilkanaście tysięcy dostanie Breiter, reszta pójdzie w połowie na nasz dług i na dług jego w Intendenturze. Dobrze i to.

Jutro ma być druga korekta Koestlera. *Antologia* będzie w przyszłym tygodniu wysłana. Czy *Kant* już doszedł? Wczoraj na gorąco wysłałam okazowe egzemplarze do Vistuli i w ogóle za granicę, bo od jutra poczta wzrasta w dwójnasób. Vistuli posłałam tylko 30 egzemplarzy. Pozostałe 16 niech sobie weźmie z nakładu, o tyle więcej doślę. Wysłane na Vistulę 3 egz. pocztą lotniczą kosztowały 1760 lirów – po prostu majątek.

Jaki jest adres Herminii²? Podobno zmieniła, a chcę jej wysłać 2 egz. autorskie. Wysłałam już Zahorskiej, Kuncewiczowej, Wańkiewiczowi, Bielatowiczowi, Wittlinowi, Wierzyńskiemu, Czapskiemu, Czapskiej, Grudzińskiemu i Mackiewiczowi. Pozostają jeszcze ci z kraju. Gustaw zostawił mi ich adresy na kartce, ale kartka się gdzieś zapodziała i nie mogę znaleźć. Może byłoby dobrze, gdybyś wziął 2 egzemplarze z Vistuli, jak przyjdą, i dał Herminii, potem będzie obraza, że inni dostali, a ona nie. W ogóle ta książka jest bardzo droga, a okazowych i autorskich idzie około 150 egzemplarzy. Strasznie dużo, ale co robić.

Napisz zaraz, czy płacimy honoraria. Gustaw mówił, że od przedruków się nie płaci, ale nie jestem pewna. Jeśliby przyszło płacić, to będą straszne sumy.

Na razie to chyba wszystko. Jutro, mam nadzieję, że przyjdzie list od Ciebie, więc odpiszę, jeżeli coś będzie. Czy wyjeżdżasz 5-go. Jeśli tak, to właściwie ostatni list mogę na Londyn wysłać tylko z 2 września, bo późniejsze nie dojdą.

Co z Kodziem, Sulikiem, Piaseckim i Vistulą. Czy Szmaciarz³ zostaje, czy wyjeżdża razem z Tobą. Odpisz albo zatelegrafuj. Najlepiej zatelefonuj, myślę, że ponieważ ten list będzie wysłany 1-go, jutro rano, to dojdzie do Ciebie 3-go. W każdym razie 3-go i 4-go będę od godziny 8-ej wieczór w domu, może zatelefonujesz. Numer 880578 (gdybyś zapomniał). Zrób to, bo rozumiesz, że jestem niespokojna.

Sciskam Cię najmocniej, przepraszam, że stale zasypuję Cię niezbyt pomyślnymi wiadomościami, ale co mam robić – to nie moja wina.

Zosia

¹ Casa Editrice Lettere, pod taką nazwą został zarejestrowany w Rzymie Instytut Literacki.

² Herminia Naglerowa.

³ Przewisko nadane Józefowi Zielickiemu, zaprzyjaźnionemu z Instytutem Literackim.

1 września 47 – wieczór

Drogi Jurku,

W pół godziny po wysłaniu do Ciebie listu, przyszedł Twój z 29 sierpnia; z dopiskiem Dudka. Z żalem stwierdzam, że Londyn nie wpłynął na Ciebie dodatnio. Wiesz, że siedzę tu jak na rozżarzonych węglach, poczynając od 24 sierpnia, piszę do Ciebie codziennie już nie listy, ale po prostu sprawozdania, chyba aż nadto wyczerpujące, jeśli idzie o teren tutejszy, a Ty w zamian przysyłasz mi kilka lakonicznych słów, nie wnoszących nic do sprawy. Nie potwierdzasz nawet, czy dostałeś wszystkie moje listy z wszelkimi wykazami, wyciągami i odpisami.

Cieszę się, że Protasewicz zgodził się z moimi rachunkami, ale nie widzę konieczności przelewu, uważam, że lepiej wszystko dać do Józia, tylko i z tym będą trudności. Nie rozumiem pretensji o korektę III tomu *Monte Cassino*. Przecież robił ją Oddział, a my nie mieliśmy z tym nic wspólnego. Od Marynarki nie było dotąd ani słowa. Pojutrze postaram się im wysłać resztę egzemplarzy albumu.

Zygmunt przyjechał dziś o 8-ej z Forli; jechał całą noc i prawie nie myty musiał jechać do campu. Cały dzień są konferencje, gdyż jutro, jak Ci pisałam, ma być koniec. Piszą jakieś protokoły, uzasadnienia itp. Nie rozumiem, dlaczego dajesz sobie sugerować przez Stacha [...] wyssane z palca plotki. Pisałam Ci w każdym liście i powtarzam raz jeszcze, że Witek nie ma zamiaru robić nam żadnych kawałów, przeciwnie, idzie nam na rękę. Chyba że byłoby to całkowite zakłamanie, na które się wszyscy nabierają. Ale nie widzę powodu takiego postępowania, bo gdyby powiedział nie – do widzenia – to też byś nic na to nie mógł poradzić.

Wychodzimy tu wszyscy ze skóry, żeby pomyślnie wszystko załatwić, ale Ty masz pilnować spraw, które tylko na miejscu mo-

żesz załatwić, tj. rozliczenia z Piskorem (nic o tym nie piszesz), Kodź, nasze przeniesienie wprost do Józia. To są rzeczy najważniejsze. Czy zwymyślałeś chociaż Piskora za zły kolportaż. Materiał chyba miałeś dostateczny, jeszcze Ci dostałam. Zdaje mi się chwilami, że piszę w próżnię, gdyż nie odpowiedziałeś na żadną rzecz, o której pisałam, czy o którą pytałam. Nie wiem nawet, kiedy wyjeżdżasz z powrotem.

Jeśli idzie o książki Breitera, to będzie formalna cesja drukarni na nas – za darmo i wtedy Vistula będzie mogła wziąć do sprzedaży. Powiedz, że przysłę im to, aby mogli odebrać i podam ceny sprzedażne.

Staramy się wyciągnąć możliwie jak najwięcej. Musisz wziąć pod uwagę, że chociaż cena netto jest niezbyt duża, to jeżeli dodasz do tego podatki, to wychodzi właśnie to, czego żądaliśmy. Niestety to wszystko było zapuszczone do ostatnich granic i jeszcze sześć tygodni, a skończyłoby się całkowitym bankructwem. Będę szczęśliwa, jeżeli jutro się to sfinalizuje. Pieniądze będą wówczas w ciągu 10 dni. Trudną rzeczą jednak jest transport książek do Józia. Zygmunt stara się to załatwić przez swego kuzyna. Witek ma jeszcze większą ilość książek do wysłania i chce do naszych dołączyć. Prosił, by Zygmunt zajął się zapakowaniem. W ogóle mam wrażenie, że chciałby, by Zygmunt został tu jeszcze kilka miesięcy zaczepiony o Czapskiego. Nie mówił tego jeszcze wyraźnie, ale dał mu do zrozumienia. Zygmunt jednak boi się, że potem nie będzie mógł dojechać do Józia¹. Zresztą nie było jeszcze wyraźnej propozycji, więc czas się tym martwić i nad tym zastanawiać.

Czy widziałeś się z Gustawem i czy dostałeś od niego papierosy.

Jeśli idzie o pieniądze z Vistuli dla Masnego², to jednak niech Piskor je zbiera, bo wiem, że Witek napisał do Masnego, aby stamtąd ściagał. Zdaje się jednak, że idzie o tę pożyczkę marcową, której nie chce tu nam potrącać, a nie o tę ostatnią, która jednak będzie musiała być zapłacona pewnie tutaj. W związku z waloryzacją pieniędzy są na to. Zresztą ostateczne rozliczenia będą mogły być zrobione dopiero po sprzedaży. Zaznaczam Ci jeszcze raz, że jak dotąd wszystko wskazuje na całkowicie pozytywny i życzliwy stosunek zarówno Witka, jak i Osmólskiego, nie mówiąc już o Jeszkiem, który jest bezkonkurencyjny.

Pisałam Ci już, że obawiam się o mieszkanie. Gdyby się jednak okazało, że „przyjaciele” podpuścili mi tu świnię, to zdaje się, że się w końcu zdenerwuję i na wyjeźdźnym uszyję im buty, choć wołałabym tego nie robić, bo nie lubię.

Staraj się koniecznie, by Fundusz SP nie wycofał swego udziału.

Napisz po ludzku wyczerpujący list, bo naprawdę i ja się w końcu na Ciebie obrażę i wtedy będzie z Tobą krucho. Liczę na pewno, że zatelefonujesz 3-go lub 4-go, to byłoby najlepsze. Jaki przebieg miały czwartkowe konferencje. Każesz mi ścisnąć palec – nie wiadomo po co.

Z *Passeggiatą* jeszcze nic nie wiadomo, zresztą muszę przyznać, że po prostu boję się rozpoczynać, a nuż trzeba będzie wyjechać i kto to wszystko potem zrobi. Jeżeli jednak okaże się, że nie ma z wyjazdem gwałtu, to na pewno jeszcze zrobimy. Pieniędzy starczy.

Czekając na wyczerpujące wiadomości żegnam Cię oziębło.

Zosia

¹ Józef Czapski.

² Masny, wojskowy wysokiego stopnia w Intendenturze II Korpusu w Londynie.

[13 lutego - 23 maja 1946]

[Bolonia] 13 II 46

Drogi Jurku

Wczoraj wieczorem dostałam *via* Kwatera Prasowa przesyłkę od Ciebie. Wszystkie listy wysłałam natychmiast, jak również książki Dudkowi¹. Do Gierata² dziś telefonowałam, ale nie zastałam go, więc będę próbowała jeszcze jutro go złapać. Lulu³ wyjechał dziś rano z generałem [Andersem] do Rzymu, gdzie jest Sapieha⁴. Ponieważ Ludwik⁵ pogonił tam również dziś po południu, więc dałam mu list do Lulę, w którym wyłuszczyłam wszystkie Twoje prośby, jak również list do Wachały⁶, który jak mi mówiono, przed kilku dniami przyjechał z Siutą⁷ na stałe do Rzymu. Byli niedawno w Bari, żeby się tam ostatecznie zlikwidować. Po obiedzie dzwoniłam również do PCK, żeby złapać Rządковского, ale okazuje się, jak mi potem powiedział Mossin⁸, że Rządkowski jeszcze rezyduje w Rzymie. Ponieważ Glinicki również tam jutro jedzie, więc przekaze mu wiadomość od Ciebie. To byłoby wszystko, jeśli idzie o sprawę, które poleciłeś mi załatwić. U nas duże zdenerwowanie. Nagonka przeniosła się już do miejscowej prasy, a Ludwik już zupełnie w piętkę goni i trudno z nim wytrzymać. Składamy ręce do Boga, gdy wyjeżdża choćby na dzień.

Ja liczę z niecierpliwością dni do Twego powrotu i do wyjazdu stąd. Bardzo chciałabym, żeby to było już – wczoraj.

List ten mam zamiar wysłać przez okazję, gdyż znajomy Bumka⁹ jedzie jutro do Francji i wrzuci go gdzieś do skrzynki, tak że powinien go dostać bardzo szybko, o ile naturalnie jesteś w Paryżu.

Twój list był jakiś dziwny. Co za wiadomości miałeś z kraju. Dlaczego piszesz tak ogólnikowo? Właściwie nic nie wiem z tego. I dlaczego tak nagle piszesz o starości i śmieszności? To są kompleksy, którym nie powinienes się poddawać. Zresztą pogadamy o tym, jak przyjedziesz. Siedzę w tej Bolonii jak na pustyni i wszystkie wiadomości dochodzą tu z bardzo dużym opóźnieniem. Poza tym nie komunikuję się prawie z nikim, a na swoich kolegów z b. małymi wyjątkami, już naprawdę nawet patrzeć nie mogę. Nie

znaczy to zresztą, żebym się z nimi kłóciła – raczej nie rozmawiamy. Nudzą mnie, śmieszą i męczą. Całe dnie spędzam sama i nawet sama chodzę do kina. Prawdziwe rekolekcje. Z najnowszych sensacji – Szeł Prop[agandy] się zmienił. Była podobno wałkowana sprawa powrotu Józia [Czapskiego]. Ostatecznie został płk Protasewicz¹⁰, z dywizji Twego brata. Podobno Bornholtz¹¹ będzie zastępcą. Ma być ogromna czystka i cały Rzym trzęsie łydkami w obawie o ciepłe posadki. Zresztą bliższych szczegółów nie znam, w każdym razie jest małe trzęsienie ziemi.

Bumek prosił, żeby Ci napisać, że wszystkie Twoje sprawy przedstawił, że w związku z powyżej podanymi zmianami nie wie, jakie będzie załatwienie, tym niemniej pewne zmiany na zewnątrz są możliwe. Zjazd będzie, delegacja będzie przyjęta – Zagórskiego¹² zawiadomiłam, że dostanie depezę. Bumek podkreśla, że 100% podtrzymuje Brukselę i prosi Cię, żebyś tu przysłał Nulka¹³. Zresztą o ile mi wiadomo, na Brukselę ma również nie tylko wielką ochotę, ale po prostu się przygotowuje duchowo i materialnie Twój „przyjaciół” Karolek H[irschberg]. Muszę Ci powiedzieć, że na tego bufona bez odrazy nie mogę się patrzeć i nie umiem nawet tego ukryć, gdy z nim rozmawiam. Wyjątkowo nieprzyjemny pasażer.

Proszę Cię bardzo nie tyle, żebyś pisał, bo nie wiem, kiedy ten list dostaniesz, ale żebyś przyspieszył swój przyjazd. Każdy dzień jest ważny. Zmiany następują bardzo szybko i powinienes tu być.

[odręcznie:] Dużo serdecznych myśli i trzymaj się.

[Zosia]

¹ Henryk Giedroyc (1922).

² Stanisław Gierat (1903–1977).

³ Ludwik Łubieński (1912–1996).

⁴ Adam S. Sapieha (1867–1951).

⁵ Ludwik Rubel (1897–1958).

⁶ Władysław Wachała (1905).

⁷ Tadeusz Siuta (1913–1978).

⁸ Ryszard Mossin (1910).

⁹ Benedykt Heydenkorn (1905–1999).

¹⁰ Michał Protasewicz (1898–1983).

¹¹ Tadeusz Bornholtz.

¹² Wacław Zagórski (1909–1982).

¹³ Jan Karczewski (1900–1947).

Drogi Jurku,

Wysłałam dziś do Ciebie polecony list pocztą lotniczą, ale korzystam z okazji, ponieważ do Paryża jedzie dziś przez Bolonię szwagier Ludwika, żeby znów parę słów dopisać i powtórzyć kilka rzeczy, gdyż nie wiem, które „pismo” wcześniej dotrze do Twoich rąk. Otóż dostałam Twoje dwa listy, jeden z 6 bm. – 12, a drugi z 13 bm. czyli ten, który przywiózł Wraga¹ – 18, tj. wczoraj. Poza tym wczoraj dostałam depeszę. Pisałam do Ciebie po otrzymaniu pierwszego listu i myślę, że po kilku dniach ten list dostałeś, bo był wysłany przez okazję. Byłabym zadowolona, ale nie wiem nic konkretnego. Z Wachałą w ogóle się nie mogę skontaktować. Dzwoniłam x razy, ale nigdy nie mogę go złapać. Wysłałam do niego list przez Ludwika, który był w Rzymie i Ludwik mówił mi, że przez trzy dni, mimo kilkakrotnych przypominania, Wachała po list nie przyszedł i w końcu Ludwik zostawił go u portiera i naturalnie nie przywiózł mi odpowiedzi. Z tego co mówił mi Lang i Gierat wiem, że sprawa Instytutu postępuje z wolna naprzód, że Wachała znalazł mniejszą drukarnię i że niedługo ma sfinalizować całą historię, ale są to wiadomości od osób trzecich. Wiesz zapewne, że Wachała jest administratorem tygodnika „Życie Tygodnia”², wydawanego przez Baua³ i Dziunka⁴, a Fryd⁵ jest u nich redaktorem technicznym, łącznie z Siutą siedzą w Rzymie i mam wrażenie, że dobrze im się powodzi i nie zanedbują spieszności. Zresztą może się myśle. Myślę jednak, że powinienes jak najszybciej przyjechać, bo tylko pańskie oko konia tuczy. Czekam zresztą na Twój przyjazd z zupełnie osobistych względów również. Przede wszystkim bardzo chciałabym Cię zobaczyć, a po drugie chciałabym i ja również pojechać już do Rzymu. Do Dudka wszystko wysłałam i pisałam do niego kilkakrotnie. W dzisiejszym liście podałam Ci, że ma iść na studia i że nie wie, czy zdąży pojechać na urlop przed odkomenderowaniem na studia. Lulu podobno się stara, ale jakoś to bardzo długo trwa.

Rewolwer Twój się znalazł i jest u mnie. Flanelowe spodnie odebrałam od krawca i uważam, że są doskonale zrobione.

Z plotek lokalnych. Ludwik był na długiej rozmowie u nowego szefa oddziału. Podobno bardzo sympatyczny, ale na propagandzie się nie zna. Ludwik rozmawiał wczoraj w Ankonie z Wragą, ja – bardzo żałuję, ale go nie widziałam, bo paczkę od Ciebie zostawił u Hirszberga, napisał tylko kartkę, że będzie tu za kilka dni.

Janek Ulat[owski]⁶ jedzie na bezterminowy zdaje się urlop do Francji i Niemiec. Lang ma również urlop i jedzie do Rzymu. Ko-

walewski⁷ wygrał w pokera w ciągu dwóch wieczorów milion lirów w walucie kasztanowo-dolarowej i, jak oświadczył Ludwikowi, ma do Ciebie żal, że nie chcesz go wziąć do spółki, a mógłby lekko 10 000 funtów do „sprawy” dołożyć. Nie ma to, jak mieć znajomych milionerów. Okazuje się, że z Bornholtzem to była plotka. Pozostaje jako szef Wydziału. Stahl⁸ również jeszcze siedzi, ale jego pozycja jest zachwiana. Widziałam tu również dwa dni temu Żabę⁹ wracającego od Was i muszę powiedzieć, że coraz mniej mam do niego już nie tyle sympatii, bo tej nigdy nie miałam, ale po prostu zaufania. Jest dla mnie oślizgły i nieprzyjemny, poza tym zarozumiały niesamowicie, a w gruncie rzeczy głupi. Zabawne, że Twój przyjaciel Wraga podobno odniósł identyczne wrażenie, a mówił mi o tym Ludwik, który z nim rozmawiał.

Pamiętaj dla [Zygmunta] Gorgola o słownikach. Miałam znowu list od niego – bardzo o to prosi. Mówił mi Lang, że starają się z Gieratem ściągnąć go do Janikowskiego¹⁰, ale nie wiedzą, czy to się uda.

Hirszberg kupił sobie Mercedesa-Benza i ostatnio ukazuje się w przebraniach: cywilnym względnie narciarskim. Zdaje mu się, że jest przynajmniej księciem Windsoru, ale według moich skromnych obserwacji przypomina raczej hr. Szapiro z Nalewek. Okropny zupełnie facet, trudno na niego patrzeć i z nim rozmawiać. Wyjeżdża dziś czy jutro do Cortiny na narty i prosił, żebyś do niego czy po niego telegrafował, jak przyjedziesz. Krążą o nim różne niepochlebne kawałki i raczej myślę, że dużo w tym jest prawdy.

19 II [1946]

Listu wczoraj nie skończyłam, bo wymieniony szwagier Ludwika jedzie dopiero dziś.

Był u nas przed godziną Tadzio Zajączkowski¹¹ – również czeka na Ciebie. W ogóle w gronie znajomych czekają na Ciebie jak na Mesjasza – więc przyjeżdżaj szybko.

[odręcznie:] Serdecznie Cię ściskam.

[Zosia]

⁷ Ryszard Wraga [Jerzy Niezbrzycki] (1902–1968).

² „Życie Tygodnia” – tygodnik wydawany w Rzymie od lutego 1946 roku.

³ Zdzisław Bau (1912–1991).

⁴ Ignacy Kleszczyński.

⁵ Józef Fryd (1905).

⁶ Jan Ulatowski (1907–1997).

⁷ Władysław Junosza-Kowalewski (?–1967).

⁸ Zdzisław Stahl (1901–1987).

⁹ Jarosław Żaba (1915–1983).

¹⁰ Stanisław Janikowski (1891–1965).

¹¹ Tadeusz Zajączkowski (1897–1957).

Rzym, 7 V 46

Drogi Jurku,

Znowu piszę pod kalką na Paryż i Londyn, bo nie wierzę, żebyś natychmiast wyjechał z Paryża – z jednej strony, ale z drugiej wolę się ubezpieczyć i na tę ewentualność.

Otóż jest dużo kłopotów. Przede wszystkim zachorował Tadzio [Siuta]. Kolano spuchło mu jak bania i jak twierdzi lekarz włoski – ma wodę w kolanie. Jest to naturalnie o wiele lepsze niż woda w głowie, ale zdaje się, że długotrwałe. W każdym razie Władek [Wachała] odwiózł go dziś do szpitala, gdzie mu zrobią prześwietlenie. Jest to o tyle nieprzyjemne – poza przyjaźnią do niego, że Wolski¹ znowu jest sam w drukarni, ewentualnie na łasce Mańkowskiego², no i dużo innych rzeczy wskutek tego jest zahamowanych. *Trylogii* Reymonta jeszcze nie mam – Grudziński³ obiecał wziąć od Michałowskiego⁴, ale jak to Grudziński – trzeba uzbroić się w cierpliwość. Z drugiej strony piuję o to samo Olechowskiego⁵, ale też jak dotąd bez rezultatu. Co do słownika polsko-niemieckiego – to podobno mówił Ci Siuta, że miał je Alexandrowicz⁶. Tu zdobyć nie można – natomiast podobno można kupić, jeżeli znajdzie, to to zrobię. Ostatecznie słownik zawsze się przydać może w porządnym Instytucie.

Z płk. Sieleckim⁷ wszystkie sprawy zostały wczoraj załatwione, z tym że w końcu tego tygodnia ma przysłać list, w którym wyznaczy któregoś z Was do podejmowania należytej mu tenuty dzierżawnej. Esterson ma tego dopilnować. Esterson wyjechał – twierdząc, że wszystkie sprawy, które interesują Sprawiedliwość zostały zakończone, że jego interesuje tylko drukarnia i że zresztą Instytut jeszcze nie istnieje, bo nie został zarejestrowany. Władek był dziś w Intendenturze i złożył odpisy umów zawartych z Sieleckim. Dziś o 6-ej mamy iść razem do Clarottiego⁸. Pojutrze Władek chce

wyjechać do Korpusu, więc znowu pewne rzeczy ulegną zahamowaniu.

Fryd zdołał namówić Janikowskiego na wydanie przez Związek Ziemi Wschodnich jednodniówki w rocznicę Piłsudskiego. Dostał na rękę 50 000 lir.[ów] zadatku i już ją robi w naszej drukarni. Ma wyjść w formacie „Życia [Tygodnia]” i w jego objętości, na bardzo ładnym papierze: jeden artykuł i same zdjęcia z podpisami. Cena egz. 15 lirów – czyli o 20 mniej niż „Życie”. Obydwaj z Wąchałą już się cieszą, jakie to zrobi wrażenie w Korpusie. Poza tym Wąchała ma jeszcze jeden powód do radości. Po rozstaniu się z nim Kleszczyński pojechał do Korpusu po forszę – należy im się milion – i przywiózł 10 lirów reszty z tysiąca, który zabrał na drogę. Twierdzi, że „Życie” zdycha.

Wczoraj dzwoniłam do Bolonii. Rubel wyjechał do Rzymu, miał nocować we Florencji. Jeszcze go tu nie ma, ale mamy nadzieję, że sfinalizujemy ten obrazkowy dodatek. Zobaczymy.

Rozmawiałam już kilkakrotnie z Gieratem, ale ciągle nie ma odpowiedzi ani na moje mieszkanie, ani co do Wolskiej⁹. Gierat był dziś u Skowrońskiego¹⁰, który robił takie wrażenie, jakby o niczym nie wiedział, nie negując zresztą kategorycznie wyjścia [wysłania?] po nią depeszy. W każdym razie to nie jest porządnie załatwione. Materiałów piśmiennych z mat. kanc. nie dostaniemy. Generał pisma nie podpisał, ponieważ my jesteśmy instytucją cywilną. Zdaje się, że on ma rację.

*Księgi Pielgrzymstwa*¹¹ jeszcze się nie składają, ponieważ może uda się je zrobić w drukarni watykańskiej.

Pamiętniki Wielhorskiego¹² Telmany¹³ ma u siebie i dał je swemu lektorowi – więc prawdopodobnie on chce je wydać, zresztą to jest straszna kobyła i nikt by tego nie czytał. Co do fotografii Beniowskiego – to Siuta twierdzi, że ani u Michałowskiego, ani gdzie indziej nie ma takiej, którą można by reproduковать, natomiast możesz zdobyć ją w Londynie. Jest w książce [Arkadego] Fiedlera o Beniowskim pt. *Największy awanturnik świata* czy coś w tym rodzaju. Mógłbyś przywieźć kliszę.

Podobno Rublowi proponowano miejsce Telmanego, ale się nie zgodził. Nie wiem, czy to prawda, ale myślę, że od Rubla dowiem się wielu plotek.

Przywieź Nr 1 i 3 „Wiadomości” Grydzewskiego.

W Mimi Naglerowej¹⁴ zrobiliśmy sobie wroga, ponieważ Wolski dał jej Sienkiewicza do kliszarni i drab zginął – nawet my nie mamy kliszy. Mimi chodzi jak lwica po hotelu, gdyż sama również chciała dać kliszę do bieżącego numeru „Ochotniczek” i twierdzi,

że już nigdy nie będzie z nami rozmawiała. Naturalnie cała burza spadła na mnie, bo ja się pierwsza na nią napatoczyłam.

Czytałam Kuszelewską¹⁵ i myślę, że to można wydać. Jest co prawda trochę przesłodzone, ale jeśli Grydzewski drukuje w „Wiadomościach”, to i my możemy. Na pewno będzie kasowa – ludzie zawsze chętnie czytali Mniszkównę i Courths-Mahlerową¹⁶ – tylko głośno tego nie mówili.

Powiedz, a raczej napisz, co mam zrobić z Orwidem¹⁷, gdy się zgłosi. Nie można nikomu zawracać głowy, bo potem dochodzi do scysji, tak jak to miało miejsce dziś z Wolskim i Ostrowskim¹⁸. Przecież zawsze można komuś powiedzieć, że tego nie wydrukujemy i już.

Dziś przyszła depesza od Pawlikowskiego¹⁹, że leży chory w Porto Recanati. Że *Król Duch* jest już gotowy – tylko część trzeba przepisać i zapytuje, czy angażuje się Wojciechowską z YMCI. Nie wiem, co z tym fantem zrobić, bo nie znam żadnej Wojciechowskiej.

Wczoraj dostałam list od p. Mai²⁰. Pisze o warunkach kolportażu w Anglii. Odpiszę, co wiem, ale myślę, że Ty już sfinalizujesz całą rzecz. Tylko błagam Cię nie obiecuj jednocześnie Róbcósowi²¹ i innym Świętym, bo naprawdę pozrażasz sobie resztę ludzi, a o to chyba Ci nie idzie.

Bielatowicz²² mówił dzisiaj, że Szurowski z referatu Foto[graficznego] ma około 800 doskonałych zdjęć – same *polonica* we Włoszech i sugeruje, że gdyby do tego dorobić odpowiednie opisy (podobno ma kogoś, kto mógłby to zrobić), można byłoby wydać piękny album, który mógłby być pozycją w naszym Instytucie – zastanów się nad tym, bo mnie się to podobało, tym bardziej że jesteśmy we Włoszech.

Pamiętaj o czcionkach, bo ich brak zarżnie nas zupełnie.

*Legiony*²³ już złożone. Widziałam dziś obwolutę. Zupełnie przyjemna. Jest nadzieja, że za tydzień się ukaza, ale gorzej z reklamą, bo Tadzio chory, a Grudziński zajęty wstępem do *Ksiąg*.

Dałam do przepisania Bluma²⁴. Przekład według mnie jest bardzo zły – nie treściowo, ale układ zdań fatalny. Kobyły nie zdania i w każdym po dziesięć średników. Tak pisano chyba w końcu ubiegłego stulecia. Poprawiam co mogę, ale nie znam oryginału – więc boję się, żeby nie zmienić sensu.

No na dzisiaj dosyć. Jestem bardzo zmęczona i sama źle się czuję. Wczoraj pisałam do 12-ej, bo jeszcze zmusiłam Siutę do napisania posłowa do *Beniowskiego*²⁵ i notatki na obwolutę, bo nie wiem,

kiedy z tego szpitala wyjdzie. Musiałam się naturalnie poświęcić i to przepisać.

Ściskam Cię serdecznie i czekam na obszerny list.

[Zosia]

¹ Jan Wolski (1905).

² Aleksander Mańkowski, obywatel włoski, formalny właściciel Casa Editrice Lettere.

³ Gustaw Herling-Grudziński (1919–2000).

⁴ Józef Michałowski (1870–1956).

⁵ Jan Olechowski (1917–1956).

⁶ Jerzy Alexandrowicz (1886–1970).

⁷ Stanisław Sielecki (1898–1952).

⁸ Giorgio Clarotti.

⁹ Wacława Wolska.

¹⁰ Stanisław Skowroński (1896–1974).

¹¹ Zob. Adam Mickiewicz, *Księgi Narodu Polskiego i Pielgrzymstwa Polskiego*, Instytut Literacki, Rzym 1946.

¹² Władysław Wielhorski (1885–1967).

¹³ Adam Telmany.

¹⁴ Herminia Naglerowa (1890–1957).

¹⁵ Stanisława Kuszelewska-Rayska (1894–1966).

¹⁶ Hedwig Courths-Mahler (1867–1950).

¹⁷ Roman Orwid Bulicz (1902–1973).

¹⁸ Wiktor Ostrowski (1905–1992).

¹⁹ Michał Pawlikowski (1887–1970).

²⁰ Maria Prądyńska (1908–1994).

²¹ Zbigniew Raciński (1906–1997).

²² Jan Bielatowicz (1913–1965).

²³ Zob. Henryk Sienkiewicz, *Legiony*, Instytut Literacki, Rzym 1946.

²⁴ Leon Blum (1872–1950).

²⁵ Zob. Wacław Sieroszewski, *Beniowski. Powieść*, Instytut Literacki, Rzym 1947.

[Rzym] 9 V 1946 (list trzeci)

Drogi Jurku,

Do dziś wieczór nie miałem żadnej wiadomości od Ciebie, a myślałam że przynajmniej po przyjeździe do Paryża przysłesz depezę, żebym chociaż była zorientowana, dokąd pisać do Ciebie. Ponieważ nie wiem, ciągle piszę pod kalką na Paryż i Londyn.

Coraz bardziej żałuję, że wyjechałeś i naprawdę staraj się jak najszybciej zlikwidować wszystkie sprawy i wracać, bo bez „głowy” trudno cokolwiek prowadzić.

Nie chcę Cię straszyć i nie twierdzę wcale, że dzieje się tu coś złego, sedno leży w tym, że właściwie mało co się dzieje. Co do Wolskiego, to muszę przyznać, że jest bardzo miły, dość dowcipny i wygadany, ale on nie ma serca do drukarni i nie ma zamiaru się jej poświęcać. W tym stanie rzeczy – to jest w początkach i z niewojskowym, a zupełnie obcym personelem, powinien tam siedzieć kamieniem, żeby się przede wszystkim wciągnąć, a po drugie, żeby robotnicy wiedzieli, że jest ktoś nad nimi, bo inaczej się rozpuszczą – to jest nieuniknione. Wolski ma ochotę wydawać książki, a nie zajmować się stroną techniczną, toteż ciągle coś tam dłubie, oblicza, ogląda papier itp, a to nie jest przecież jego zadaniem. On nawet robi chętnie korektę i np. upiera się, że robi rewizję *Legionów* i że ja nie muszę tego oglądać, a ja jestem wręcz odmiennego zdania. Poza tym jest rozgoryczony, bo przyjechała Beckowa¹ i przywiozła mu list od żony, która nie może wyjechać bez pozwolenia Caserty. Gierat twierdzi, że nie może w kwatermistrzostwie znaleźć śladu wysłania po nią depeszy. Ona tymczasem rzuciła posadę i stąd pretensje, boś ty mu obiecał, że najpóźniej w dwa tygodnie po nim przyjedzie.

Tadzio leży w szpitalu i wygląda to na rzecz długotrwałą, gdyż na razie szukają przyczyny jego choroby – czyli wody w kolanie, a ponieważ nie miał gruźlicy ani syfilisu – więc pozostała tylko trzecia ewentualność (taka, jak u Stahla kiedyś), to znaczy, że woda z głowy spłynęła. W każdym razie to jest bardzo niepokojące, bo właściwie, pomijając, że miał siedzieć w drukarni, on jest jedynym facetem w tym całym towarzystwie, który pamięta, co się do niego mówi i załatwia to, o co się go prosi. Reszta to naprawdę szkoda gadać. Ja nie mam sił, żeby cały dzień czatować na Władka i 10 razy przypominać mu o sprawie, której i tak nie załatwi. Obecnie nie jest już w „Życiu”, a tym niemniej nie załatwił dotąd żadnej sprawy. Byłam z nim przedwczoraj u Clarottiego, ten ostatni jest zajęty polityką i wyborami [i ma] bardzo mało czasu. Twierdzi, że sprawa rejestracji Instytutu jest już na najlepszej drodze i że za kilka dni powinna być załatwiona. Zgłoszenie polsko-włoskiej spółki może nastąpić dopiero w kilka miesięcy potem. Umowa o dzierżawę offsetów dotąd nie zawarta. Władek miał dziś finalizować to z Clarottim i Argento², ale tego nie zrobił i twierdzi, że offsety na razie nie dają dochodów, więc umowę można zrobić tylko wtedy, jak będzie na nie robota. Przypominałam jemu wczoraj 10 razy, żeby powinszował Janikowskiemu imienin, ale poszedł dopiero dziś z Wolskim, ale naturalnie o mieszkaniu na Villini w ogóle nie wspomniał i tak jest w kółko. Obawiam się, że przy takim załatwianiu spraw daleko nie zajdziemy.

Księgi mają się pojutrze składać i trzeba wiedzieć, jaki będzie nakład, zadepeszuj zaraz z Londynu, na ile można liczyć. Cena 70 lir.[ów] egz. Czyli jakieś 1 sh i 6 d., ale pamiętaj, że na Londyn trzeba do ceny każdej książki doliczyć co najmniej 40%, bo jak mi pisała p. Maja tam żądają 50 [%] rabatu księgarskiego. *Trylogię* Reymonta ma już Wolski, a dziś kupiłam za 1000 lirów słownik polsko-niemiecki i niemiecko-polski i chyba pojutrze będę mogła zadepeszować do Londynu kalkulację. Był wczoraj i dziś Rubel, złożyliśmy mu ofertę na dodatek niedzielny i pojechał to załatwić do Ankony. Sądzę, że to jednak sfinalizuje i że za 10 dni można by drukować, ale on chce, żebyśmy robili wszystko łącznie z redakcją, wliczając za to koszty. Jediną osobą, która może taki dodatek robić ze względu na znajomość rzeczy i punktualność – jest Fryd. Wiesz dobrze, że nigdy nie darzyłam go specjalną sympatią i nie miałam do niego specjalnego zaufania, ale rozejrzawszy się w sytuacji uważam, że powinniśmy go przyjąć do pracy w drukarni, z tym że do niego należałaby jedynie strona techniczna oraz werbowanie klientów – do czego tylko on się nadaje, a Wolski byłby nadal kierownikiem i dysponował pieniędzmi. Naturalnie trzeba mu dobrze zapłacić i wtedy on nie będzie dorabiał na boku, ale w końcu musi być w tym ktoś, kto ma głowę do interesów i naprawdę umie pracować. Fryd zresztą nie chce robić dodatku będąc w „Życiu”, bo te sprawy kolidują ze sobą – nie w czasie – bo on „Życie” robi 3 dni, a taki dodatek robiłby tylko 1 dzień – ale w doborze materiału. On sam twierdzi, że płacenie mu 40 000 za robienie takiego dodatku byłoby nonsensem, ale z drugiej strony nie widzi powodu dla rezygnowania z forsy dla ideałów. Musimy jednak w końcu pokazać, że jesteśmy w stanie robić roboty offsetowe, gdyż inaczej nie dostaniemy dalszych. Rubel wystąpił z jeszcze jednym projektem – robienia tygodniowego pisma sportowego. Pali się do tego Bornholtz i Korpus. Naturalnie takie pismo robiłby ktoś z Korpusu, ale my musimy mieć kogoś do roboty technicznej, bo za to nam będą płacili. Gdyby to doszło do skutku, uważam, że trzeba przyjąć Fryda. On miał ze mną dziś długą rozmowę. Ja nie jestem naiwna i wiem, że chce przyjść do nas i że pewne rzeczy koloryzuje – zresztą ja go naprawdę nie lubię – ale jego uwagi o naszej drukarni są w dużej mierze słuszne. Jak ci już pisałam, Fryd namówił Janikowskiego na jednodniówkę o Marsz[ałku] Piłsudskim i zrobił ją w jeden dzień. Właściwie *gratis* – żeby pokazać, jak on pracuje. Zdjęcia nie są dobre – bo wzięte ze starych gazet i z książek i musiał się napracować sporo i miał żal, że ani Wolskiego, ani

Władka właściwie to bardzo nie obchodziło – chociaż pierwsza robota tego rodzaju jest naprawdę ważna.

Zresztą na Władka jestem naprawdę wściekła. Jest godzina 11 w nocy, on jutro skoro świt jedzie do Korpusu – miał być u mnie, mieliśmy się rozliczyć, ma wziąć szereg listów, miałam z nim porozmawiać o sprawach, które powinien załatwić, między innymi idzie o odebranie listu od płk. Sieleckiego. Czekałam na niego jak głupia cały wieczór i dotąd go nie ma i jestem w strachu, że wróci o 2-iej w nocy, a wyjdzie o 6-iej bez zobaczenia się ze mną, ale ja na to naprawdę nie mogę nic poradzić – mogę się tylko złościć i robię to przez cały dzień. Tak samo od twego wyjazdu proszę Wolskiego o ten p[rotokół] z podziału prowiantu. Chciałam, żeby Wachała zabrał – no i nie mam tego [do] dnia dzisiejszego, a zresztą Wolskiego też nie ma. Zabawa w niańkę, która cały dzień lata za swoimi pociechami i ciągle im zwraca uwagę – zupełnie mi nie odpowiada, zwłaszcza że widocznie nie mam zdolności pedagogicznych, gdyż nie mam żadnych rezultatów.

Twój przyjaciel Funarski również jest dobry. Pojechał na ko[...] do Rubla i powiedział mu, że Ty mu opowiedziałeś o nadużyciach i ska[ndalach], a ja miałam to potwierdzić. Przypominasz sobie chyba rozmowę w [...]ności, kiedy go zwymyślałam, gdy usiłował niezbyt zręcznie wyciąg[...] jakieś historie. I potem wszystko się skupia na mnie, a to wcale nie jest przyjemne.

Czy wiesz o tym, że milion, który przywiózł Tadzio – przeznaczony jest zgodnie z dołączonym pismem – na kapitał zakładowy dla Instytutu, z tym że to jest pożyczka, która musi być spłacona w czterech ratach miesięcznych, płatnych poczynając od 1 lipca r[oku] b[ieżącego]? Bardzo jestem ciekawa, jak z tego wszystkiego wybrniemy.

Piszę Ci same nieprzyjemne rzeczy, ale wierz mi, że jestem wściekła i muszę się z kimś podzielić tymi uczuciami, a mogę tylko z tobą, choć listownie. Przez cały tydzień nie wysadziłam nosa z hotelu – ciągle coś dłubię, telefonuję, piszę, no i wypatruję twoich pupilów. Naprawdę jestem zła i marzę, żebyś wrócił, bo czuję się odpowiedzialna za wszystkie niezłatwione sprawy, których niestety sama nie mogę załatwić. Ściskam cię serdecznie i czekam na list, może jutro jeszcze dopiszę, jeśli humor mi się poprawi, lub gdy zajdzie coś specjalnego. W niedzielę wylatuje Marymont³ do Ameryki, więc napiszę list do Lechonia⁴ i podam mu szczegóły o naszych książkach.

Listu nie wysłałam dzisiaj (pisałam wczoraj wieczorem) i ponieważ zrobię to dopiero jutro rano, więc dopisuję kilka słów. Tak jak się domyślałam ani Wachała, ani Wolski nie wrócili do 12 w nocy i mimo że prosiłam, nie zatelefonowali po powrocie „żeby mnie nie budzić”, ale szczęśliwie udało mi się Wachałę złapać rano i wszystko mu powiedziałam. Czy coś załatwi, zobaczymy – pewnie tak jak tu.

Dostałam dziś od Gierata przedłużenie mojego mieszkania (Ty jesteś skreślony) z pismem do Gierata od W[isłowskiego]⁵, stwierdzającym, że „to nie wygląda poważnie – przed miesiącem proszono mnie o przedłużenie ostatecznie o miesiąc, teraz to samo. Nie mam żadnej wątpliwości, że po miesiącu znowu będzie to samo”. Słowem, nie był widać zachwycony.

Napisz mi, ile mam wypłacić honorarium Biełatowiczowi za przedmowę do *Legionów*, bo zdaje się, że ma ochotę zainkasować.

Dostałam dziś, tzn. przyszedł na moje nazwisko do Ciebie rozpaczliwy list od administracji „Tygodnika Polskiego” z N[ew] Yorku, że przysłali Propagandzie w tym roku 16 000 egz. „Tygodnika”, że od przeszło pół roku nie tylko nie otrzymali ani grosza, ale nawet Telmany nie odpowiedział na żaden list, że są w tragicznej sytuacji i zmniejszyli nakład oraz zredukowali swoje pensje, ale jeżeli nie otrzymają należności z Korpusu (około 3000 dol.), to 1 czerwca będą musieli zamknąć pismo. Proszę Ciebie o interwencję u Generała. Jeżeli uda mi się złapać Protasewicza, to jutro mu telefonicznie ten list powtórzę – niech się martwi. Telmanego co prawda w tej chwili nie ma, ale nawet gdyby był, to i tak nie warto z nim w ogóle rozmawiać.

Poza tym jestem zmachana jak pies i jak przyjedziesz, biorę przynajmniej tygodniowy urlop. Dziś całe popołudnie od 3-ej pisałam Gustawowi wstęp do *Ksiąg*. Bardzo dobry – tylko trochę rewolucyjny. Wymyśla nam słowami Mickiewicza, aż trzeszczy i „szarga narodowe świętości”. Ale jest dobry. Gdybym wiedziała, gdzie jesteś, przysłałabym Ci odpis, ale to duża kobyła. Dziwię się, że dotąd nie podałeś swojego m[iejsca] p[ostoju].

Do tej chwili – jest 11 w nocy – robiłam drugą korektę *Legionów*, jutro mają się drukować 4 arkusze i rano idę do drukarni, żeby zrobić rewizję, bo się boję, że zostawią błędy. Fotografii nie będzie, bo jak Ci już pisałam została zgubiona.

Załączam list do Hemingwaya agentów. Podany przez Ciebie adres brzmi Heinemann and Zsolnay Ltd, London. Podpisz i wyślij z Londynu. Ściskam Cię mocno.

[Zosia]

¹ Jadwiga Beck (1896–1974).

² Salvatore Argento.

³ Julian Marymont (1907).

⁴ Jan Lechoń (1899–1956).

⁵ Kazimierz Wiśniowski (1886–1964).

[Rzym] 13 V 46 (List 5)

Drogi Jurku,

Mam nadzieję, że list Nr 4, który wysłałam przez odlatującego do Paryża Marymonta jeszcze Cię tam nie złapał, w każdym razie kopię jego z kalkulacją *Trylogii* Reymonta – załączam. Zła jestem na Ciebie bardzo, że nie zadepeszowałeś po przyjeździe do Paryża, ostatecznie można było to zrobić, w każdym razie proszę, żebyś nie zapomniał o tym na jakieś dwa dni przed wyjazdem z Londynu, żebyś przestała wysyłać tam listy. Rano dziś telefonował do mnie Wąchała z Korpusu (dziś ma wrócić), że przyjechał Józio [Czapski] i przywiózł od Ciebie pocztę. Mam nadzieję, że mi ją dziś doręczy i jeśli będą jakieś zapytania i będę mogła na nie odpowiedzieć, to wieczorem dopiszę. *Legiony* się drukują i w końcu tygodnia powinny być gotowe. Zecer jest dobry i druga korekta była raczej niewielka, ale najgorzej jest z matrycami – bo te obstalowane będą chyba za pół roku, na razie nie ma widoków, żeby je skończyli i jeśli Ty nie przywieziesz, to będzie naprawdę kłapa. „Na Szlaku Kresowej”¹ chciało przejść do naszej drukarni, ale jak składać bez polskich znaków. Co do ilustrowanej składki dla Rubla, to była konferencja w Ankonie i nasza oferta była tańsza od sześciu przygotowanych przez Telmanego i Kozubskiego, tym niemniej w rezultacie Telmany oświadczył, że on ma jeszcze jedną tańszą, którą zaoferowali mu przez telefon i decyzja nie zapadła. Jest to świńskie postawienie sprawy, bo po obejrzeniu wszystkich ofert może wejść w kontakt z jakąś drukarnią, która mu zrobi kalkulację o 5 centimów niższą, otrzymując jakiś inny ekwiwalent, ale chyba nie powinno nas to dziwić. Wąchała ma zebrać dane odnośnie *Ksiąg* i bardzo byłoby dobrze, żebyś i Ty jak najszybciej zatelegrafował, na ile można liczyć w Anglii, bo musimy się zorientować odnośnie nakładu.



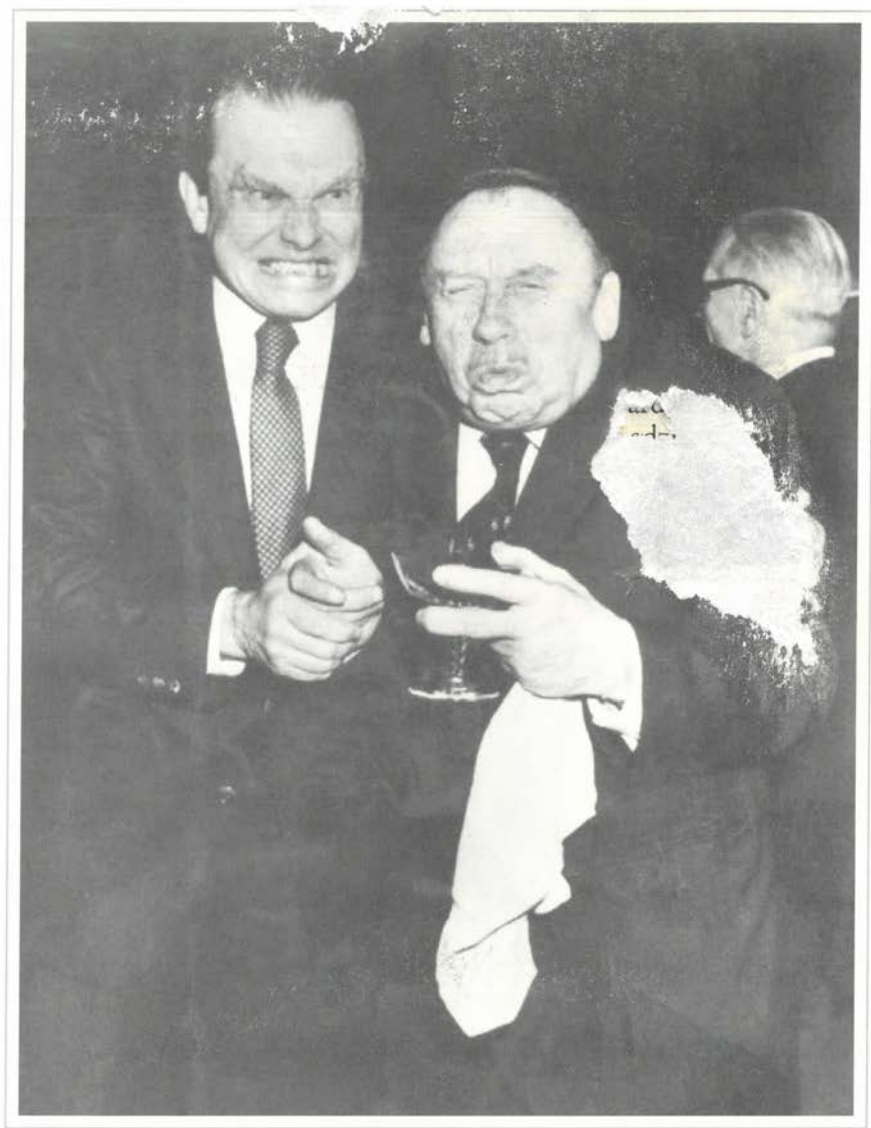
Zygmunt Hertz w latach siedemdziesiątych



Jerzy Giedroyc i Henryk Giedroyc, ogród Maisons-Laffitte



Jerzy Giedroyc i Zofia Hertz, Paryż, powrót z drukarni



Czesław Miłosz, Stefan Kisielewski (Kisiel), Sztokholm,
grudzi 80 roku



90. urodziny Jerzego Giedroycia; stoją: Marek Krawczyk, Ludwik Lewin, Marek Karp; siedzą: Wojciech Skalmowski, Czesław Bielecki, Jerzy Giedroyc, Leopold Unger, lipiec 1996 roku



Jerzy Giedroyc, Iza Chruślińska, Maisons-Laffitte, 1992 rok

Był tu wczoraj i dziś Turkiewicz², wyszedł z Teatru i bardzo się pali, żeby go ściągnąć do Instytutu. Zapędziłam go zaraz do roboty znaczka, ale niestety zdarzył mu się wypadek, temperując jakiś patyczek do tuszu zaciął się tak fatalnie żyłką, że nie mógł rysować i *Legiony* znaczka wskutek tego nie będą miały, jak również fotografii Sienkiewicza, o czym już pisałam. W każdym razie Turkiewicz obiecał w jak najszybszym czasie dostarczyć kilka projektów znaczka³.

Był tu przed chwilą u mnie kpt. Kępiński⁴ – ten od tej sowieckiej satyry, ma mi zostawić resztę – nie przeczytaną przez Ciebie – swojego rękopisu. Obiecałam mu wyszperać w Rzymie rosyjską maszynę do pisania i dać znać, a wtedy przyjedzie i całość przepiśnie. Całość ma 68 stron, więc jest to broszura, bardzo chce wydać i w końcu miesiąca z Tobą się skomunikuje. Tylko gdzie to będziemy drukować – chyba nie jako Instytut – i czy jeśli idzie o zbyt – liczysz wyłącznie na wykupienie nakładu przez sowieckie ambasady?

W poczcie od Józia do Ciebie, która przysłała przedwczoraj, są artykuły i rękopisy Micińskiego⁵ i list od Pani Czapskiej⁶, w którym pisze, że w czasie urlopu ma zamiar opracować wybór Norwida – powiedz jej, żeby tego nie robiła, gdyż wybór Norwida – zrobiony zdaje się przez Sznarbachowskiego⁷ – ukaże się w niedługim czasie w wydaniu YMCI.

Poza tym jest kartka od p. Skórzewskiej⁸, że ma zamiar tłumaczyć *Dla kogo dzwonią dzwony* – Hemingwaya, jeżeli dostarczysz jej książkę. Czy byś zamawiał aż trzy tłumaczenia?

Od p. Mai przyszedł list dzisiaj z uwagami odnośnie naszego planu wydawniczego, ale to sobie przeczytasz po powrocie. Natomiast przysłał dziś również list [Tadeusz] Szmidkowski, list ten otworzyłam, gdyż na kopercie jako wysyłający figuruje American Polish War Relief, więc myślałam, że to coś urzędowego, a zresztą niewiele się omyliłam, gdyż list traktuje o sprawach raczej nieosobistych. Przede wszystkim pisze on, że Piskorskiego nie ma w Szwajcarii i wróci za kilka tygodni. Zresztą nie robi Ci żadnych nadziei, żeby ww. wydatkował jakieś sumy na nasze wydawnictwa, gdyż zasoby ich są skromne, a poza tym sprawami intelektualnymi się nie zajmują, gdyż przede wszystkim muszą pomagać uchodźcom bez pracy i chleba. Natomiast podaje Ci adres genewski Polskiej Sekcji YMCA, która mogłaby się tą sprawą zainteresować, ale musisz tam sam napisać. Wysłał Ci Malraux⁹ i Gafenkę¹⁰. Koszt obu książek 17 i pół fr.[anków] szw.[ajcarskich], więc może mu odeślesz z Londynu, sądzę, że to będzie o wiele łatwiejsze niż stąd. Jednocześnie przyszedł z Fryburga 7 Nr „Pamiętnika Literackie-

go”, za który trzeba zapłacić 5 fr. szw. lub 17 kuponów pocztowych. Wyślij to również z Londynu na adres: „Pamiętnik Literacki” Czasopismo Literacko-Naukowe, Fribourg 2 case post. 14, Suisse. Przyszło na Twoje nazwisko. Szmikowski podaje Ci również adresy wszystkich wydawnictw polskich i warszawskich, wychodzących w Szwajcarii oraz podaje, w jaki sposób i z kim możesz się porozumieć w sprawie wydania Malraux po polsku. Prawa Malraux posiada mianowicie Dom Wydawniczy Skira, 4 Place du Molard, Geneve. Jeśli napiszesz oficjalne pismo, w ciągu 2 tygodni wymieniony p. Skira da Ci odpowiedź.

Na razie byłoby to wszystko. Wieczorem dopiszę, jeśli Wąchała przywiezie coś ważnego. Czuję się niezbyt dobrze, miałam dużo roboty z korektą i w ogóle cały dzień ktoś mi głowę zawraca i dla siebie naprawdę nie mam ani chwili czasu. Wczoraj korzystając z niedzieli odwiedziłam w szpitalu Tadzia, właśnie mu robili rano operację i wypompowywali wodę z kolana. Nie wiadomo, jak długo jeszcze poleży. Wieczorem byłam na kolacji z Kowalewskim. Kolacja była wspaniała, a ludożerca, który poprzedniego dnia znowy wygrał jakieś niesamowite pieniądze w pokera, opowiadał mi plotki na temat naszego Instytutu. Trudno dojść do tego, kto je właściwie robi. W każdym razie wojnę z Propagandą on na razie wygrał – za mądry je[st] dla nich. Podobno wyszła już *Śniadecka*¹¹, ale jeszcze egzemplarza nie widziałam. Kowal[ewski] mówi, że ślicznie wydana – zobaczymy.

Co do spraw drukarskich, to byłam kilka razy w drukarni, Argentó tam jeszcze siedzi, a Wolski sobie doskonale daje radę z włoskim (od dziś bierze lekcje), ale obawiam się, że gorzej z drukarnią. W każdym razie jest stanowczo za mało roboty i jak nie przywieziesz forsy, to będzie niedobrze, bo nie ma mowy o tym, żebyśmy z „zysków” pokryli zobowiązania offsetowe czy inne. Od jutra znowu zacznie się piłowanie Wąchały, żeby pozatłatwiał wszystkie sprawy, ale też nie ręczę za skutek.

Wohnout¹² przyniósł resztę swoich nowelek i piłuje, żeby jak najszybciej z nim sfinalizować, ale trudno to robić bez Ciebie.

Słyszałam, że Żeleński¹³ został wyznaczony na kierownika placówki belgijskiej, ale nie wiem, czy to prawda.

Listy moje do Ciebie są zupełnie tasiecowe, ale dlatego, gdyż chciałam, żebyś był poinformowany o wszystkich szczegółach naszych tutejszych zmartwień i radości. Wąchała jeszcze nie wrócił, ale przed chwilą dostałam od Wolskiego kalkulację słownika polsko-niemieckiego i zaraz Ci ją podaję. Otóż sprawa przedstawia się następująco: zrobiliśmy próbną fotografię i wyszła doskonale (tyl-

ko, jak już zaznaczyłam, słownik pisany jest gotykiem, co nie jest zachęcające). Przedruk słownika może nas interesować tylko w wypadku zakupu całego nakładu, bo jeżeli znajdziemy zbyt na 1000 egzemplarzy, to będzie dużo, więc nie możemy łądować w to pieniędzy, bo ich nie mamy. Słownik skalkulowany jest b. tanio. Przy 10 000 egz. dwa tomy na cienkim niezłym papierze w kartonowej okładce – 300 lirów (całość). W okładce z angielskiego płótna z wytłaczanymi literami itp. – dwa tomy – 520 lirów. Słownik może być zrobiony szybko. Cena (sądzę, że w rachubę wchodzi 300 lir.) obliczona jest w wypadku zakupu i nie można od niej już dawać żadnego rabatu, poza tym wchodzi w grę transport. Jeżeli wyślemy w paczkach za pośrednictwem wojska, to naturalnie koszty opakowania możemy wziąć na siebie, natomiast w wypadku wskazania przez nabywcę innego środka lokomocji – koszt transportu poniesie nabywca. Słownik byłby drukowany na offsecie. Trzeba załatwić sprawę autoryzacji. Musiałbyś porozumieć się z jakimś dobrym adwokatem i zapytać, czy w wypadku zdeponowania 8 do 10% (od egz. za 300 lir.) nie mielibyśmy jakichś w przyszłości trudności czy przykrości ze strony właścicieli praw autorskich. 8% od egz. za 300 lir. mieści się w kalkulacji, natomiast przy zamówieniu musiałbyś wziąć od nabywcy list gwarantujący, że w wypadku zgłoszenia większych pretensji niż 8–10% różnicę dopłaci nabywca. Dla orientacji podaję Ci, że Oddział Kultury wydał teraz słownik polsko-włoski i włosko-polski – też systemem fotograficznym – jest on o 1/3 mniejszy od naszego, wydany fatalnie, na okropnym papierze i kosztuje 360 lir. W wypadku gdyby chciano zakupić nie 10 000 egz., a jedynie 5000, cena będzie naturalnie wyższa, a mianowicie 400 lir. za całość w kartonie i 620 lir. za całość w płótnie.

Muszę Ci w ogóle powiedzieć, że nasze ceny są tak konkurencyjne, że bijemy wszystkie drukarnie, które robią polskie roboty, co zresztą na pewno nie wpłynie na powiększenie się robót, gdyż różne zamawiające kucyki [kacyki?] biorą procent od Włochów i dlatego zgadzają się na wyśrubowywanie cen i wątpię, czy będą chcieli pozbyć się swojego dochodu. Tak że zawsze jest niedobrze.

Godz. 12.00 w nocy

Przyjechał Władek i przywiózł od Ciebie pocztę. Jesteś jak zwykle marzyciel. W tej chwili jest maj 13, a raczej już 14, Czapskiego nie widziałam i nie zobaczę, gdyż pojutrze wyjeżdża do Mediolanu,

więc w jaki sposób mam przez niego przestać książki dla Stempowskiego¹⁴ – czy umowę z Blumem, zwłaszcza że nie zostawiłeś mi warunków, jakie on podał, ale gdzieś je zgubiłeś, co zresztą mówiłam Ci jeszcze przed wyjazdem. Dziś rano Gustaw jedzie do Ankony, tzn. 14-go rano, aby zobaczyć się z Józkiem, ale ponieważ od jego wyjazdu dzieli mnie tylko 8 godzin nocnych, więc już niestety nic załatwić nie będę mogła. Chyba że Józek tu przyjedzie, jeśli nie, postaram się, co załatwię, przekazać pocztą. Piszesz o zainkasowaniu pieniędzy od małego Kleszczyńki¹⁵ za książki, ale ceny nie podałeś, więc trudno to zrobić. Resztę postaram się załatwić w miarę możliwości. Czy nie otrzymałeś dotąd żadnego z moich listów – bardzo mnie to dziwi.

Ściskam Cię serdecznie.

[Zosia]

¹ „Na Szlaku Kresowej” – dwutygodnik Referatu Kultury i Prasy 5. Kresowej Dywizji Piechoty wydawany w Rzymie od kwietnia 1944 do listopada 1946 roku.

² Zygmunt Turkiewicz (1912–1973).

³ Autorem znaczka-sygnetu Instytutu Literackiego był ostatecznie Stanisław Gliwa (1910–1986), artysta typograf i grafik.

⁴ Witold Kępiński publikujący pod pseudonimem Witold Olszewski.

⁵ Bolesław Miciński (1911–1943), zob. B. Miciński, *Portret Kanta i trzy eseje o wojnie*, Instytut Literacki, Rzym 1947.

⁶ Maria Czapska (1894–1981), siostra Józefa, pisarka.

⁷ Włodzimierz Sznarbachowski (1913).

⁸ Teresa Skórzewska (1898–1962).

⁹ Książkę André Malraux (1901–1976).

¹⁰ Wspomnienia Grigore Gafencu (1892–1957), rumuńskiego ministra spraw zagranicznych (1938–1940).

¹¹ Zob. M. Czapska, *Ludwika Śniadecka*, Rzym 1946.

¹² Władysław Wohnout (1902–1988).

¹³ Władysław Żeleński (1903).

¹⁴ Jerzy Stempowski (1893–1969).

¹⁵ Karol Kleszczyński (1917–1996).

[Rzym] 16 V 46 (list 6)

Drogi Jerzy,

Dziś wysłałam do Ciebie depeszę podając kalkulację książek i numery matryc, bo w związku z niedoręczeniem listów przez Rayskiego¹ nie wiem, czy posiadasz szczegóły. Depesza będzie chyba kosztowała majątek, ale wołałam wszystko podać.

Dziękuję jeszcze raz za życzenia Tobie i p. Mai. Dzień wczorajszy przeszedł mi zresztą bez specjalnych wzruszeń. Przyjechał na trzy dni mój mąż i wkroczył do pokoju poprzedzony olbrzymim bukietem rzeczywiście wspaniałych róż i z dużym zadowoleniem stwierdził, że w jednym tylko wazoniku stały skromnie cztery róże, które nawiasem mówiąc otrzymałam od jednej znajomej, a biednej ochotniczki. W związku z powyższym Zygmunt zapytał, gdzie ci moi wierni wielbiele i to morze kwiatów i depesz, którymi powinienam była być zasypana. Zaczęłam już po cichu żałować, że nie zamówiłam sobie w kwiaciarni kilku skromnych bukietików, bo jak mnie znasz, nie lubię takich „uwag” jak wyżej wspomniane, ale nagle jakby na zamówienie zaczęły się walić kwiaty, dostałam róże od Józefa Poniatowskiego² (ku mojemu zdziwieniu), potem przysłali Wąchała z Wolskim z dwoma bukietami w rękę, następnie dostałam śliczne róże od grubego Mela³ (ku jeszcze większemu zdziwieniu), następnie wtoczyła się Mimi również obładowana. Ale „gwoździem” było dwóch *fakino*, którzy ledwie mieszcząc się w drzwi wniesli nie tyle przepiękny, ile zupełnie potwornych rozmiarów kosz róż i pęk – lekko licząc z 200 – goździków. Jak się domyślasz, były to kwiaty od wiernego Stermińskiego⁴ kupione *per procura* chyba podwójne, bo Grudzińskiego, który adresował kopertę, nie ma w Rzymie. Zygmunt stwierdził z przekąsem, że to wygląda jak dla primadonny na scenę, ale gdy jeszcze otrzymałam parę depesz, „uspokoił się”. Ja tymczasem miotałam się po pokoju, żeby jakoś ulokować te kwiatki i w końcu zmuszona byłam zapchawszy wszystkie potłuczone wazon hotelowe, umieścić goździki we wiaderku, a kosz z różami na bidecie. Wyglądało zupełnie wspaniale. Tyle jeśli idzie o mnie. Dostałam poza tym list od Dudka, szukam mu właśnie książki do fizyki, ale nie wiem, czy znajdę. Bardzo narzeka na Ciebie, że tak słabo piszesz i wcale się o niego nie troszczysz.

Legiony opóźniają się znów o kilka dni, gdyż drukarnia zawalona jest nagle robotą i wszystkie maszyny są w ruchu. Dziś przeszła do nas „Na Szlaku Kresowej” i numer czerwcowy będzie już robiony u mnie. Dałam im nowelkę Czapskiej, ale nie wiem, czy zdążą wsadzić do tego numeru, bo już mają gotowy. Napisz, czy jeśli nie zmieszczą, dać do „Orla”⁵, czy zostawić im do numeru lipcowego. Dziś mają mi dać odpowiedź.

Ciągłe tu słyhać zdania, że od 1 lipca przechodzimy w całości do W[ielkiej] Brytanii i że tam będą nas demobilizować. Nie wiem, czy tym razem będzie to zgodne z prawdą. W każdym razie byłabym zdania, że należy czym prędzej dać do składu do obcych dru-

karni jakieś 5–6 kasowych książek, żeby je mieć w ciągu paru tygodni i jeszcze upchać i zarobić choć z milion lirów. Zastanów się nad tym szybko – u nas nie jesteśmy w stanie w szybkim tempie tego zrobić, bo nie możemy całkowicie zarzucić robót włoskich. Gdybyś przywiózł trochę forsy, nie byłoby to takie trudne. Daj znać, jak sprawy stoją, to chociaż *Beniowskiego* dalibyśmy gdzieś do składu, to jest straszna kobyła, ale Władek twierdzi, że 4–5 tysięcy mógłby sprzedać na pniu w Korpusie.

Nalatuje na mnie bardzo Wohnout, żeby zafiksować jego nowele, twierdzi, żeś mu powiedział, że ja z Wachałą załatwimy wszystko definitywnie – damy mu 25 000 lirów zadatku, które mu są natychmiast potrzebne, gdyż wyjeżdża do Niemiec i następnie dostanie ogółem 15% od ceny książki. Bardzo się ciskał, że jeśli nie my, to ma kilku innych wydawców i że nie może na Ciebie czekać. Ja jestem skłonna raczej zwrócić mu rękopis. Nowele nie są co prawda złe, ale nowele „nie idą”, a po drugie mnie nudzi jego sposób pisania, polegający na ciągłym powtarzaniu raz napisanych już zdań. Rozumiem, że przy wierszowym to znacznie powiększa rachunek, ale w nowelach jest chyba niekoniecznie potrzebne.

Sprawy prawne w dalszym ciągu nie są załatwione, choć niby Władek koło nich chodzi i dziś jakoby ma się spotkać z Clarottim w drukarni i wszystko zakończyć. Zrozum, że ja nie mogę załatwiać tych rzeczy równorzędnie z nim, gdyż to jego by dyskwalifikowało, a ostatecznie on z Clarottim i Argento gada od 5 miesięcy, a ja od kilku dni. Jedyne co mogę, to go poganiać, ale Tadeusz jest chory, więc go odwiedza, był w Korpusie, teraz przyjechał Zagórski i ciągle coś mu wypada. Sprawy lokalu również nie posunął naprzód, ale tego ja też sama nie mogę zrobić.

Wczoraj dostaliśmy obszernie pismo z Intendentury w sprawie uzupełnienia dokumentów, oddania im oryginałów umów *in blanco*, które jak wiesz zabrał Esterson. Delegatem do nas jest mjr [Władysław] Komorowski lub zastępczo Osmólski⁶. Każą robić co tydzień posiedzenia spółki i przysyłania im sprawozdań, wybrać komisję rewizyjną z Orłowskim⁷. Przedstawiać co miesiąc bilans brutto oraz sprawozdanie z wykonanych robót i zamówień etc. Najważniejszy punkt to to, że otrzymane 8 milionów na kupno ma być spłacone w czasie od 1 czerwca r.b. do 30 kwietnia 1947. Jeżeli dodamy do tego ostatnio otrzymany milion, to okaże się, że musimy spłacać miesięcznie 1 250 000 lirów. Sądzę, że takie „raty” są możliwe do regulowania, jeśli handluje się narkotykami, ale nigdy, gdy prowadzi się uczciwie przedsiębiorstwo przemysłowe. Czy wyście tych spraw uprzednio nie omawiali? Przecież to jest trochę śmieszne.

Co do książki dla Stempowskiego, to właśnie jej szukam i jeśli kupię, wyślę przez Zielickiego⁸, który zostaje w Ankonie do przyszłego tygodnia, tak samo prosiłam telefonicznie Gierata, żeby wziął od Józia Czapskiego warunki Bluma i wtedy będę mogła przygotować pismo, o które prosisz, gdyż ja nie mam tego listu Józia, w którym je podawał. Tyś mi co prawda pokazywał, ale potem zabrałeś i ja już dokładnie nie pamiętam, bo nie przywiązywałam do tego wówczas takiej wagi, żeby się uczyć na pamięć.

To byłoby wszystko, z rozmową z Telmanym czekam do jutra, tj. do powrotu Grudzińskiego. W sobotę Telmany ma jakoby dać pozytywną odpowiedź w sprawie ilustrowanego dodatku do dzienników.

Ściskam Cię serdecznie i czekam na list, poza tym daj znać telegraficznie, jak długo zostajesz w Londynie i podaj termin, do którego mam stąd do Ciebie wysłać listy, a kiedy przestać pisać. Czy dostałeś mój list w Paryżu, przesłany przez Marymonta?

Serdeczne pozdrowienia dla Pani Mai.

[Zosia]

¹ Ludomił Rayski (1892–1977).

² Józef Poniatowski (1897–1995).

³ Melchior Wańkowicz (1892–1974).

⁴ Zygmunt Stermiński.

⁵ „Orzeł Biały” – założony w grudniu 1941 roku w Związku Sowieckim tygodnik Armii Polskiej, ukazywał się w Londynie do 2002 roku (od 1964 jako miesięcznik).

⁶ Stefan Osmólski (1863–1950).

⁷ Lech Orłowski.

⁸ Józef Antoni Zielicki (1910–1973).

[Londyn] 23 V 46

Moja Droga,

Nie piszę w sprawach ogólnych, bo zorientujesz się z listu do Władka, którego dopilnuj, by jak najszybciej zaczął realizować moje prośby. Z innych spraw powiedz Grudzińskiemu, że nie mając wiadomości od niego dałem jego artykuł Grydzewskiemu. Ponadto Bogusławski¹ dopytuje się, czy otrzymał przekłady i artykuł od niego. Niech do niego depeszuje. Odbierz od Lula moją walizkę i po-

rozdzielaj sprawunki, które Wam pozałatwiałem, tak jak św. Mikołaj. Flanela jest dla Władka, brązowawy tweed dla Ciebie na kostium, brązowy tweed na kurtkę dla Wolskiego i szary tweed dla Dudka. Zatrzymaj go w walizce lub prześlij mu, jeśli będzie okazja do Turynu. Ponadto wygrzebieś w walizce 5 tubek pasty dla siebie oraz rękawiczki. Rachunki przedstawię Wam po przyjeździe, przygotujcie ciężkie pieniądze tudzież dozgonną wdzięczność. Papierosy i kawa są ściśle zewidencjonowane i każdy zamach na nie będzie surowo ukarany. Niech czekają mego przyjazdu. Jeżeli przy okazji będziesz na mieście i kupisz mi ekspreso na spirytus na jakieś trzy-cztery filiżanki, to bardzo Ci będę wdzięczny. Ponadto w tym liście masz legitymację dla Wańkowicza, którą doręcz Starcowi. Wreszcie załączam *postal order* na 40 £, które zatrzymaj do mego przyjazdu. Mam nadzieję, że na nich nie wpadnę. Wolę nie myśleć, co się tam u Was dzieje, prawdopodobnie nie zastanę kamienia na kamieniu. W każdym razie dopilnuj definitywnego załatwienia wszystkich formalności prawnych oraz dopilnuj Władka, by zaczął już chodzić koło *permesso* dla nas. Mam nadzieję, żeś wysłała fotografie i dane paszportowe do Londynu, tak jak Ci depeszowałem. Niezależnie od tego zbierz drugi komplet, który jest u Ciebie i poślij przez Lula Wirskiemu. Bardzo Ci będę wdzięczny, jak napiszesz do Dudka, że wysłałem mu podręczniki, które chciał, pocztą, niech potwierdzi ich odbiór, ponadto niech się uczy i niczym się nie przejmuję. Do Szwajcarii pieniądze przekażę z Francji. Z Londynu wysyłają mi czasopisma i książki na Twój adres. Uważaj, by tego nie rozciągano, a co najważniejsze, potwierdzaj Prądyńskiej odbiór i zawartość paczek, by sprawdzić, jak to funkcjonuje. Jeżeli *Legiony* się ukazały, to ekspedujcie 1000 egz. na Kwaternę Prasową, 7, Ashley Gardens, London, SW1 dla Prądyńskiej. Załączam spis literatów, który zachowaj w aktach. Zadepeszuj mi do Paryża, czy zapłacono Lechoniowi i kto jest mianowany na miejsce Telmanego. Załączam warunki umowy z Blumem, które załączam w papierach. Jeżeli Józio jest jeszcze we Włoszech, to daj mu znać, że nie mam zamiaru być dłużej w Paryżu od 3-4 dni.

Najlepsze pozdrowienia.

[Jerzy Giedroyc]

¹ Antoni Bogusławski (1889-1956).

[24 - 30 czerwca 1950]

*[Frankfurt nad Menem] 24 czerwca [1950]**Kochana Zosiu,*

Nie masz pojęcia, co za bałagan. Ale po kolei. Podróż pociągiem miałem b[ardzo] przyjemną. Po ruszeniu siedzieliśmy z Koestlerami i Sartrem popijając dość mocno i bardzo sympatycznie, potem spałem jak anioł. We Frankfurcie wpadliśmy w objęcia dwóch miłych dziewcząt amerykańskich, które tu robią honory domu. Trzeba przyznać, że wpadliśmy zupełnie przypadkowo, a Koestlerowie się zgubili. Kategorycznie nas zaprowadziły nie do American Express, ale do jakiegoś innego biura. Po miłej pogawędce Koestler się znalazł, ale okazało się, że nie ma dla nas biletów, bo byli przekonani, że dostaliśmy je w Paryżu. Nie ma natomiast wolnych miejsc i mowy nie ma o wyjeździe. Koestler złapał żonę pod pachę i fulminując zginął i do tej pory nie wiadomo, co się z nim dzieje. Dziewczeta (specjalnie sprowadzone z Ameryki do tych funkcji) bardzo się tym nie przejęły i zaprowadziły nas na dość podłe śniadanie. Po śniadaniu jakoś dotelefonowały się do Berlina i w sumie mamy samolot o 7-ej wieczorem dziś, tak że będziemy o 9-ej w Berlinie.

Ponieważ nie ma co robić, jedna z nich zaprowadziła nas do swego dziewczęcego pokoiku w hotelu. Józio leży na łóżku wprost beczelnie i czyta „Wiadomości” tłumacząc, że są to materiały na Kongres, które musi przestudiować, ja zająłem stolik jedyny w pokoiku i piszę, a dziewczę siedzi na podłodze i pisze list do Matki. Za chwilę zaprowadzi nas karmić, a potem na gwałt chce nas zawieźć na wycieczkę (tramwajem – to dla Zygmunta) na Taunus. Niemcy obrzydliwie porządne, pola pokratkowane jak ogrody. Miasto dość zniszczone, ale odbudowywane dość szybko. Nie było po wojnie ani jednego drzewa, teraz są, bo zasadzili dwuletnie platany. B[ardzo] drogo: veramon kosztuje markę pięćdziesiąt, taksówka markę czterdzieści za niezbyt duży kurs. To jedyne rzeczy, które płaciłem. Książki potwornie drogie od 8 do 20 m[are]k, co prawda w oprawie i wydane na wzór amerykański.

Tu się już zorientowałem, że wziąłem za mało „Kultury”. Bądź tak dobra i przyslij mi z 8 egzempl[arzy] ostatniego n[ume]ru i jeszcze ze cztery indeksy¹.

Jeszcze jedna anegdota świadcząca o organizacji. Ja figuruję jako wydawca „Kultury”, miesięcznika wychodzącego w Warszawie, a obecnie w Paryżu!!?

Marynia² wiele rzeczy włożyła Józiovi do walizek, ale zapomniała o lekarstwie na morską chorobę i z przerażeniem myślę o samolocie i czerwonym płaszczu Koestlerowej.

Gdyby przyszedł od Stempowskiego list ze spisem książek niemieckich, o które go prosiłem, to zechciej mi zaraz odesłać, bo chcę je wyciągnąć *via* „Der Monat”³.

Zygmunt jak będzie u Poboga⁴, to niech mu mówi (to jest wersja dla wszystkich), że wyjazd zdecydował się nagle.

Zwróć uwagę na „Figaro”, czy nie będzie notatek o Kongresie, ewentualnie niech Zygmunt przy okazji wpadnie do tego biura na Louis le Grand i zapyta się, czy oni będą robili *service* z odgłosów prasowych Kongresu, a jeśli tak, to niech dla nas zarezerwuje parę egzemplarzy.

Mam już wyrzuty sumienia, że zostawiłem Cię samą z numerem w proszku, stosami rachunków i łamaniem na głowie. Ja się zdaje będę potwornie nudził i nic prawdopodobnie z tego nie wyjdzie.

Nie zapomnij wysłać tę nieszczęsną notatkę do „Paru”⁵, bo zapomnieliśmy o tym na śmierć, tak samo nie zapomnij dać zlecenie na Londyn wypłacenia honorarium Wackowi⁶.

[odręcznie:] Z Berlina (jeśli dziś wyjadę) napiszę jutro po południu – bo [?] będę już z grubsza wiedział. Ściskam Was, nawet tego niewdzięcznego Blacka⁷.

J.

¹ Indeks autorów i tematów rocznika „Kultury” publikowany regularnie od 1949 roku.

² Maria Czapka.

³ Miesięcznik wydawany od października 1948 roku w Berlinie.

⁴ Władysław Pobóg-Malinowski.

⁵ „Paru: Revue de l'actualité littéraire” francuski miesięcznik wydawany w latach 1944–1950.

⁶ Wacław Z. Zbyszewski (1903–1985).

⁷ Black – pierwszy z dynastii cocker-spanieli, maskotka „Kultury”.

Kochana Zosiu,

Najpierw sprawy b[ardzo] pilne. Prośba o skomunikowanie się z Wragą, by natychmiast przysłał notatkę o przemówieniu Stalina o nauce, możliwie tekst przemówienia i ewen[tualnie] projekt rezolucji (idzie o rozszyfrowanie tego posunięcia) oraz by przysłał notatkę o Moskalach. Idzie mi o grupę „Posiewu”¹ i nazwiska (na pewno przekręcām) Szugajew², Poremski³, Budanow czy Bogdanow (profesor Uniwersytetu Charkowskiego), Andrejew⁴. Jakowlew⁵ jest podobno architektem nawet wybitnym sowieckim, który niedawno wybrał wolność. Nikt tu o nich nic nie wie. Z trudem wydostałem nazwiska, poprzekręcane, bez szczegółów. W ogóle Rosjan jest kilkunastu. Jest redaktor „New Leader”⁶ Nikołajewski⁷, Szwarz⁸ i zapewne więcej. Jest to wpływ mieniszewików na Lasky’ego⁹. W ogóle czuję ostry konflikt między naszym przyjacielem a Laskym. Zaczepiliśmy prowokacyjnie o Ukraińców. Jedni mówią, że politycy ukraińscy są strasznie rozbici, więc nie można nikogo wybrać, drudzy mówią, że zjazd jest czysto kulturalny, więc polityków brać nie można, a literatów nie ma. I tu widzę pazur „przyjaciół Moskali”. Z Ukraińców zwracano się do Stiepuny (?) oraz do jakiegoś profesora tu w Niemczech Milczuka (?). Ten ostatni odmówił. Nasz przyjaciel prosił, byśmy go telefonicznie cisnęli. Odmówiłem, bo nie znam faceta i w ogóle to byłoby idiotyczne. O tych Ukraińcach niech Wraga też coś napisze. Ale ma się rozumieć to ma sens, jeśli natychmiast mi odpisze. Niech pisze na Kongres albo niech Ci powie własnymi słowami, to będzie najlepiej.

Mało tego, jest tu jakiś Guilbert Walusiński. Polak, o którym nikt nic nie wie. Podobno polecany przez UNESCO. Inni mówią, że przez Włochów, to jest podobno facet znany w kołach syndykalnych włoskich. Działal na terenie Francji. Też proszą o informacje. Ma się rozumieć, nikt o nim nic nie wie. Jeszcze nie przyjechał. Robię potworną awanturę, ale też chciałbym w miarę możliwości szczegóły.

Wydaje mi się, że co może ruszyć, to sprawa uniwersytetu. Dziś na ten temat mamy zasadniczą rozmowę z Burnhamem¹⁰. Napiszę jutro szczegóły, jak również postaram się docisnąć termin naszych rozmów paryskich, by Wr[aga] wiedział, na kiedy planować wyjazd do Niemiec (zapomniałem dodać, że ten prof. Milczuk jest w Hamburgu).

Mieszkam w hotelu Astoria razem z Józiem. Mamy przy sobie cały czas aniołów stróżów (każdy swego), którzy chodzą za tobą jak pieski. Tu okazuje się stale porywają ludzi i na wszystkie noty i interwencje w ogóle nie ma odpowiedzi. Wczoraj we wschodnim radio berlińskim był gwałtowny atak Eislera¹¹ na Kongres. Ponieważ dwa dni temu zapalił się dom kultury sowieckiej we wschodnim Berlinie, więc Eisler twierdzi, że został on prowokacyjnie podpalony przez uczestników Kongresu. Ciągłe nas fotografują, ale to robi wrażenie gry towarzyskiej. Zaleski¹² pieniędzy jeszcze nie przysłał. Ponieważ byłem jak zawsze idiotą, więc nie mam jego nowego adresu. Napisz mi odwrotnie i jednocześnie go pociśnij. Jeśli może bez zarywania Hlobenki¹³ przysłać więcej, to tym lepiej. Jak przypuszczałem: mieszkanie bezpłatne, trzy posiłki również, a za wszystko trzeba płacić. Nie sposób jednak nie zaprosić kogoś na kawę. Kawa (co prawda duża maszynka, ale za to zła) 2,60. Butelka piwa 2,20. To już z 20-procentowym napiwkiem.

Zniszczenia duże tak jak w Neapolu. Nawet dość przypomina.

Ściskam Ciebie i wszystkich. Może wieczorem napiszę jeszcze obszerniej.

[odręcznie:] Mimo wszystko jestem dobrej myśli.

Jurek

¹ „Posiew” rosyjski tygodnik (następnie miesięcznik) emigracyjny wydawany od roku 1945 we Frankfurcie nad Menem.

² Nikołaj Szugajew.

³ Władimir Poremski.

⁴ Prawdopodobnie Nikołaj Andriejew (1908–1982).

⁵ Boris Jakowlew.

⁶ „The New Leader” – lewicowy periodyk amerykański publikowany od 1924 roku w Nowym Jorku.

⁷ Boris Nikołajewski (1887–1966).

⁸ Salomon Schwarz (1883–1973).

⁹ Melvin J. Lasky (1920).

¹⁰ James Burnham (1905–1987).

¹¹ Gerhard Eisler (1897–1968).

¹² Wojciech Zaleski (1906–1960).

¹³ Mykoła Hlobenko (1902–1957).

[list pisany ręcznie]
Niedziela wieczorem [Berlin, 25 czerwca 1950]

Kochana Zosiu,

Robię się na starość skandalistą. Wyrzekłem [?] *aide memoire* chyba bardzo ostry, który przed chwilą złożyliśmy. Jest przy nim w pewnym sensie cicha zgoda naszego przyjaciela. Zobaczymy, jak się rozegra. Nie wykluczam wyjazdu z trzaskiem. Możemy jednak bardzo zaznaczyć naszą pozycję, stając się z pupilkami [?] B[urnhama] reprezentami żel[aznej] kurtyny. W każdym razie Eisler w radio wschodnim zaatakował nas z nazwiska.

Opracowałem również rezolucję w sprawie Kongresu, którą chcę ultimatywnie przeforsować.

Aide memoire pokaż Władze. Interesuje mnie jego opinia, ale dyskretnie, poza tym nikomu.

Nieszczęście, że mi jakaś durna maszynistka zepsuła moją maszynę definitywnie.

Musiałem dać do naprawy – boję się, że to będzie drogie.

Teksty przesłane zachowaj – mogą się przydać.

Wieczorem przyszły wiadomości o Korei i tu zapanowała panika. W pewnym sensie wzmacnia to naszą sytuację, choć to brzmi paradoksalnie.

Kongres praktycznie składa się z samych Żydów. Bardzo zabawne [?]. Ciekawi mnie zdanie Wragi o Korei.

Berlina jeszcze nie widziałem. Chodzę tylko między 2-ma fotelami [hotelami?]

Jak Ci idzie?

Pisz na Kongress-Büro bez Lasky'ego. To pewniejsze.

Ściskam Cię oraz wszystkich.

Jurek

„Kultura” powszechnia znana i szanowana – jasne, że nikt nie ma o niej pojęcia. To kolorowa okładka i objętość oraz legenda kontaktu z Krajem.

Czekam „Kultury” jak najszybciej. Może najszybciej będzie przez tę agencję na Louis le Grand, jak również notatki Wragi.

B[urnham] po Kongresie jedzie do Genewy i Sztokholmu, będzie w Paryżu 15-go. Jest projekt jego żony¹, by po Kongresie wyjechać z nim we trójkę na 2 dni pod Berlin do Wannsee, by spokojnie przegadać wszystko. 15-go byłby tylko na rozkładzie Jerzy,

a Józio by od razu wyjechał malować i podtrzymywać akcje Jerzyka² i Willego³. Może to będzie najlepiej.

Z Józiem się doskonale pracuje.

J.

¹ Marcia Burnham.

² Jerzy Łubieński (1907–1958).

³ Willy Eickman.

[Maisons-Laffitte] 26 VI 50

Drogi Jerzy,

Przed chwilą przyszedł Twój list z Frankfurtu. Rzeczywiście to wszystko wygląda na małego pożar w ... sam już wiesz. Ciekawa jestem, jak poszło dalej. Czy Koestlerowie i Sartre się znaleźli?

Tu nic specjalnego. Po Waszym wyjeździe poszliśmy (po powrocie) od razu spać, ja osobiście konałam ze zmęczenia. W sobotę niezależnie od zrobienia korekt około 60 stron, napisaliśmy z Zygmuntem około 30 listów, ale niestety to jeszcze kontyngentu nie wyczerpało. Wczoraj też trochę pracowałam, ale po obiedzie byli Studzińscy¹, więc graliśmy w *bridge'a*. Wragier – świnia miał przyjechać z korektą swojej recenzji i z tymi materiałami krajowymi, ale nie tylko się nie zjawił, ale jak dotąd (poniedziałek po 10-ej) nie telefonował. Korektę zrobiłam sama, a notatek krajowych nie dam i tak materiału jest już o wiele za dużo. Aha, jeszcze przyszedł artykuł od Ros[ego]², któryśmy wczoraj wspólnymi siłami z Zygmuntem przepisali, to jest po połowie. Jest to około 9–10 stron „Kultury”. Myślę, że jest ciekawy i że warto go dać do numeru. Tytuł *Żelazna kurtyna i europejska równowaga gospodarcza*, mniej więcej rozwinęte to, co u nas opowiadał o planie Schumana³. Nie widzę tam osobiście nic drażliwego. W każdym razie dziś będę w drukarni i dam go do złożenia. Myślę, że nadaje się do „Archiwum politycznego”.

Jeszcze nie złapałam Czapnika⁴, żeby omówić z nim klisze do numeru.

Były dzisiaj listy od Trojan[owskiego]⁵ – kretyń wszystkie egzemplarze „Kultury”, które mu wysyłał, uważał za „okazowe”

i rozdawał. Popowska sprzedała 25 egzemplarzy książki Józia. Jedną prenumerata.

Białasiewicz⁶ – 5 prenumerat. Z numeru będzie guzik. Rozmawiał z Pluzdrakiem, który zemdlał na wiadomość o cyfrze 600 i powiedział, że myślał, że 40–50 wystarczy.

Ulatowski narzeka, że nie dostał gazet w „Libelli”⁷. Podobno obiecałeś mu korektę. O *Faustusie* nie zdążył napisać, ale napisał o malarskim numerze „Esprit”⁸ – nie zmieści się i tak zapomnieliśmy o kronice teatralnej, która nb. nie jest dotąd złożona.

Bednarczyk⁹ przysłał notkę o subskrypcji – cała strona – pewnie się też nie zmieści. Zresztą wie, że przysłała za późno.

Doskonały list do redakcji od Pełczyńskiego¹⁰ w sprawie artykułu Żochowskiego¹¹, robi go na szaro, ale myślę, że trzeba dać do numeru. Oddaję do składu.

Od Stempowskiego listu nie było, a tylko artykuł o varityperach¹², ale to też do następnego. Przyszło trochę rękopisów, m.in. od Zbyszewskiego, ale nie miałam czasu czytać.

Nie mogę znaleźć w teczce „Najbliższy numer” ani nigdzie indziej notki do artykułu Doliny¹³. Pewnie zapomniałeś włożyć.

List od Barcińskiej¹⁴: dwie osoby mają ochotę, abyśmy zaproponowali im współpracę: 1. to eks-red.[aktor] „Orla Białego” – Ignasz Jeśman¹⁵! Biedna Julia wierzy ludziom, drugi to prof. Alex Rudziński¹⁶, który świeżo „wybrał wolność”, ten z ONU. Chce pisać o ONU i Warszawie. Julia proponuje, żeby do niego się zwrócić. Właśnie dzisiaj „Bywalec”¹⁷ zrobił go na szaro. Julia pyta, czy interesuje nas Konrad Wrzos¹⁸, który tam jest i któremu zaproponowała prenumeratę.

Zapomniałeś mi powiedzieć, czy numer będzie z dedykacją. Myślę, że raczej nie – szkoda marnować podwójnego, zwłaszcza że mało miejsca. Łamię od 3 strony, gdybyś chciał, to przenumerujemy przy rewizji.

8 „Kultur” jednocześnie wysyłam. Piszę jednocześnie do Józia Z[ielickiego] o Zbyszewskim, Dudku, Terleckim¹⁹ etc. Do „Paru” wysyłam notkę dawno, dziś wysyłam numery i notkę temu facetowi od Pawełka²⁰.

A *propos* tego, że figurujesz jako red[aktor] „Kultury”, wychodzącej w Warszawie – pewnie pomyliło im się z „Nową Kulturą”. To byłoby wszystko na dziś, już zaraz 11-ta, o 1-szej jadę do drukarni, nie wiem, kiedy zdążę co napisać.

Aha, dzwonił przerażony Stebelski²¹, że wojna jest na Korei. Obawia się, że się rozszerzy.

Korzystając z Twojej nieobecności byli wczoraj z wizytą u Jerzyka Władysława z Mysią²².

P.S. Wysłałiśmy tylko 6 „Kultur” ostatnich, w dwóch paczkach po 3 egz. na nazwisko Twoje i Józia, gdyż jak sobie przypominasz Zaleski pisał, że więcej jak pół kg nie dochodzi, więc obawiałam się, że wszystko wróci.

Ściskam Was obu i pisz.

Zosia

¹ Franciszek Studziński (1895–1967).

² Adam Rose (1895–1951).

³ Robert Szuman (1886–1963).

⁴ Jacques Czapnik.

⁵ Kazimierz Trojanowski (1908–1982).

⁶ Józef Białasiewicz (1912–1986).

⁷ „Libella” – księgarnia na wyspie świętego Ludwika w Paryżu działająca w latach 1946–1993.

⁸ „Esprit” – paryski miesięcznik założony w roku 1932.

⁹ Czesław Bednarczyk (1912–1994).

¹⁰ Tadeusz Pełczyński (1892–1985).

¹¹ Stanisław Żochowski (1908–1999).

¹² Zob. opublikowany pod pseudonimem Leon Furatyk artykuł *Technika drukarska przeciw sklerozie przemysłu książkowego*, „Kultura” 9/35/1950.

¹³ Zob. Józef Zych-Dolina, *Pamiętny lipiec [1944] w Lublinie*, „Kultura” 7/33–8/34/1950.

¹⁴ Julia Barcińska.

¹⁵ Ignacy Jeśman.

¹⁶ Aleksander W. Rudziński (1900–?).

¹⁷ „Bywalec” – pseudonim autorów stałej rubryki „Podśłuchane” w ukazującym się od 1944 roku londyńskim „Dzienniku Polskim i Dzienniku Żołnierza”.

¹⁸ Konrad Wrzos (1905–1974).

¹⁹ Tymon Terlecki (1905–2000).

²⁰ Paweł Zdziechowski (1914–1972).

²¹ Henryk Stebelski (1904–1978).

²² Władysław Żeleński wraz z przyszłą żoną Adelą z Bohomolców (1897–1997).

[list pisany ręcznie]
[Berlin, 26 czerwca 1950]

Kochana Zosiu,

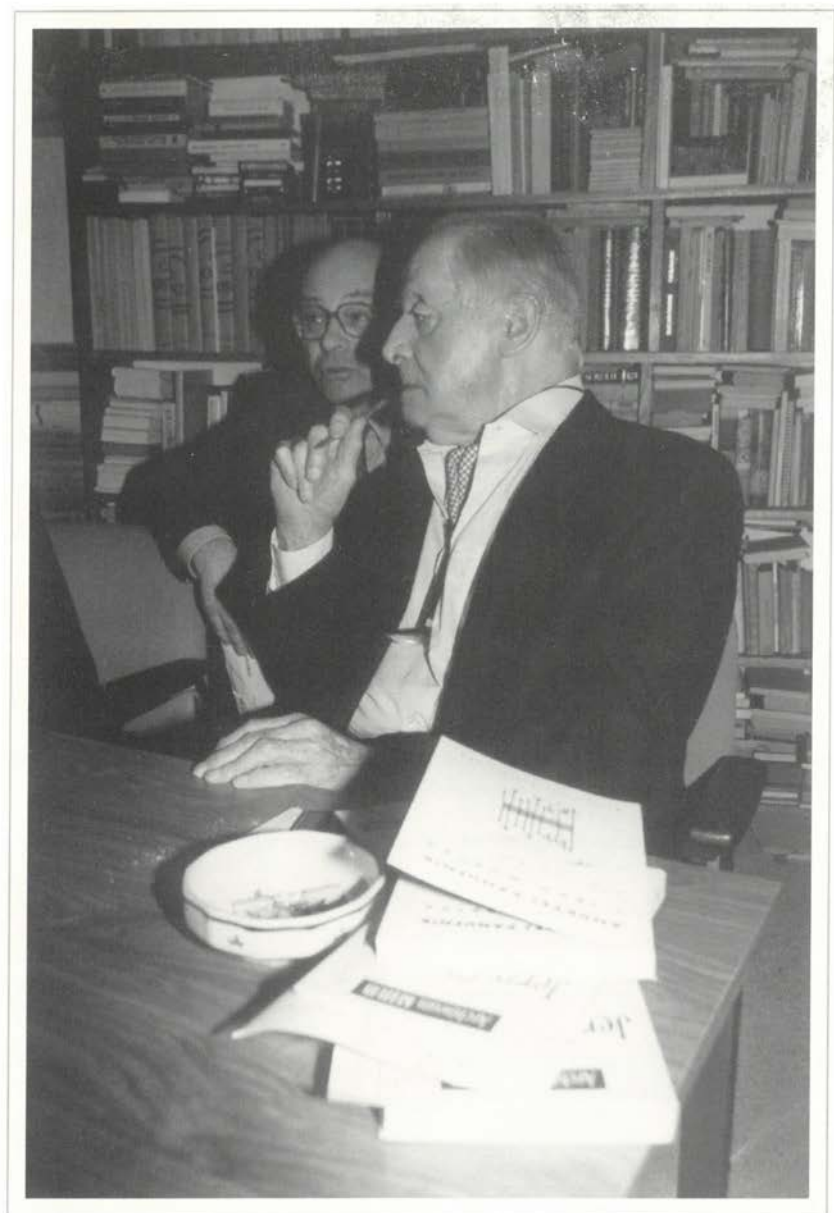
Nasze *aide memoire* zrobiło wrażenie *foudroyant*. Zatańczyli koło nas niesłychanie. Ultimatum zostało przyjęte. Z własnej inicjatywy wsadzili Józia do prezydium inauguracyjnego posiedzenia wraz



Jerzy Giedroyc, Maisons-Laffitte, 1992 rok



Iza Chruślińska, Zofia Hertz, Maisons-Laffitte, 1993 rok



Jerzy Giedroyc, Krzysztof Pomian podczas prezentacji *Autobiografii na cztery ręce*, księgarnia A. Dobosza, Paryż, 1994 rok



Zofia Hertz podpisuje książkę *Była raz „Kultura”*,
księgarnia A. Dobosza, Paryż, 1994 rok



Małgorzata Zabłocka, Zofia Chruślińska, Jacek Krawczyk, Jerzy Giedroyc,
Zofia Hertz



Zofia Hertz i Jerzy Giedroyc, Maisons-Laffitte

z krótkim przemówieniem, które załączam (przełknęli nie tylko Ukraińców, ale [i] Białorusinów), będzie ono specjalnie rozreklamowane. Odpowiednie ustępy bardzo mocne i w przemówieniu Burnhama, [i] Koestlera, i Lasky'ego. Niezależnie od referatu Józia we czwartek, przemawia w sobotę na zamknięciu. W ogóle już jesteśmy oficjalną delegacją polską. Jednocześnie zmieniłem taktykę: pełen słodyczy do Lasky'ego i do Rosjan.

Śniadanie z naszym przyjacielem. Konkretnie poruszył sprawę: a. numeru poświęconego Kongresowi dla żelaznej kurtyny, dwujęzyczny; b. skontaktowania nas z facetem ułatwiającym przerzuty; c. audycja na Kraj. Zapomniałem dodać, że projekt rezolucji w sprawie uniwersytetu został przyjęty bez zmian.

Dostałem miły list od Zaleskiego awizujący pieniądze i błagający, by zjechać w drodze powrotnej do Mannheim. Gdyby był Wraga w tym czasie, to bym się decydował. Ustal z nim. (B[urnham] będzie w Paryżu między 13–23 lipca). Jest tragedia ze szkołą polską. Niemcy, którzy przejęli opiekę, nie chcą o tym słyszeć. Szkoła niemiecka i już. Ideałem byłaby szkoła dwujęzyczna. Chcę tę sprawę ruszać w ten sposób, by z inicjatywą w tej sprawie wystąpił Kogon¹ jako Niemiec. Miałby to być zadatek dobrej woli. Może to przejdzie. Uważałbym to za duży sukces. Myślę, że teraz będzie spokój przez parę dni.

Ależ gdzie noce [po co?] dla [...] Maszyna kosztowała 10 marek!!

Ściskam Cię.

J.

¹ Eugen Kogon (1903–1987).

[Berlin] 27 czerwca [1950]

Kochana Zosiu,

Nareszcie mogę pisać na tej tak drogo zapłaconej maszynie. Nie wiele nowego. Z drobiazgów: czyły list od Wojtka Zaleskiego, zapraszający do Mannheim dla rozmów z nim i Pańczakiem¹. Dziś zawiadomienie z poczty o nadejściu pieniędzy – zapewne od niego.

Kongres trzeszczy i nie wykluczam, że się rozłamie, co uważam za pożyteczne. Są jeszcze czynniki (reprezentowane przez Silone², który dziwnie przypomina Herlinga, rozlanego i w starszym wieku), które chcą mówić tylko o czystej kulturze bez poruszania spraw „politycznych”, tj. bolszewizmu i Wschodniej Europy. Najostrzej nasze stanowisko ideowe reprezentuje Koestler, który jest świetny, jakkolwiek bardzo egotyczny i niepotrzebnie wysuwający się na *fuera*, nasz przyjaciel ciągle będący w cieniu (jutro jest jego przemówienie, które ten rozłam może przyspieszyć). Zainteresowanie nami, a specjalnie Józiem duże. Sporo nawet śmiesznych fotografii. Z Moskalami raczej dobrze. Przeciw uniwersytetowi działają ciągle jakieś podziemne siły, np. tekst naszej rezolucji już zatwierdzonej – zaginął. Józio teraz się właśnie miota w tej sprawie. W ogóle bałagan nieopisany. To jeszcze pół biedy. Myślę jednak, że uniwersytet się przeforsuje. Natomiast nie jestem pewien, czy uda się wypchnąć Józia do stałego biura i czy to biuro będzie w rękach naszego przyjaciela. Konflikt z Laskym również stawia pod znakiem zapytania sprawę korespondenta w Berlinie. Entuzjazm Ukraińców i wdzięczność niesłychana. Ciągłe do nas biegają i znoszą plotki. Ciągłe jeszcze nie wiem, z której strony dobrać się do problemu szkoły polskiej.

Denerwuje mnie brak śladu życia od Ciebie. Boję się, czy nie ma jakich katastrof czy kłopotów. Jeśli przemówienie Józia jest już wydrukowane, to pošlij je razem z tekstem rezolucji, który Ci posłałem oraz z przemówieniem inauguracyjnym Józia Łobodowskiego do Madrytu³ z paroma słowami, by to wykorzystał oraz zadzwonił do Świącickiego⁴, czy nie zechce również tego wykorzystać. To byłoby dla nas b[ardzo] ważne i zawsze pewna reklama.

Tak jak Ci już pisałem serio rozmowy będą dopiero po Kongresie z naszym przyjacielem w Wannsee. W chwili obecnej poza sprawą uniwersytetu, która jest konkretna, jest to szereg kontaktów, zaczepień międzynarodowych, popularność wśród Ukraińców. Czyś Sperberowi⁵ posłała ostatni numer? Wciągnij go w ogóle na stałą listę. On będzie potrzebny. Nie mam jeszcze „Kultur”, co mnie martwi, bo są dosyć potrzebne.

W ogóle napisz, jak listy dochodzą. Wysyłam przez hotel i przez biuro Kongresu, ale nie jestem wcale pewien jakichś kawałów.

Nie masz pojęcia, ile tu jest Niemców pochodzenia polskiego. Dziś jakiś kolporter partii socjaldemokratycznej o czysto niemieckim nazwisku Grzeskowiak zaopatrywał mnie w literaturę propagandową mówiąc płynnie po polsku. Kelner w restauracji pamięta jeszcze trzy-cztery słowa polskie.

Byłem dziś na paru ulicach, które pamiętam z dawnego pobytu i z których mam różne wspomnienia i w tym stosie ruin nic nie mogłem rozpoznać.

Wyobrażam sobie, jak musi wyglądać Warszawa, jeśli tu tak jest obco i dziwnie.

Było wczoraj przyjęcie miasta Berlina w Wannsee dla delegatów (przyjęcie na poziomie taniej garkuchni: piwo, butersznyt jak na podrzędnych dworcach oraz bola, której nie można było wziąć do ust). Ale jezioro i okolica śliczna. Brzozy i sosny, piasek. Szalenie zapachniało Polską: nie to Augustowskie czy Pomorze. Miałem lekkie ukłucie nostalgii. Czekam na wiadomości, kiedy Wraga zamierza być w Mannheim.

Dosyć tego głędzenia i ściskam Cię ze wszystkimi (o niewdzięcznym Blacku nie zapomnij).

P.S. Właściwie czuję [się] świetnie. Jak mam trochę podniecenia, ruchu, intryg i możliwości gry, to jestem jak młodzieniaszek. Nawet bóle głowy zlokalizowały się na rano i na późny wieczór. Czy uwierzysz, że i tu veramon na receptę.

Jurek

¹ Władysław Pańczak (1908–1955).

² Ignazio Silone (1900–1978).

³ Józef Łobodowski (1909–1988).

⁴ Tadeusz Świącicki (1893–1973).

⁵ Manès Sperber (1905–1984).

Maisons-Laffitte, dn. 27.6.1950

Kochany Jerzy,

U nas wszystko w porządku. W charakterze Twoim odebrałem dzisiaj przesyłkę Krakowskiej¹. Byłem u Berg. – dał mi radę, ale słabą.

W dzisiejszy „Dzienniku” wzmianka jest o Kongresie – na pierwszej stronie wyliczenie gwiazd i w zakończeniu: „ze strony polskiej na kongresie będzie obecny Józef Czapski pisarz, żołnierz i malarz, autor znanej książki *Na nieludzkiej ziemi*”.

[odręcznie:] O Tobie świnie nie dały wzmianki.

Stebelski się objawił przez telefon. Mam z nim się jutro spotkać. Poduszę o adresy i sprawy meksykańskich prenumeratorów. Wybiera się do Lafitu po Waszym powrocie. Jerzyk mi mówił, że Józio awizował się do Dekasów² na 5-go lipca. Nie wiem, jak to sobie wyobraża, bo Anders ma być 7-9, a przede wszystkim są przecież inne plany. Wydaje mi się, że nie da rady, aby pojechali w tym terminie.

W domu wszystko w porządku. W dzisiejszej pocztce zupełnie nic. Wczoraj po południu przyszedł *Mickiewicz* Jastruna³. Piszę na maszynie tak jak Ty – tzn. dużo błędów.

Korekty czytaliśmy prawie [...] tego co Zosia wczoraj [...] z Wragą. Lunia wróciła, Jerzy nie w sosie, twierdzi, że się źle czuje, przeprowadzają się na Charenton do Walfiszowej⁴.

List do Kombatantów Zosia zabiera ze sobą, aby pokazać Wradze. Z tymi rycerzami nigdy nie wiadomo, o co się obrazić mogą, więc niech będzie żyro Wragiera.

[odręcznie:] Ściskamy Cię.

Zygmunt

Dopisuję kilka słów, bo zaraz jadę do Paryża. Ponieważ chciałabym zamieścić Heinricha, gdyż inaczej będzie nieaktualny – pewnie wyrzucę jednego Haupta⁵ i Marynię – zresztą zobaczę, jak się zmieści. Jeszcze Wragier daje mi dziś jakieś sprawy krajowe, twierdząc, że to bardzo ważne i tylko teraz aktualne i że Tobie koniecznie na tym zależy. Przeczytam po obiedzie.

Ściskam Was.

Zosia

[odręcznie:] P.S. 1

Uściskaj serdecznie pisarza, malarza i autora.

P.S. 2

Może autograf Roberta Montgomery⁶ dla Zosi przywieziesz.

¹ Krystyna Krakowska.

² Rodzina Descat.

³ Mieczysław Jastrun (1903–1983).

⁴ Elżbieta Walfisz (1902–1978).

⁵ Zygmunt Haupt (1907–1975).

⁶ Robert Montgomery (1904–1981).

Drogi Jerzy,

Dziś rano przyszedły Twoje dwa listy z 26 i 25. Od razu starałam się złapać Jerzego, ale niestety osiągnęłam go dopiero teraz, godz. 12-a. Obiecał zrobić Ci notatkę o tych rzeczach, o które prosisz łącznie z Koreą i wysłać dziś przed 5-ą. Przez telefon nic nie mógł mi powiedzieć. Dał słowo, że wyśle. Ja piszę kilka słów, bo Marynia idzie na pocztę i chce wysłać. Powiedział mi tylko, że o Walusińskim nic nie słyszał i że to pewno jakiś łaps, ale nie ma czasu sprawdzać. Jeżeli listy dziś nie odejdą, nie dostaniecie na czas. Jeśli idzie o Stiepuna – to jeżeli na imię mu Fiodor, to jest ordynarna lipa, gdyż jest to Rosjanin, podstawiany za Ukraińca, profesor orientalistyki czy filozofii na uniwersytecie w Niemczech¹. Jeżeli to ten sam, a Milczuk podobny do niego, to w ogóle granda. O Milczuku nic nie słyszał. *Aide memoire* uważam za genialne – przetłumaczyłam na polski i przeczytałam Jerzemu. Może to dać do „Kultury”. Jemu też bardzo się podobało.

Bardzo mnie niepokoi, że wymieniano was przez radio sow[iet]skie, nie uważam tego za dobre. Uważajcie na siebie w każdym razie bardzo i nie róbcie żadnych głupstw. Jeżeli zostaniecie dłużej, to napisz, kiedy wracacie definitywnie, żebym wiedziała, jak robić z „Kulturą”. Jak pisałam, „Kulturę” wysłałam wczoraj, ale nie wiem, czy dostaniesz na czas. Wysyłam 2 egz. lotniczo, jeden na ciebie, drugi na Józia.

Do Zaleskiego piszę, ale myślę, że guzik z tego będzie. Jego adres (14 a) Heilbronn/N. Badenerhof.

Ściskam i kończę, bo Marynia czeka. Wysyłam z Laffittu, bo do Paryża teraz nie mogłabym pojechać, a Zygmunt jeszcze nie wrócił.

Jerzy być może przyśle Ci notatki bez podpisu.

Zosia

¹ Fiodor Stiepun (1884–1965).

Załączam wycinek z niedzielnej „Trybuny”, w której w niezbyt uprzejmy sposób Cyrankiewicz¹ „kwituje” nasz numer z lute-go/marca rb. Może Ci się to przyda, jeżeli dojdzie na czas.

Zosia

Mój Drogi,

Wracałem dzisiaj pociągiem z Paryża i wpadłem na następujący pomysł, który wydaje mi się zupełnie genialny. Czy w tej sytuacji, która jest nie można by zrobić tego samego co „Der Monat” na odcinku intelektualistów zakurtywnych. Naturalnie organizuje „Kultura” w Paryżu. Jeżeli są na takie imprezy pieniądze, czy my nie moglibyśmy ich wydawać. Gros facetów mieszka w Europie, tak że dojazd nie byłby tak drogi: wszyscy chętnie przyjadą trzecią klasą, co jest na pewno tańsze. Przypuszczam, że kosztowałoby to dużo mniej niż impreza berlińska. Co o tym sądzisz. Jeżeli uważasz, że pomysł jest dobry, cieszę się, że jedną stronę przekonałem.

„Nareszcie”, jak mówi Zosia jest upał. Widziałem się dziś ze Stebelskim. Mówiliśmy naturalnie o „Kulturze”. Facet trwa w zachwycie, ale na pewno go już „robią” rodacy. Zagadałem go na tematy przyszłościowe: oświadczył kategorycznie, że „musimy istnieć i trwać”. Podzielałem jego poglądy na ten temat, ale wysunąłem pewne drobne obiekcje na tematy finansowe. Wspomniałem, że brakuje nam 500 dolarów miesięcznie. Nie zaskoczyła go ta suma – w dalszej rozmowie powstał projekt podzielenia jej na 20 części, które w wysokości 25 dolarów miesięcznie były płacone przez dobrodziejów. Szalenie mi się spodobał ten skomplikowany sposób pozbycia się zmartwień i wysunąłem dwa punkty: skąd tych 20 facetów wziąć i jak sobie zapewnić regularność wpłat. Mam wrażenie, że Stebelski jest ustrzelony na taki udziałnik, trzeba go jeszcze utrwalić i zmusić do wyszukania następnych facetów.

W każdym razie kazał mi natychmiast się zawiadomić o Waszym przyjeździe – chce przyjechać natychmiast, abyście mu zgodnie zaraportowali o przebiegu Kongresu. W perspektywie szlachetnej fundacji (numery np. imienia aspiryny, ze względu na rodzinę w Kraju) nie wiem, czy to takie krzywe.

Pobóg? hecuje o drugą korektę – grozi, że przyjedzie do Laffittu. Odpowiedziałem mu bardzo godnie, że go odwiedzę. Filiżanki odkupiłem od Studzińskiego. Nie wiem, czy dobrze zrobiłem, można było żądać zapisania w testamencie. Dużo taniej byłoby.

No koniec. Jutro Zosia jedzie sama do drukarni, więc dopiero następna genialność może wyskoczyć pojutrze.

[odręcznie:] Ściskam Cię.

Zygmunt

¹ Józef Cyrankiewicz (1911–1989).

² Zob. W. Pobóg-Malinowski, *Nocna z rodakiem rozmowa*, „Kultura” 7/33–8/34, 1950.

[list pisany ręcznie]
[Berlin, 28 czerwca 1950]

Droga Zosiu,

Nareszcie list od Ciebie. Najpierw drobne sprawy. 100 od Zaleskiego przyszło. Co do numeru, to jesteś gapa: wstęp do Doliny zawiózł Zygmunt jeszcze w ubiegły czwartek. Miał być złożony kursywą. Heinricha¹ chciałbym bardzo zmieścić razem z omówieniem „Esprit” – jako dział kulturalny. Doskonale, że jest list Pełczyńskiego. Koniecznie trzeba zamieścić. W razie gdyby się nie mieściło, to można przesunąć recenzję Bączkowskiego² i ewentualnie Westfala³. Trzeba by o tym napisać wtedy do niego. Bardzo słusznie, że nie dajesz Jerzego. Materiału z Polski jest za dużo. Tak samo słusznie, że Rosego przewidujesz do działu „Archiwum polityczne”. Numeru nie dedykujemy. Subskrypcję jeśli można, bym wcisnął choćby na okładkę. Nawaliłem już z Oficyną dwukrotnie i chcę ich trochę menażować. Jeśman niepoważny [?]. Co do Rudzińskiego, to trzeba zebrać informacje. Bądź tak dobra i zadzwoń do Rosego, co on o nim mówi. Ja tu go przewącham.

Z tą Koreą to coś jest. W Berlinie powiew paniki wśród uczestników Kongresu. Od wczoraj pilnuje mnie 2 łapsów chodzących stale za mną, w hotelu na korytarzu łaps, w hallu łaps, przed hotelem dwóch policjantów mundurowych z mitraljetkami. Józio jest identycznie uhonorowany.

Na ostatku bomba: Dosłownie na początku zebrania dzisiejszego, gdzie Józio miał mówić, Lasky oświadczył Józiowi, że zredukował jego przemówienie do 1 minuty. Na to *dictum* oświadczył, że wycofuje przemówienie (już wydrukowane, częściowo rozdane)

i że opuszczamy Kongres. Siedzimy teraz w hallu biura Kongresu jak tygrysy.

Czy myślisz, że rezolucja, o której Ci wczoraj pisałem się znalazła? Bynajmniej. Musiałem ją rekonstruować o 1-ej w nocy i do 4-ej pilnowaliśmy jej pichcenia [?] [pisania?]. Całe szczęście, że Józia personel wykonawczy, jak maszynistki, tłumacze etc. kochają i zrobili to ekstra.

Myślę, że to się ułoży, ale nigdy nie wiadomo. W każdym razie będę depeszował, gdyby do wyjazdu doszło. Ma się rozumieć bardzo starannie wygradzamy naszego przyjaciela i ważniejszych. To tylko z Laskym rozgrywka. Jeśli otrzymasz depeszę, że demonstracyjnie opuszczamy Kongres, zatrzymaj ze trzy strony na początku numeru na zamieszczenie listu otwartego.

Nie masz pojęcia, jak ja to lubię. Ściskam.

J.

¹ Tadeusz Heinrich.

² Włodzimierz Bączkowski (1905–2000).

³ Stanisław Westfal (1911–1959).

28 [czerwca] wieczorem [1950]

Kochana Zosiu,

Jestem tak zmordowany dzisiaj, że nie poszedłem do opery, której zresztą nie lubię. Zresztą miałem jakąś konferencję z Ukraińcami i wolę napisać parę listów, a przede wszystkim wnioski na jutrzejsze zebranie. Konflikt i tym razem się rozwiązał szczęśliwie. Dzięki zresztą zakulisowej akcji naszego przyjaciela i dość dużego oburzenia, jakie postępek Lasky'ego wywołał u szeregu delegatów ([odręczny dopisek:] wyobrażasz sobie jak z cnotliwymi ...[?]). Poszliśmy na kompromis. Józio miał 8 minut – mówił dzień. Uniwersytet chwycił. W ogóle temperatura się bardzo zaostrzyła. Po raz pierwszy na takich zbiegowiskach ludzie mieli dość ligonarodowego gadania i zaczęli wymyślać organizatorom, że nie przyjechali na wycieczkę turystyczną. Wobec tego zmieniono program i jutro zgłasza się rezolucje i projekty. Mam nadzieję, że uniwersytet nie wyskoczy nam z rąk i sądzę, że uda się dość dużo rzeczy upchać. Najważniejsze, jakie będą władze stałego biura i czy to

biuro będzie w rękach naszego przyjaciela, bo wtedy mamy szansę. Bardzo się zaprzyjaźniłem z jego żoną, miłą panią, zupełnie niegłupią, a przy tym bardzo prostą. Bardzo nadal liczę na sobotnią rozmowę w Wannsee. Mam nadzieję, że nie rozpułynie się w powietrzu. No, ale tu liczę na tę właśnie żonę.

Nie pisałaś mi, czy Zygmunt się poświęcił i załatwił zręcznie i grzecznie Poboga. Jeśli nie masz zupełnych pustek w kasie, to wypłać mu wcześniej honorarium. „Kultura” jeszcze nie nadeszła, no ale druki idą dłużej. Jeśli jutro nie będzie, to będzie gorzej, bo mi jest bardzo potrzebna. Zdaje się, że się zmontuje dużą konferencję z nami Ukraińców. Na jesieni w Niemczech.

Tu nerwowość trochę mniejsza z powodu Korei, ale jest.

Bardzo miły Rousset¹ i bardzo nam pomaga. Czy wiesz, że Cybulski² jest tu bardzo znany i popularny wśród tutejszych Żydów, to jest w trzech czwartych członków Kongresu? Podobno jest w Paryżu. Trzeba będzie ich menażować przy okazji, bo w ogóle musimy grać trochę trockistów. Ja już od niechcenia podrzucam fantastyczne szczegóły swej biografii. Nie wynika z nich co prawda, że byłem Januszem Kowalewskim³, ale w każdym razie... Dobrze to robi. Nadal się nie mogę zorientować, kto nam szkodzi poza mieńszewikami, bo tu jest coś więcej. W „Die Neue Zeitung”⁴ miał być artykuł o mnie (*Od „Buntu Młodych” do „Kultury”*) i jakoś się nie ukazał. Miał akcenty proukraińskie zresztą. Ale to jeszcze rozszyfruję. Mam kłopot z niemieckim, tak że wiem tyle, co mi Ukraińcy referują, a już nie bardzo wiem, co się dzieje z kryzysem we Francji. Tutejszych delegatów francuskich to tak dobrze, jak nie interesuje.

Kongres jest dosyć straszny, ale mimo wszystko jest to jakiś poziom i z pewnym przerażeniem myślę, że nie umiałbym znaleźć dobrej obsady polskiej, nawet gdybym mógł wybierać ludzi nie tylko z emigracji, ale z kraju.

Duś Pawełka co [do] Gallimarda (Wańkowicz, Camus⁵) oraz czy zrobił coś z Parnickim⁶, którego mu dałem. Czy Stebelski z dziatczkami was też nawiedził?

Tu od dwóch dni chłodniej, leje, niebo zaciągnięte. Po prostu jesień. Amerykanie nie mają żadnych zamiarów aprowidowania nas w papierosy. Palę okropne siano niemieckie po 2 marki 20 sztuk i klnę. Są tu dwie Amerykaneczki (te z Frankfurtu), które pocztownie nam pomagają, biegają, sekretarzują etc. Jedna z nich będzie w Paryżu w końcu lipca. Zaprosiłem ją do Laffitte. Będzie się Zygmunt pocił, bo ona poza angielskim zna trochę niemiecki. Porozumiewamy się gestami jak dzikusy tudzież uśmiechami (wyobrażasz

sobie moje rozkoszne uśmiechy). Na fotografiach wychodzę jak tłusty idiota. Po prostu nie mogę się patrzeć i na widok fotografa chowam się jak mogę.

Ściskam Cię i napiszę chyba dopiero w sobotę, by już donieść Ci o całości.

Bądź tak dobra i prześlij adres Wojciecha Wasiutyńskiego⁷ (a jeśli go nie ma, to „Myśli Polskiej”) na adres: M. Zarzycki⁸, Berlin-Charlottenburg, Riehlstrasse 14 oraz adres Bielatowicza, bo ma się rozumieć nie pamiętam numerków tego Finchley Rd.

[odręcznie:] Dlaczego nie piszesz o Blacku i kocie? [?]

J.

¹ David Rousset (1912–1997).

² Aleksander Weissberg-Cybulski (1901–1964).

³ Janusz Kowalewski (1910–1996).

⁴ „Die Neue Zeitung” – dziennik założony przez amerykańskie władze okupacyjne w Monachium w październiku 1945 roku.

⁵ Albert Camus (1913–1960).

⁶ Teodor Parnicki (1908–1988).

⁷ Wojciech Wasiutyński (1910–1994).

⁸ Mieczysław Zarzycki (1914–?).

[odręcznie:] 29 wieczorem
wysłany 30 czerwca [1950]

Kochana Zosiu,

Stary już jestem, ramoleję i mam chwile dzikiego kłapnięcia, opuszczenia rąk etc. Po tym tragicznym wstępie sprawozdanie: Józia jednak udało się przeforsować do Stałego Komitetu Międzynarodowego, co początkowo wyglądało dość beznadziejnie. Rezolucję o szkole dwujęzycznej dla dipi w Niemczech, którą nam podpisał Rousset i Silone sekretariat zjazdu zgubił (?) i wobec tego nie była dyskutowana. Będziemy z wielkim rabanem ją próbować forsować na plenum jutro z rana. Jeśli nie wyjdzie, to spróbujemy zrobić konferencję prasową na ten temat albo odczyt Józia do Niemców. Tego nie chcę popuścić.

Zostaje nam jeszcze: 1. Konferencja z p. Brownem¹ przedstawicielem amerykańskich związków zawodowych na temat tej ustawy pożyczonej od Małeckiego oraz spróbuję ich namówić na numer

specjalny „Kultury” poświęcony problemom socjalnym z głównym przeznaczeniem na Polskę. 2. Przeworsowanie projektu, by Free Europe² sfinansowała wydanie 100 książek autorów zza żelaznej kurtyny, z tym że kwota przypadająca na nas byłaby przez nas dysponowana (mało realne, ale może się uda). 3. Konferencje z wydawcami niemieckimi na temat książek i egzemplarzy wymiennych. 4. Konferencja z Moskalami, którą już dziś zacząłem. 5. Ukraińcy. Sobota jest weekendem, który mamy zamiar, jak Ci już pisałem, spędzić z naszym przyjacielem. W niedzielę chciałbym wykroić choćby pół dnia dla przyjemności, to znaczy trochę pochodzić po Berlinie. W poniedziałek wyjazd, a właściwie wylot do Paryża. Będę zresztą depeszował.

„Kultury” jeszcze nie przyszły, co mnie bardzo denerwuje, bo są potrzebne. Co z Mamałygą? Jeśli nie ma w dalszym ciągu wiadomości, to trzeba napuścić Pawełka na Tenenveau. *A propos* Pawełka obiecałem mu za notkę równowartość 1 dolara. Może mu wypłacisz, jeśli jeszcze nie jesteś całkowicie zbankrutowana.

Postaram się jutro wyrwać wszystkie materiały prasowe i zamiast wozić z sobą, wysłać pocztą. Niech Kongres płaci.

Jeśli się nie zmieści wszystko, to jasne, że trzeba wylać jakiego Haupta. Daj do złożenia rezolucję o uniwersytecie. Zobaczę jutro. Orędzie Kongresu może damy³. Zależy to wyłącznie, czy nasz przyjaciel znajdzie pieniądze, czy nie na ten specjalny numer. Chcę mu tę sprawę postawić *avec toute franchise*.

Nie widzę przeszkód co do wyjazdu Józia. Pobyt Władzia⁴ nie jest ważny, a nawet może lepiej, by Józia nie było, rozmowy z naszym przyjacielem będą tu miały miejsce, a odcinek paryski to specjalność Wragi, może częściowo moja. W każdym razie Józia nie możemy już forsować. Zrobił tu doskonałą robotę, pracowałem z nim bardzo harmonijnie i trzeba dać mu odpocząć. Mam nadzieję, że w następnym liście (miałem dotąd dwa, dziś był z 27-go) napiszesz mi, co jest w wypocinach Wragi. Na nich mi nie zależy, chyba że będzie naprawdę pierwszorzędne i sensacja. Kamień z serca mi spadł na wiadomość Krakowskiej. Jak wygląda na jego odcinku Brazylia?

Ściskam Ciebie i wszystkich i pożałuj mnie choć trochę.
[odręcznie:] Dlaczego świnia Black nic nie pisze!!

Jurek

¹ Irving Brown (1911–1989).

² Committee for Free Europe – Komitet na rzecz Wolnej Europy, utworzony w czerwcu 1949 roku w Nowym Jorku z zadaniem wspomagania demokratycznych uchodźców zza żelaznej kurtyny.

³ Ostatecznie w „Kulturze” opublikowane zostały dwa przemówienia Józefa Czapkiego, rezolucje w sprawie uniwersytetu dla uchodźców oraz szkół dwujęzycznych („Kultura” 7/33–8/34/1950), a także Manifest Kongresu oraz przemówienia J. Burnhama i A. Koestlera („Kultura” 9/35/1950).

⁴ Władysław Anders.

[Berlin, 30 czerwca 1950]

Kochana Zosiu,

Przed chwilą otrzymałem Twój list, jak również notatkę Jerzego, która jest bardzo dobra. Jednocześnie przyszły dwie paczki z „Kulturą”, akurat w sam czas. Widzę, że moje listy idą dość długo albo giną, gdyż wątpisz w Zaleskiego, kiedy on przekazał już pieniądze. Inna rzecz, że wątpię, by wyciągnął więcej.

Za chwilę rozpoczyna się nasza ostatnia wojna o rezolucję w sprawie szkoły dwujęzycznej dla dipisów. Jeśli to przejdzie, to uważam pobyt za wystarczająco owocny.

Aide memoire nie tłumacz. To by się drukowało, gdybyśmy poszli na zerwanie ze skandalem. To trzeba sobie zarezerwować. Trzeba tylko dać do złożenia przemówienie Józia na inauguracji oraz rezolucję uniwersytecką podpisaną przez nas obu oraz rezolucję w sprawie szkoły, którą załączam. Jest tak niewielka, że nawet jak przepadnie, to zawsze się da wyrzucić.

Manifesty (dwa) postaram się wysłać jeszcze dziś wieczorem. Daj je z miejsca do tłumaczenia pospiesznie Pawełkowi. Nawet gdybyśmy chcieli być nieostrożni, to trudno, bo tyle łapsów nas pilnuje.

Ściskam Cię.

J.

Ma się rozumieć Żydy pod różnymi pretekstami, a przede wszystkim [dzięki] bałaganowi nie dopuścili do zgłoszenia rezolucji o szkołach *bilingues*. Niemniej daliśmy to do prasy międzynarodowej i niemieckiej, w czym nam bardzo pomógł nasz przyjaciel. Poślałem również Zaleskiemu, by robił szum, a ponadto wysyłałem

piękny list do sekretariatu Kongresu żądając umieszczenia rezolucji w tekstach Kongresu, które będą opublikowane w trzech językach jako książki. Ponieważ jest Rousset, taki sam skandalista, a właściwie większy niż my, oraz Silone, z którym się tu bardzo liczą, więc nie odmówią. Były próby wyeliminowania Józia, ale szczęśliwie się utraciły. Natomiast wniosek rosyjski, by Józio wszedł do ściślejszej komórki trzyosobowej praktycznie upadł. Ale jest to prowizorium do września, więc jeszcze można odwojować. Powiedz Władze, że jestem pojętnym uczniem i Nikołajewski został ze stałego komitetu utracony na rzecz Karpowicza¹, który zresztą nie przyjechał. Obok Karpowicza jest jeszcze Nabokow² (który zresztą jest obywatelem amerykańskim i prezesem zw[iązku] kompozytorów amerykańskich). Wszedł ponadto Czech Kupka³, z czego nie jestem bardzo zadowolony, ale nie ma szczęścia na tym świecie. Szaleję z Józiem wśród Niemców. Tu zresztą tylko jesteśmy widziani i doceniani (rozumiesz dlaczego). Jutro całe popołudnie z przyjacielem za miastem – myślę, że wiele rzeczy docisnę i wyjaśnię. Wieczorem poufne zebranie z Niemcami spod okupacji sowieckiej (nie umieraj ze strachu – u nas w hotelu).

Z tymi bolszewikami to prawdziwy cyrk. Zjawili się u Sidneya Hooka⁴ i dyskutowali z nim „pryncypialnie”. Hook zaprosił ich wieczorem do siebie na dyskusję. Zważyło się sporo osób, ale... oni nie przyszli. Wobec tego zawołano fotografów i zrobiono żywy obraz z obecnych z pustymi dwoma krzesłami, na których mieli siedzieć ci bolszewicy. Czysto amerykański pomysł. Potem chcieli zrobić fotografię, by na tych krzesłach siedział Nabokow i Józio, ale przytomnie obaj „adkazalis”.

Chcę złapać jeszcze Eugena Kogona dla omówienia wzajemnych numerów – on da mi materiał na numer niemiecki, a ja mu na polski. Będzie bardzo zabawne. Mam już sporo adresów wymienionych pism dość ciekawych.

Dziś pierwszy dzień dzikiego upału. Strasznie drogo, aż piszczę. Taki tu bałagan, że teksty manifestu i apelu będą dopiero jutro. Jestem wściekły.

Ściskam Cię.

J.

¹ Michaił Karpowicz (1888–1959).

² Nicolas Nabokov (1903–1978).

³ Karel Kupka (1918–1993).

⁴ Sydney Hook (1902–1989).

